

## GROCHOWA NA UCZUCIACH

### I

Piszesz o szklance, a kończysz, że to krowa. Gdzie tu sens i logika? I ta skandaliczna ortografia - **Eulalia Małuszek** nie przebierała w słowach. Poziom jej zdenerwowania rósł. Nogi pokrywały się **czerwonymi** plamami, a obrączka wędrowała z jednego końca palca na drugi. To był znak, że zaraz wybuchnie i zabierze mi resztki nadziei na przejście do drugiej klasy. Czekałem jeszcze tylko, kiedy uchylą się drzwi i do klasy wejdzie Daniela **Orchowska**, aby z promiennym uśmiechem oznajmić, że nadaję się jedynie do zawodówki, bo ostatnia moja szansa, czyli dodatkowy sprawdzian ze znajomości układu pierwiastkowego, okazał się definitywną klęską. Przez skórę czułem, że już idzie w swoich czerwonych szpilkach przez szkolny korytarz. **Eulalia Małuszek** także zbliżała się do mnie z zaczerwienionym zeszytem od prac klasowych. Bezwiednie zacząłem się kurczyć w ławce. Zamknąłem oczy, czekając na cios wymierzony prosto w głowę...

Budzik rozdarł się wniebogłosy. Jego dźwięk świdrował nawet przez poduszkę, którą automatycznie narzuciłem sobie na głowę. Jeszcze szybciej otworzyłem szufladę nocnego stolika i wrzuciłem tam dręczyciela. Zamilkł.

- Boże, to tylko sen - odetchnąłem z ulgą. Mimo to wolałem sprawdzić, czy **Eulalia Małuszek** - jak to miała w zwyczaju - nie zaatakuje mnie znieuważa. Sprężyście wyskoczyłem z łóżka, aby przed lustrem upewnić się, czy aby nie mam piętnastu lat. Nie miałem. Nie byłem też swoim piętnastoletnim synem Rafałem, który właśnie bawił na szkolnej wycieczce, ani o rok od niego młodszą córką Zuzanną, od kilku dni rezydującą u swej ukochanej babci, a mojej najlepszej teściowej.

W łazience byłem mężczyzną przed czterdziestką. We flanelowej piżamie w biało-czerwone pasy, którą dostałem w Wigilię od żony, w niczym nie przypominałem przestraszonego nastolatka. Krótko obcięte włosy z zakolami nad czołem przysypywała po bokach dobrze widoczna siwizna.

- Dodaje ci uroku, miśku - szeptała często moja ślubna Beata, ale ja w tym nie widziałem żadnego powabu. Raczej znak nadchodzącej smugi cienia. Wciągnąłem brzuch. Mimo to tłuszcz wokół pępka nie nabrał sprężystości.

- Od jutra koniec z kolacyjkami. Wracam do biegów - postanowiłem. Zaraz pomacałem też mięśnie na ramionach. Były twarde. Poczulem się lepiej i wyszczerzyłem zęby. Co prawda z plombami, ale w komplecie i dzięki zagranicznej paście całkiem białe.

- Niewielu facetów może pochwalić się takim komplecikiem - pomyślałem, nabierając trójkolorowej pasty. Potem obadałem jeszcze brodę i wąsa. Nie, nie trzeba było przycinać.

- Co by było, gdybym ją zgolił? Może bym odmłodził? - zastanowiłem się przez chwilę nad zmianą wizerunku, do którego przyzwyczailem wszystkich od czasu matury. - Jesteś goły i wyglądasz jak duże niemowlę. Nie wychodziłam za faceta, którego trzeba podcierać - skomentowała drwiąco Beata, gdy raz w wakacje postanowiłem

poeksperymentować z wyglądem. Dałem spokój. To jednak było miłe, gdy mi mruzczała w ucho, miętosząc brodę. I nie tylko.

Nagle usłyszałem znajomy dźwięk odpalającego garbusa **Jasińskiego**. On był regularniejszy niż mój budzik. - Cholera, już w pół do ósmej. Trzeba pędzić do szkoły - przypomniałem sobie o dyżurze i lekcji o **Wokulskim** w II c. Na szczęście Beata okazała się najlepszą z żon. Ułożyła mi na krześle obok biurka wszystkie potrzebne rzeczy do ubrania, śniadanko w celofanie i liścik na zgiętej w pół kartce. „Całuję cię z całych sił i polecam twojej pamięci to, co napisałam w środku” - wypisała równiutko. - Piątka za kaligrafię. Zawsze była **prymuską** - rozczuliła mnie, ale na czytanie nie miałem czasu. Wrzuciłem kartkę do teczek i ruszyłem do drzwi. Nawet krawat zakładałem w biegu. Gdybyśmy nie mieszkali 10 minut od szkoły, to chyba już dawno wylaliby mnie z tej budy. A tak uczę w niej prawie 12 lat i na razie nic nie wskazuje, abym miał przestać.

Biegłem, ale tak, aby nie chwycić zadyszki i nie spocić się, bo ten przeklęty dyżur miałem z koleżanką **Pilarczyk**. Nasza **Ewcia**, słynna dzięki okazałemu zbiorowi olimpijczyków z historii, tylko czekała, aby rzucić mi między oczy swoje **pseudodowcipne** uwagi o zapuszczających się mężczyznach z brzuchami do kolan.

- Pewnie kolega w toalecie korzysta już z lusterka, aby trafić rączym strumykiem we właściwe miejsce, jeśli to jeszcze jest rączy strumyk - wypaliła ni stąd ni zowąd podczas ostatniej rady pedagogicznej, kiedy definitywnie jako ostatni odmówiłem, gdy szukała chętnego do wyjazdu z jej klasą w Bieszczady. Niby w ten sposób chciała mi dowcipnie dać do zrozumienia, że odrobina ruchu na świeżym powietrzu bardzo by mi pomogła. Nie mam nic przeciw temu, ale jakieś formy obowiązują. Zapamiętam jej to do końca życia. I nic nie pomogą babskie gierki z mrużeniem oczu i wyzywającym **dziubusiem** z ust, którymi później próbowała ratować sytuację. Nie złamię się i koniec, bo ostro przesadziła. Mój brzuch - odruchowo sprawdziłem - wcale się jeszcze tak nie wyróżnia. Koszula rozmiar 44 wystarcza. Guziki leżą spokojnie, a materiał się nie napina.

Do szkoły wpadłem z pierwszym dzwonkiem.

- Witam, **Zosieńko**. **Superkiecka** - pochwaliłem nowy nabytek naszej sekretarki, stawiając obok jej stołu swoją teczkę.

- E, nic wielkiego. To **lumpeks** pani Jadzi. 5 złotych 50 groszy - zbyła moją pochwałą. Nie zdążyłem utwierdzić jej w przekonaniu, że nie liczy się kasa, tylko gust, gdy do rozmowy wmieszała się Ewa.

- Też widziałam to boferko, ale było na mnie za duże. Choć może trudno w to uwierzyć, ale od ponad 10 lat trzymam się rozmiaru 36 - wyrzuciła z siebie z tak nadętą miną, że Zośce mowę odjęło. Profesor Ewa nie czekała na odpowiedź. Zaraz wyszła na dyżur.

- Co jej się stało? - zapytała Zośka, gdy tylko odzyskała mowę. - Nie wiem. To chyba klimakterium - odburknąłem zupełnie zmieszany.

- To o mnie ta uwaga? Kolega chyba jednak powinien się zastanowić nad sobą - usłyszałem nagle charakterystyczny bulgot **Emilii Włodarskiej**, dyrektorki naszego liceum, która właśnie wносиła do sekretariatu swoje 130 kilogramów. Same piersi ukryte za ręcznie malowanymi jedwabiami ważyły z 50. Emilia była w nastroju bojowym i zmierzała w moim kierunku.

- Ależ nie. To nie o tobie **Emilciu**. To było o tych zwariowanych hollywoodzkich aktorkach, co po czterdziestce szaleją jak rozgrzane kotki - zaprzeczyłem nieudolnie, czując, że właśnie się spościłem.

Piersi **Emilii** niczym sztylety nacierały jednak coraz bardziej. Gdyby zrobiła jeszcze krok, utknąłbym w nich jak w rozgrzanych do czerwoności katowskich kleszczach. **Fellini** zrobiłby z tej sceny arcydzieło, ale ja nie byłem reżyserem. Raczej poczułem się napastowany, ale trudno byłoby odpychać się rękami od naszej olbrzymki. Na szczęście Zośka umie szybko reagować.

- Pani dyrektor, musi pani obejrzeć tę fakturę za ciepło. Oni chyba zwariowali i chcą nas z torbami puścić. Trzeba interweniować, a pan Bogdan już musi iść na dyżur - tokowała, jak gdyby nic się nie stało. Emilia wzięła mocny oddech. Piersi zafalowały, jej spojrzenie omiotło mnie z góry, a ręce sięgały po hiobową wieść z miejskiej ciepłowni. Nie ryzykowałem dalszego obcowania z dyrekcją. Jak wpada w furję, bywa nieobliczalna. Nie chciałem, aby się na mnie wyładowała. Prawie bezszelestnie wymknąłem się na korytarz.

## II

**Ewka** już była panią życia i śmierci. Bez przerwy **obsztorcowywała** te niewinne panienki. Zwłaszcza ładniejsze. A jednocześnie dyskutowała z grupą czwartoklasistów, którzy wypytywali ją o zdanie na temat stanu wojennego.

- Teraz oceny są różne. Musi jeszcze minąć sporo czasu, zanim ukształtuje się obiektywna opinia. Pan profesor **Małeki** na przykład w stanie wojennym chodził na demonstracje i rozrzucał solidarnościową bibułę, więc wszystko, co zrobił generał **Jaruzelski**, uważa za złe - mówiła specjalnie tak głośno, abym ją usłyszał. Nie dałem się wpuścić w kanał. Zignorowałem zaczepkę.

- Przepraszam, ale nie mogę teraz dyskutować. Muszę się przygotować do lekcji z II c - wywinąłem się z pułapki nieudolnie zastawianej przez córkę emerytowanego pułkownika Ludowego Wojska Polskiego. Trudno było się po niej spodziewać bardziej oryginalnych tez, a ja już miałem na dziś dosyć awantur.

Jednak nie wiedziałem, że zaraz wpadnę z deszczu pod rynnę. A właściwie w strugę łez, bo II c - stadko młodych kobiet z klasy ogólnej (ogólna to zresztą zwykle jest babiniec!) - właśnie płakała i lamentowała nad nieszczęściem **Patrycji Borkowskiej**. Nie, nawet na moment nie przestały, gdy stanąłem przy katedrze.

- To drań. Jeszcze tydzień temu kupił mi bilet na dyskotekę, a teraz na mój widok przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął za rogiem. Jestem pewna, że czekał tam tak długo, dopóki nie weszłam do klasy. Faceci to świnię - dramatyzowała ze łzami na zaczerwienionym policzku **Patrycja**, potrząsając nerwowo kształtną głową, okrytą burzą włosów odżywionych owocowym szamponem z telewizyjnej reklamówki.

- Nie przesadzajmy. Jak wskazują arcydzieła polskiej literatury, kobiety też potrafiły doprowadzić mężczyzn do rozpacz, a nawet zamachu na własne życie. Weźmy na przykład Stasia **Wokulskiego**, który załamał się kompletnie, gdy odkrył, że **Izabella Łęcka** bawi się jego miłością i zdradza go z kuzynem - nawiązałem sprytnie do tematu lekcji.

- To nieuczciwe. Tutaj kobieta cierpi i przeżywa prawdziwy dramat, a pan o literaturze i przebrzmiałych bohaterach, których miłosne uniesienia dzisiaj już nikogo nie interesują. Pewnie za chwilę zarządzi pan jeszcze **kartkówkę** z „Lalki”. Do tego zdolny jest tylko mężczyzna. A gdzie romantyczne ideały? „Miej serce i **patrzaj** w serce”. Chyba nie muszą tego panu przypominać? - Jagoda **Korotko**, zrobiona dzisiaj na **Pipi**, patrzyła mi bezczelnie w oczy i bez emocji, spojrzeniem rasowego wampa, oceniała wrażenie, jakie osiągnęła. Byłem pewien, że cały spektakl został z premedytacją przygotowany przez klasowe kandydatki na aktorki, aby zyskać kwadrans i odwlec w czasie nieuniknioną egzekucję, którą zapowiadałem od tygodnia. Tak, to była kolejna próba.

Wiedziałem, że jak się poddam, następnym razem będzie jeszcze gorzej.

- Moje panny. Doskonale pamiętam nasze rozmowy o **Werterze**, Kordianie i Konradzie. Z chęcią też posłucham opowieści o cierpieniach **Patrycji**, ale na przerwie. A teraz proszę karteczki na stół, a książki do teczek. Umowy są święte i trzeba ich dotrzymywać - mówiłem z coraz większą pewnością, nie dostrzegając błagalnych spojrzeń cieletnika i obrażonej miny Jagody.

Nie było mi jednak pisane doprowadzić planu do końca, bo do klasy wtoczyły się wielkie piersi dyrektor **Włodarskiej**, a za nimi jej zaczerwieniona twarz.

- Jakiś gnojek podłożył bombę w szkole. Ewakuujemy się - wręcz świstała ze złości. Dziewczeta wcale się nie przeraziły. Przeciwnie, z radości podskakiwały i gwizdały.

- Ja to wszystko sobie zapamiętam. A pan, panie profesorze, powtórzy lekcję. Jak dorwę tego gnojka, to mu na sucho nie ujdzie - wyrzuciła z siebie, czerwieniejąc jak piwonia. Dopiero wówczas babiniec nagle przycichł i wmieszał się w zalewający korytarz tłum.

- To już piąty alarm w ciągu dwóch miesięcy. Musimy to ukrócić. Pan nie ma dzisiaj więcej lekcji, więc wybierze się pan do komendanta policji, aby wziął się do roboty. Nie ma dyskusji - zakończyła moją kwestię, zanim zdążyłem cokolwiek jej odpowiedzieć, zaskoczony przejściem dyrektorki na tak oficjalny ton. Równie szybko odplynęła jak statek parowy, który przebija się przez falujące morze.

Za oknem natomiast wybuchło prawdziwe święto wiosny. Niespodziewany piknik uradował prawie wszystkich uczniów. Machali do mnie, a babiniec na czele z Jagodą przesyłał całusy. Miałem ochotę do nich dołączyć. Tak samo jak w 1989 roku, gdy razem z Beatą i Rafałem w wózku poszliśmy na ostatni strajk studencki w **Collegium Medicum** w Poznaniu, aby poczuć tę niepowtarzalną atmosferę, o której z łezką w oku opowiadali kombatanci stanu wojennego. Widok **Emilii Włodarskiej** wśród policjantów z psami tropiącymi i strażaków szybko jednak zniechęcił mnie do tego pomysłu. Chwyciłem teczkę i wyszedłem ze szkoły.

- Uciekamy z pokładu. To w stylu ludzi z Solidarności - **Ewcia** nie mogła odmówić sobie zgryźliwości, gdy przebiegałem obok kiosku przy szkole, gdzie właśnie kupowała swoje ulubione **camele**. Wkurzały mnie te ciągłe docinki. Jeszcze jedno zdanie, a usłyszałaby wreszcie, co o niej sędzę. Chyba jednak dostrzegła mój wzrok, bo zamilkła, a ja przebiegłem na drugą stronę ulicy. Uznałem, że nie ma potrzeby, abym się jej tłumaczył. Z daleka już było widać budynek komendy policji.

### III

Nasz dobroduszny komendant Eligiusz Zawada - chyba ze 40 kilo nadwagi - właśnie jadł drugie śniadanie. Wcale się nie spieszył moim widokiem. Siorbnął herbatkę, a cztery podwójne kanapki z jałowcową czekały przed nim na swoją kolej. Sądząc po ilości okruszek na biurku, nie były pierwsze w kolejce.

- No i co **profesor**ku, jakiś szczeniak z tej pana szkoły znowu narobił zamieszania, zaangażował wszystkie nasze siły, a panu zrobił wolne? No ładnie. Takiemu to dobrze. Lekcji nie ma, a pieniążki się weźmie - wysapał, jednocześnie oczyszczając ssaniem przerwy między zębami.

Miałem ochotę walnąć go między oczy, ale dla dobra naszej placówki przemilczałem tę obraźliwą uszczypliwość. - Nie tak do końca, bo dykcja zarządziła już powtórkę zajęć - odparowałem z naciskiem w głosie.

- Tak. **Emilcia** was jednak krótko trzyma. W liceum też taka była. Wiem, bo miałem zaszczyt przez cztery lata siedzieć tuż za nią w ławce. Czy teraz też atakuje swoimi buforami? - komendant porozumiewawczo zawiesił na mnie swoje spojrzenie, nie przerywając miażdżenia kolejnego kęsa jałowcowej.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Gdyby nie odziedziczona po stanie wojennym obawa przed donosicielami, pewnie zdobyłbym się na chwilę męskiej konfidencji, ale wołałem nie ryzykować.

- Ależ komendancie. Ja tu w poważnej sprawie, a pan o takich rzeczach. Dyrektor **Włodarska** to bardzo zasadnicza kobieta, a dobro szkoły leży jej przede wszystkim na sercu. Życzyłaby sobie, aby pan **wzmógł** działania i namierzył wreszcie tego dowcipnisia, bo inaczej będziemy musieli prosić o pomoc pana przełożonych - zacząłem bardzo oficjalnie.

Komendant prawie się zakrztusił. Z wrażenia siorbnął herbatę. - Moja siostrzenica bardzo pana chwali profesorze **Małecki**. Podobno doskonale pan rozumie naturę młodych kobiet. A tu takie teksty. Weź pan na wstrzymanie. Robimy, co możemy. Szantaże **Emilki** mnie nie ruszają. Zresztą nie pana pierwszego przysłała z taką misją. A wie pan, dlaczego nie przychodzi tu sama? - zapytał, wycierając pot z mokrych od trudu jedzenia włosów.

Nie wiedziałem, ale byłem ciekaw. - Do tej pory nie może przeżyć, że na studniówce nie chciałem się z nią całować, choć miałem mocno w czubie. Już wtedy te jej bufory mnie przerażały - wyznał krótko i dosadnie. Potem zamilkł, a ja w duchu przyznałem, że miał się czego bać.

- No dobra. Nie będziemy się tu roztkliwiać. Możesz pan **Emilce** powiedzieć, że dołożę starań. A teraz koniec czasu dla grona profesorskiego - chwycił kolejną kanapkę, połączył się telefonicznie z radiowozem i stracił dla mnie zainteresowanie. Sam też uznałem, że misja jest zakończona. Gdy tylko wyszedłem z komendy, w teczce zaczęła szaleć komórka.

- To pewnie Beata w sprawie obiadu - pomyślałem. Nie, to był Rafał.

- Tato, w Gdyni wypatrzyłem świetną grę. Mówię ci, super. Grafika i fabuła fantastyczne. Jak się zgodzisz, abym pożyczył pieniądze od Marcina, to dam ci pograć. Pozwolisz? - trąkotał.

- A ile kosztuje? - zapytałem przytomnie.

- Niedużo, bo tu trwa jej promocja. Naprawdę okazja! **Please** - wykrzykiwał.

- No, ile? - nie dałem się zbić z tropu.

- Nie denerwuj się. Prawie sto złotych. Bez złotówki. Ale to naprawdę **supergierka**. Nikt jej jeszcze w klasie nie ma - odwołał się do mojego snobizmu, choć mnie akurat komputerowe gierki nie biorą. Chyba jednak jestem już z poprzedniej epoki, ale rozumiem, że młodzież żyje w innym świecie. Nie byłem tylko pewien, czy gierki - nawet z fantastyczną grafiką i fabułą - powinny być ważniejsze niż garnitur, który chcę kupić od czterech miesięcy. Ten, w który wbijam się od pięciu lat, rzeczywiście jest już nieco przymały i nosi ślady zużycia.

- No, co tak milczysz? Czyżbyś zapomniał, że nie dostałem od ciebie nic na urodziny?  
- Rafał nie ustępował.

- Dobrze. Kup, ale będziesz to musiał częściowo odrobić. Do końca miesiąca zmywasz za mnie naczynia - powiedziałem twardo.

- Ok. Załatwione - skwitował i natychmiast się wyłączył, nawet nie zadając sobie trudu, aby mi podziękować za kolejne pieniądze, które ode mnie wyłudził. Niestety, coraz częściej miałem wrażenie, że mój pierworodny traktuje mnie jak bankomat. Wystarczy wcisnąć kilka przycisków i już można wybierać gotówkę. Na szczęście dotąd nie wpadł na to, abym mu założył młodzieżowe konto w banku, bo wtedy cała procedura byłaby jeszcze łatwiejsza. W czasach mojej młodości takie podejście młodzieży do rodziców było niemożliwe.

- O **tempora**, o mores - przypomniało mi się powiedzonko klasyków. Postanowiłem jednak nie bawić się w moralistę, bo co to da. Tym bardziej, że właśnie zgłodniałem. To chyba przez te kanapki komendanta.

- Spoko, mam własne - uświadomiłem sobie równocześnie. Nie wyciągnąłem ich jednak z teczki, ale postanowiłem wrócić do domu na poważne śniadanie.

- Bogdan. Cześć stary. Kopę lat - wyrwał mnie z wewnętrznego monologu silny męski głos z nowego mercedesa. W środku siedział potężny facet w odblaskowych okularach, **jeansowej** koszuli i skórzanej kamizeli z **frędzlami**.

- Co, kumpla nie poznajesz? No tak. To już blisko 20 lat - mówił, parkując pojazd.

Dopiero gdy wysiadł i stanął przede mną w całej okazałości - prawie 190 centymetrów wzrostu i jakieś 120 kilogramów wagi - uświadomiłem sobie, że to **Jaruś**, syn kwiaciarki, który jako pierwszy z naszej klasy tuż po maturze wyjechał na wycieczkę do Paryża i już nie wrócił.

- Niesamowicie się zmieniłeś, **Jaruś** - uśmiechałem się, choć gdy ucisnął mi dłoń, prawie ją zmiądzzył.

- No, już myślałem, że mnie nie poznasz, ale ty zawsze miałaś dobrą pamięć. Rzeczywiście skończyłaś polonistykę i uczysz w naszej budzie? **Eulalia Małuszek** chyba jeszcze w grobie nie mogła w tę przemianę uwierzyć? - ironizował.

- Tak się złożyło. Trochę przez przekorę, a trochę, aby udowodnić, że mogę. Potem wsiąknęłam w szkołę i tak zostało - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Twój wybór, choć nie rozumiem. Jak można teraz, gdy wokół tyle możliwości, bawić się w nauczanie. To dobre dla kobiet. Faceci powinni podbijać świat. Ja tu właśnie po to przyjechałem. Teraz się rozglądam. Może będę miał dla ciebie propozycję - przeszedł do rzeczy.

- Wiesz, nie jest tak źle. Najlepiej jest, gdy każdy robi to, co lubi - broniłem się.

- Nic nie mów za szybko. Musimy się spotkać, coś dobrego wypić. Wtedy wszystko ci wyjaśnię i zdecydujesz, a teraz lece, bo czekają na mnie w banku. **Serwus** stary, miło cię było spotkać. Odezwę się - już ładował się do mercedesa.

- Ale, Boguś? Jeszcze jesteś z Beatą? To była szprycha. Wszyscy w szkole ci jej zazdrościli - śmiał się zza kierownicy.

- Nadal jest **superlaska** - wpadłem w jego ton. - Na pewno się polubicie, bo interesy to też jej żywioł.

- Świetnie. To do **zobaczyska** - rzucił na pożegnanie i zniknął za zakrętem. Oszołomiony patrzyłem, jak przechodnie z podziwem odwracali głowy, aby choć przez chwilę zatrzymać wzrok na jego granatowym mercedesie ze skórzanym wybiciem. - Pan to ma kumpli, profesorze. Forsa od tego gościa aż bije. Z takimi trzeba trzymać. A jak mnie pan dzisiaj poratuje, to los się do pana uśmiechnie - do ucha wdarł mi się znajomy bełkot. To Feluś Arizona - jak go powszechnie nazywano - postanowił wyżebrać ode mnie kolejne 50 groszy na codzienny bełt. Chciałem go zbyć i odegnąć, ale nie ustępowałem.

- **Profesorku**, wspomóż. Przez tydzień dam ci spokój. Uczciwie mówię - błagał, patrząc jak pies w moje oczy. I znowu się zламаłem. Dałem mu kolejne 2 złote, przy pomocy których wzmocni producentów **mózgotrzepów**.

- Dzięki, dobry człowieku, najjaśniejsza panienka ci wynagrodzi - kłaniał się, cofając się w kierunku spożywczego kiosku, gdzie jego kumple rozpijali już kolejną **arizone**. A ja postanowiłem w końcu zjeść śniadanie.

#### IV

Gdy do kanapek zacząłem dorabiać jajecznicę, przypomniał mi się sen z **Eulalią Małuszek**. Nie wiem, czy w grobie się przewracała - jak sugerował **Jaruś**. Zawsze jednak śniła mi się, gdy zbliżał się moment próby. Przez jej krzyk we śnie omal nie zrejterowałem przed pisemną maturą, choć już od dwóch lat po wypadku, w którym **Eulalia** złamała obydwie nogi (wcale jej nie żałowaliśmy, mimo że pięć lat później umarła na serce!), uczyła nas młoda polonistka. Potem powróciła znów przed samym magisterium, wywijając mi nad głową pokreślonym wypracowaniem.

- Przysięgam, nigdy nie będę takim katem - obiecałem sobie, kiedy okazało się, że moja znajomość konstrukcji opowiadań Marka Hłaski była na tyle satysfakcjonująca komisję, iż bez trudu ukończyłem studia z wynikiem bardzo dobrym.

- Czego ona znowu chce? - dręczyłem się na głos w kuchni, ale nikt nie odpowiadał. Nawet pradziadek Ignacy, który z portretu w przedpokoju patrzył jak zwykle pewnie przed siebie, nie odezwał się ani słowem.

- Czym ty się, chłopie, dręczysz? Kobiety nie są po to, aby się ich bać. One są po to, aby bały się ciebie i uprzedzały każde twoje życzenie - zdawał się mówić, przęcąc swojego grubego i na modłę niemiecką zakręconego wąsa.

Pradziadek Ignacy Małecki miał powody, aby tak mówić. Z dwoma młynami i 40 morgami był w swoim powiecie szyczą. Hrabia Czarniecki od niego po cichu pieniądze pożyczał, a jedna z hrabianek podobno miała z pradiadkiem romans uwieńczony nieślubnym dzieckiem. Tak przynajmniej opowiadali jego wnukowie, ale do końca nie wiadomo, ile w tym było prawdy, a ile legendy. Teraz jednak młynów już nie ma, bo władza ludowa je znacjonalizowała, a później rozebrała. Dziadek Wojciech tak to ciężko przeżył, że gdy spłodził gromadkę dzieci, z moim ojcem na czele, pewnej nocy zmarł na wylew. Wtedy jego żona gospodarstwo sprzedała i rodzina wylądowała na miejskim bruku. Mój ojciec został rzemieślnikiem - bednarzem i rzeźnikiem jednocześnie, a mnie udało się zasilić szeregi inteligencji pracującej, co z przekąsem wypominał nam zawsze major Bąbiak, kiedy podczas zajęć w Studium Wojskowym żądaliśmy prawdy o Katyniu, demonstracyjnie ignorując jego wykłady oparte na komunistycznej nowomowie.

Na pomoc pradziadka liczyć nie mogłem. Coś jednak mnie gryzło. Z trudem, ale w końcu przyznałem sam przed sobą, że nieco ubodła mnie uwaga Jarusia, że siedzę w szkole, gdy wokół tyle możliwości. Nie było mi jednak dane o tym pomyśleć, bo właśnie odsłuchiwałem sekretarkę w telefonie, poprzez którą Beata przypominała mi, że zostawiła dla mnie kartkę z ważnymi informacjami.

- Wiem, że jak się w ostatniej chwili obudzisz, to nie panujesz nad wszystkim. Dlatego przypominam. No, trzymaj się. Do wieczora. Byłoby miło, jakbyś pomyślał o jakiejś niespodziance, bo chyba mamy szansę na jeszcze jedną noc tylko we dwoje, misiu - mówiła tak przymilnie i z seksualnym podtekstem w głosie, że nagranie przesłuchiwałem dodatkowo dwa razy. Perspektywa była fantastyczna. Wstąpił we mnie taki wigor, że w dwie minuty poradziłem sobie z jajecznicą i dwoma kanapkami z szynką. Co prawda w tym momencie uświadomiłem sobie, że chyba już muszę liczyć kalorie, ale ten problem zostawiłem na popołudnie.

Kartka od Beaty nie zawierała żadnych sensacyjnych wieści. Przeciwnie, zbiór stałych poleceń. Miałem pójść do ZUS-u, aby dostarczyć tam dokumenty potwierdzające wpłatę składek zdrowotnych i emerytalnych (państwo rzeczywiście oszalało w ciągłym ich podnoszeniu!). Potem czekała mnie wizyta w banku i u księgowej Beaty z kolejnym plikiem faktur oraz odwiedziny w kilku sklepach z pytaniem, czy firma, którą reprezentuje moja żona, nie powinna już im dowieźć następnej partii towaru. Na koniec miałem odebrać z pralni chemicznej garsonkę Beaty, którą pojutrze weźmie na spotkanie szkoleniowe z nową grupą marchandiserów, czyli – jak to się kiedyś mówiło – handlowców próbujących wkręcić sklepikarzom jak najwięcej towaru i czuwających nad tym, aby został on jak najlepiej wyeksponowany na półkach. Co miałem robić.



Westchnąłem i poszedłem zrealizować wszystkie polecenia, bo ostatecznie na koniec miesiąca to Beata przynosiła do domu kilkakrotnie więcej pieniędzy niż ja ze szkoły. Trochę to mi doskwierało, ale nigdy to nie był problem, który by nas podzielił.

- Ale jakim kosztem ona to osiąga. Jeszcze nie świta, a jej łóżko już puste i zimne. Wieczorem też bywa tak padnięta, że na nic nie ma ochoty. Gdybym jeszcze ja nie miał czasu, to kto by zapanował nad domem? Wtedy dzieci w ogóle nie miałyby prawdziwej rodziny – tłumaczyłem sobie, idąc do pani Ady, księgowej Beaty. Przeszkadzał mi tylko Jaruś z tym swoim protekcyjnym stosunkiem do szkoły. Dla niego taki chłop, jak ja, to nie chłop. – Jesteś walach bez jaj – skomentowałby na pewno moje wywody.

- Pani Beata to ma wspaniałego męża. Tak mówię i będę powtarzać, bo pan, panie profesorze, jest wyjątkiem – uśmiechnęła się zalotnie pani Ada, ciągle umalowana i prosto od fryzjera mimo swojej siedemdziesiątki na karku. W małym pokoju, zapelnionym od podłogi po sufit skoroszytami z dokumentami, panował idealny wręcz porządek.

- Może owocowej herbatki? – zaproponowała.

- Nie, mam jeszcze tyle do załatwienia, że każda chwila jest droga – kłamałem jak z nut, ale nie miałem ochoty znowu wysłuchiwać historii o nieszczęśliwej miłości pani Ady. W końcu znałem już na pamięć jej o opowieść o tym, jak w latach pięćdziesiątych odrzuciła zaloty hrabiego Czarnieckiego. On zaś szybko wybrał jej koleżankę Lolę i razem z nią wyjechał na Zachód, gdzie dotąd żyją wygodnie z fortuny zgromadzonej za sanacji przez rodzinę paniczka w szwajcarskim banku.

- Szkoda, panie Bogusiu, bo przez te papiery człowiek nie ma do kogo zagadać. Mój ślubny teraz widzi tylko gołębie. Już o szóstej rano do nich leci i przesiaduje tam do wieczora. Gada z nimi, śpiewa im i ciągle coś tam poprawia. Mówi, że to lepsze rozmowy niż z ludźmi. Czasem myślę, że to nie jest normalne. A pan, jak uważa, panie Bogusiu? – zapytała, mrużąc oczy za okularami.

- Jeśli nikomu nie przeszkadza, to trudno ingerować. Ludzie różne rzeczy lubią – wybrnąłem dyplomatycznie, choć na końcu języka miałem pytanie, czy mąż pani Ady przypadkiem nie sprzedaje swoich gołębi na rosółki, bo mogłyby to być wspaniałe rarytas dla Beaty, gdy po ugotowaniu jeszcze gołąbka usmażyć na grilu.

- Wiem, to nie pana sprawa, ale czuję się tu tak opuszczona jak maszynka do robienia pieniędzy – wyszeptła i szybko spojrzała w okno. Przepraszam, nie zatrzymuję pana.

Nie czekałem, aż się rozklei. Po chwili już byłem na ulicy.

- A może Beata też czuje się jak maszynka do robienia pieniędzy? – pomyślałem. Nie, to nie ten typ. Ona uwielbia swoją pracę. Lubi ciągle zmiany i dowodzenie. Czuje się jak dowódca polu bitwy i zawzięcie komenderuje swoimi żołnierzami, którzy atakują kolejne sklepy. Zatęskniłem za nią, ale jej komórka zapewniała mnie, że połączenie w tej chwili nie jest możliwe i że mam zadzwonić później.

- Najpierw odbiorę garsonkę – postanowiłem. W pralni spotkałem Danutę Korotko, matkę Jagody. Właśnie odbierała garnitur męża, współwłaściciela fabryki guzików.

- Ta młodzież, panie profesorze, jest coraz gorsza. Za moich czasów było nie do pomyślenia, aby dzieciak dzwonił do dyrektora z informacją, że podłożono bombę w

szkole. I to podobno, jak mówi pani Halinka (współwłaścicielka pralni przytaknęła głową, ale nie miała szans, aby się włączyć do rozmowy) – nie zdarzyło się po raz pierwszy. To prawdziwy szok i zdziwienie – oburzenie ogarnęło całą jej postać. Chociaż drżała w słusznym gniewie, utrwalona dobrym lakierem fryzura ani przez moment nie straciła swojej doskonałości.

– Takie czasy. Młodzież zawsze wymyśla sobie jakieś rozrywki. Do tej pory pamiętam, jak uciekaliśmy z lekcji na koncerty rockowe – podjąłem wspomnieniowy ton, aby zaoszczędzić pani Korotko opowieści o tym, jaką radość sprawiła jej córce niespodziewana przerwa w lekcjach.

- No tak, ale wy nie stawialiście na nogi całego miasta. Mam nadzieję, że tego młodego człowieka spotka zasłużona kara.

- Ma pani rację. Komendant dzisiaj obiecał mi osobiście, że zajmie się tą sprawą i doprowadzi do ujęcia winnych – kontynuowałem już w tonie polubownym, bo inaczej groziłaby nam jeszcze godzina wykładu o obyczajach młodzieży.

- A jak tam moja córeczka? - zmieniła nagle temat. – Czy ma szansę zostać aktorką? Od niedawna mówi o tym bez przerwy. Czy robi wystarczające postępy?

Milczałem, ale Korotkowa mówiła dalej. - Ona pana uwielbia. Mówi, że nie ma drugiego takiego nauczyciela w szkole. Mąż co prawda nie pochwała tego nowego pomysłu, ale ja pewne zdolności widzę. Kobieta zawsze jest wrażliwsza na doznania estetyczne. Jak Jagoda zaczyna recytować albo śpiewać coś z repertuaru Demarczyk, to aż mnie ciarki zaczynają przechodzić - prawie szeptem wyznała, gdy wyszliśmy na ulicę.

- Niewątpliwie ma dar improwizacji i potrafi robić wrażenie – powiedziałem zgodnie z prawdą, przypominając sobie dzisiejszą lekcję. – Do tego dochodzą duże umiejętności w sposobie niekonwencjonalnego ubierania się, więc chyba jakiś materiał na artystkę w niej jest.

- Właśnie. Chyba trochę przesadziła, robiąc się na Pipi? – zaniepokoiła się pani Danuta.

- Nie, wcale nie. Wie pani, wiosna, niech się młodzież trochę wyszumi. Lepiej, jak szaleje w ubiorze niż gdyby miała robić co innego – wpadłem w ton nauczycielski.

- Racja. Żegnam, bo mąż już czeka na ten garnitur – pani Danuta drobnymi kroczkami pobiegła szybko przed siebie, pewnie wyobrażając sobie Jagodę na scenie. A ja poszedłem do sklepu, aby kupić składniki na lazanie, którą przy dobrym winku postanowiłem dzisiaj uraczyć żonę. Zresztą mnie także ssało już w żołądku. To przez nerwy, bo rozmowa z matką Jagody jakoś podziałała na mnie destrukcyjnie. W takich sytuacjach szybciej głodnieję i instynktownie trafiam do lodówki. Teraz przede mną stała otworem jeszcze większa lodówka – solidnie zaopatrzony sklep.

## V

Lazania już ślicznie skwierczała w piekarniku, kiedy zadzwonił telefon. Nie, to na szczęście nie była Beata, bo potrzebowałem jeszcze parę chwil na posprzątanie pobjowiska w kuchni. Tym razem porozmawiać ze mną chciała teściowa. – Cześć,

najlepszy z zięciów, bo innego nie mam – zaczęła żartobliwie. Zawsze mnie tym ujmowała. Nawet gdy jako nastolatek przesiadywałem w pokoju Beaty po kilka godzin, nie robiła żadnych awantur.

– Czy wy na pewno się tylko uczycie? – pytała z nieco ironicznym uśmiechem, kiedy po uzyskaniu zgody od córki wchodziła do jej pokoju. Te rzadko spotykane maniery i poszanowanie praw dorastającego dziecka zauroczyły mnie wówczas całkowicie. Być może z tego powodu udało mi się polubić teściową i ta sympatia przetrwała do tej pory.

– Czego duszy potrzeba? Ale proszę się streszczać, bo muszę pilnować w piecu lazanii – uprzedziłem teściową, bo zwykle lubi sobie pogadać. Gdyby nie miała wysokiej emerytury po mężu, pułkowniku pożarnictwa, to może by się bardziej streszczała.

– Boguś, jesteś cudowny. Tyle lat po ślubie, a ty ciągle rozpieszczasz Beatę. Jakie szczęście, że wybrała ciebie, bo Jurek Kowalczewski, który był twoim konkurentem, już dwa razy się rozwiódł, a najnowszą swoją młodkę podobno bije. Wiem na pewno, bo u fryzjera o tym słyszałam – rozwijała się teściowa.

– W tej sprawie mama dzwoni? – przerwałem ploty, choć przez moment pomyślałem, że gdybym miał tyle szmalu co Kowalczewski, to może miałbym inny stosunek do kobiet. Ale to nie był wątek do dyskusji z teściową.

- Nie. Chciałam cię prosić, abys pozwolił mi jutro zabrać Zuzię do Poznania. Ona akurat nie ma nic ważnego w szkole, a ja mam wizytę u lekarza. I byłby też czas odwiedzić moją siostrę Hanię, co mieszka na Jerzycach. Pamiętasz, jak cię podziwiała, gdy podczas szkoleń Beaty tak doskonale sobie radziłeś z dziećmi? Naprawdę, Bogusiu, niewielu mężów zgodziłoby się na taki układ.

- Ok. Zgadzam się, ale chciałbym jeszcze porozmawiać z córką.

- Ależ oczywiście. Już ją wołam. No to cześć. Uważaj na lazanię.

Zamilkła, a ja chwilę przerwy wykorzystałem, aby spojrzeć, jak w piekarniku moje dzieło nabiera rumieńców.

- Tatusiu, podobno pieczesz lazanię?

- Nie chcesz spróbować?

- Z chęcią. Ale nie dziś. Mama ci wszystko wytłumaczy. To pa – powiedziała i wyłączyła się, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć. Robiła tak zresztą coraz częściej. Przez skórę czułem, że jej świat coraz bardziej oddala się od mojego. Im bardziej jej piersi się zaokrąglały, tym bardziej stawała się tajemnicza. Ale to chyba odczucie każdego ojca, który zaczyna sobie zdawać sprawę, że jego córka może już spotykać się z innymi mężczyznami.

- Coś trzeba z tym zrobić – postanowiłem, wyjmując z szafy najlepsze sztucce, świąteczne talerze i świecznik, wyziębione wino z lodówki i cudownie pachnącą lazanię z piekarnika. Szybko posprząłem do końca kuchnię, obejrzałem Teleexpres, przejrzałem gazety i zacząłem się naprawdę denerwować, bo moje fantastyczne dzieło stygło, a Beaty ciągle nie było widać. Otworzyłem więc „Dziennik” Gombrowicza, aby zabić dłużący się czas, a tam ciągle ja, ja i ja. To był dopiero egocentryk. Zupełne moje przeciwieństwo.

- Co się mogło stać? – rzucałem się na kanapie jak lew w klatce, gdy komórka Beaty milczała mimo nerwowych prób połączenia się z nią.

- Czy jest ucieczka z tej ciągłej walki? – nagle przypomniałem sobie pytanie, które przed dwoma laty analizowaliśmy z czwartoklasistami po lekturze egzystencjalnych fragmentów z Gombrowicza. Już nie pamiętałem, do jakich wtedy doszliśmy wniosków, ale i tak kluczowy okazał się problem maski i prawdy. Sam też teraz nie byłem pewny, czy nie przybieram właśnie maski wściekłego męża.

Problem został jednak bez odpowiedzi, bo właśnie w drzwiach stanęła Beata. – Ten samochód kiedyś mnie wykończy – powiedziała zmęczonym głosem, rzucając na kanapę teczkę, płaszcz i marynarkę. Potem sama na nią padła i zrzuciła z nóg zachlapane błotem szpilki. Zamknęła oczy i wzięła mocny oddech.

- Co się stało?

- Popsuł się, w lesie za miastem. Komórka nie miała zasięgu, a nikt nie chciał się zatrzymać, aby mi pomóc. Dopiero po godzinie pomógł mi Jasiński. Gdyby akurat nie wracał do domu, to pewnie bym tam jeszcze tkwił. Wyobraź sobie, że pasek klinowy od alternatora się poluzował i nie ładował akumulatora. Na szczęście Jasiński coś pokręcił i naciągnął, a potem zaciągnął mnie w naszym samochodzie tym swoim śmiesznym garbusem. Kto by się spodziewał, że samochód na gwarancji może wywinąć taki numer? Chyba chłopaki mieli rację, że nie warto kupować koreańczyka.

- Nie przesadzaj, w końcu odpalił. Poza tym prawie 10 lat jeździliśmy starym polonezem, który palił za dwa samochody i też było dobrze. Jutro rano przed szkołą pojedę do mechanika. Przejrzą go i będzie świetnie. A teraz zapraszam do stołu.

- Naprawdę coś przygotowałeś? Jesteś kochany. Ale najpierw prysznic.

Śmiała się, jakby w ogóle nie miała za sobą ciężkiego dnia. Pobiegła do łazienki i już po chwili usłyszałem, jak krople wody uderzają o kafelki. Przed oczami natomiast widziałem, jak się namydla, a woda wsiąka w każdy jej zakątek. Poczułem się zazdrosny i spragniony jej bliskości. Ubranie zdjąłem w kilka sekund. Drzwi od łazienki były uchylone. Kabina od prysznica rozsunęła się bez problemu.

- Chciałam, abyś przyszedł – powiedziała, przyciągając mnie do siebie. Ciepła woda jeszcze bardziej rozpałała w nas namiętność. Było tak jak w pierwszych miesiącach studiów, kiedy mogliśmy się kochać o każdej porze do utraty tchu.

- Chodź do łóżka. Tam jest wygodniej – Beata nagle zapragnęła zmiany. Zimna pościel okazała się jeszcze większym afrodyzjakiem, a ja wciąż pragnąłem tej bliskości, która od wieków przyciąga kobietę i mężczyznę. W końcu jednak zmęczeni leżeliśmy obok siebie, wpatrując się w swoje oczy jak wtedy, gdy zrobiliśmy pierwszy krok w chmurach. Patrzyłem także na pełne piersi Beaty, które kusily i obiecywały kolejne rozkosze.

- No, starczy misiaczku, bo twoje narzędzie gwałtu jest już zmęczone – żartowała, okrywając się atlasowym szlafrocikiem. – A poza tym zgłodniałam.

- Oczywiście. Na śmierć zapomniałem – pobiegłem do kuchni, zawijając się w pośpiechu w mój gruby szlafrok. – Już podaję lazanie. W sam raz na odzyskanie sił.

Gdy już zjedliśmy, postanowiłem załatwić kilka rodzinnych spraw. – Dlaczego Zuza od pięciu dni mieszka u babci? Znowu coś przede mną ukrywacie? – zapytałem wprost. Byłem już w zupełnie innym nastroju, urażony w ojcowskiej dumie.

- Uspokój się. To delikatna sprawa. Mama kilka dni temu wyczuła małą grudkę pod pachą prawej ręki. Wpadła w panikę. Zuza chodziła z nią na badania. Wczoraj mama postanowiła od razu pojechać do specjalisty do Poznania. Bała się jechać sama, więc zdecydowałam, że Zuza zaopiekuje się nią, bo akurat nie ma nic ważnego w szkole. Teraz wiesz już wszystko.

Beata wyrzuciła z siebie te straszne wieści i zamilkła. W pokoju zapanowała taka cisza, że było słychać latające muchy. To było jak uderzenie młotem. Nie wiedziałem, jak się zachować. W środku znowu zaczęło mnie ssać. Odezwał się ciąg na lodówkę, ale mężnie go opanowałem.

- I ty w takiej sytuacji miałeś ochotę na seks? – zapytałem zdziwiony.

- A co? Miałam płakać bez przerwy? Codzienie płaczę i modłę się, gdy jadę do pracy. Jeśli coś się stało, to się nie odstanie. Poza tym wszystkie badania zostały już zrobione. Teraz trzeba czekać na wyniki. Zresztą mama też nie chciała, abys wiedział. Zadowolony? – krzyknęła zdenerwowana.

Już nic nie mówiłem. Przygarnąłem ją do siebie, przytulilem i ukołysałem do snu. Gdy zaczęła równo oddychać, po raz pierwszy od wielu lat pomyślałem, że życie przecieka nam tak szybko między palcami, że często nie dostrzegamy, co tracimy albo jakie cudowne doznania nas spotykały. W ogóle nie miałem powodów do narzekania. Ładna żona, w miarę udane dzieci, uporządkowane życie i zadowolający seks. A jednak coś w środku mnie ssało. Nie, tym razem to nie był żołądek. Od pewnego czasu czułem, że takie zwyczajne życie to trochę za mało, aby móc sobie bez kompleksów spojrzeć w oczy. Czyżby ten problem krył się za koszmarnym snem z Eulalią Małuszek. Spokojny oddech Beaty, która z pełnym zaufaniem spała już snem sprawiedliwego w moich ramionach, był odtrutką na te egzystencjalne strachy i pytania. Jednego byłem pewien: tylko idiota w ciągu paru chwil pod wpływem niejasnych emocji niszczy życie swoje i swoich bliskich. Ja idiotą nie byłem. Przynajmniej się za takiego nie uważałem. A już na pewno nie w chwili, gdy mnie zmorzył sen typowy dla umęczonych seksualnie.

- Wygrałeś, Boguś, wygrałeś. Ty farciarzu. Raz zagrałeś i szóstka – Beata co chwila skakała prawie pod sufit, a ja nie mogłem uwierzyć, że to jest jedyna szóstka w Polsce. Dwa i pół miliona złotych kumulacji tylko dla mnie.

- Widzisz, trzeba dać Panu Bogu szansę, to nawet za 200 groszy odmieni ci życie – powtarzałem, bo nawet nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać. Nagle poczułem, że film mojego życia przyspieszył. Widziałem się, jak chodzę w pięknym hotelowym pokoju w Paryżu, czekając na dyrektorkę ekskluzywnej szkoły średniej, do której mają uczęszczać nasze dzieci.

- Dla pana wszystko. Wystarczy podpisać ten czek – mówi Emilia Włodarczyk, trzymając w ręku kieliszek z bąbelkującym szampanem. Cały czas niebezpiecznie zbliża się do mnie, napierając swoim olbrzymim ciałem w jedwabiach.

- Nie, nie chcę Z panią nic nie podpiszę – bronię się, odsuwając się w kierunku rogu w pokoju.

- Boguś, obudź się. Nie krzycz tak. Co się dzieje? - mówi lekko zdenerwowana Beata, a ja jeszcze do końca nie wiem, czy to sen czy jawa.

- Nie, to był tylko sen – oddycham z ulgą.

- Co ci się śniło?

- Nawet do końca nie pamiętam. Już dobrze, śpij. Nie warto o tym mówić. Posłusznie położyła się obok i zamknęła oczy, a mnie zaczęła dręczyć myśl, czy nie warto jednak wykupić kuponu Totolotka, bo może to był proroczy sen. Nie miałem jednak sił, aby o tym rozmyślać. Wtulilem się więc w ciepłe ciało Beaty i oddałem się znowu snowi, aby choć przez moment uciec przed rozmyślaniami i prawdziwym strachem o teściową.

## VII

Tym razem lekcje minęły bez większych zgrzytów. Nawet babiniec pokornie napisał kartkówkę z Wokulskiego. Jagoda co prawda na tę okazję wystroiła się w tak kusą miniówkę, że jak się pochylała, to z daleka było widać różowawy kolor jej fig.

Przez moment wyobraziłem sobie siebie razem z Jagodą w chwili, gdy jesteśmy w klasie we dwoje, a jej pęka guziczek przy miniówce.

- Boże, co za nieszczęście – wyrywa się jej zrozpaczony, ale zarazem stłumiony krzyk.

- Nic się nie bój. Zaraz temu zaradzimy. Mam agrafkę – mówię i podchodzę do jej ławki, wyjmując agrafkę ze środkowej kieszeni marynarki.

- Dziękuję, poradzę sobie sama – przyjmuje agrafkę i szybko spina zwiewny materiał, a jej skupione usta stają się wilgotne i pełne obietnic.

Koniec. Koniec tej wizji. – Tomaszewski, widzę, co robisz. W tej chwili schowaj księgę cytatów i tak wiem, że nie potrafisz zapamiętać żadnego – gwałtownie przerywam chwilę rozmarzenia. A teraz siedzę nad zeszytem Tomaszewskiego. To jest jednak zdecydowany chłopak. Woli mieć i koniec. Jego ojciec, właściciel zakładu blacharskiego, zawsze chciał mieć i źle na tym nie wyszedł. Teraz firmę przejmie syn i będzie się starał ją rozwijać.

„Chcę ją doprowadzić do rozkwitu, dać pracę ludziom i czerpać satysfakcję z tego, że dzięki pracy ze mną kilkunastu mężczyzn zapewnia utrzymanie swoim rodzinom, a właściciele samochodów mogą bez awarii przemierzać dziesiątki kilometrów – napisał szczerze i bez zahamowań. Gdybym był na miejscu Tomaszewskiego, też bym pewnie tak napisał. Ale nie jestem, więc stawiam mu czwórkę za szczerłość i dodaję minus, bo jednak nie można tolerować, aby przyszła elita finansowa naszego miasta nie respektowała zasad ortografii.

Następny zeszyt należy do Basi Kosteckiej, uczestniczki pielgrzymek i oazowych spotkań w Lednicy. Ładne, wypieszczone pismo nie pozostawia wątpliwości: ona woli być niż walczyć o dobra materialne. „Rozwój duchowy jest powinnością każdego człowieka, bo Pan Bóg dał nam rozum po to, abyśmy z niego korzystali i docierali do prawdy, która pozornie wydaje się niedostępna”. Tak, ona ma także rację. Ale kto ma rację naprawdę? Czy trzeba wybierać?

Zanim zdążyłem się głębiej zastanowić, ktoś uchylił drzwi do mojego kantorka.

- Czy można wejść? – usłyszałem cichy i jakoś znajomy głos.

Po chwili weszła Ewka. Ten potwór, który bez przerwy ma o coś do mnie pretensje, tym razem był strzępem człowieka.

- Zostałam sama. Dzisiaj definitywnie odszedł ode mnie.

- Kto?

- No chyba nie kot! Nie udawaj głupszego niż jesteś! Mój Wiesiek. Po dwudziestu latach spakował dwie walizki, odpalił opla i odjechał.

- Gdzie? – nie mogłem powstrzymać ciekawości.

- Do tej małpy, którą poznał dwa lata temu na poligonie. Podobno ona go rozumie i dała mu szczęście. Wyobraź sobie, szefowa kuchni daje mu szczęście. Przez żołądek go wzięła – Ewa rozkleiła się kompletnie. Łzy leciały jej po policzkach w takim tempie, że tworzyły strumyk, z którego powstawały wielkie plamy na jej zielonkawej spódnicy. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek tę silną i pewną siebie kobietę zobaczę w takim stanie.

- Dlaczego przyszedł się wyplakiwać do mnie? Przecież od dawna okazujesz mi wrogość i nie skąpisz docinków. Logicznie byłoby więc, gdybyś zwierzyła się komuś innemu – mówiłem zimno. Byłem jak skała, bo właśnie przypominałem sobie dowcip o lusterku w toalecie. Zresztą – pomyślałem – wcale się nie dziwię, że ją zostawił, jeśli jemu też serwowała takie przyjemności.

- Boguś, wiem, że możesz mieć do mnie żal, ale tylko do ciebie mam tutaj zaufanie. Bo od ciebie bije takie jakieś ciepło i czuję, że mnie nie odtrącisz – prawie szeptała, okładając moje serce miodem. Przestraszyłem się, że w nim ugrzęznę.

- Wybacz, ale to twój problem. Nie jestem konfesjonałem dla opuszczonych. Poza tym nikt nie odchodzi nagle i zwykle winne są obydwie strony – przypominałem sobie mądrości, które wypisują w babskich gazetach. Wiem, bo Beata je kupuje namiętnie, a ja jednym okiem od czasu do czasu podczytuję.

- Pewnie masz rację, ale to nie jest taka prosta sprawa. Dla mnie to dramat.

- Tak mówią wszystkie porzucone kobiety.

- Ja się starałam. Dla niego porzuciłam ojca. Wzięłam nawet z nim ślub kościelny, choć dla mojego ojca to mogło oznaczać koniec kariery. Pogodziłam się też z tym, że Wiesiek wstąpił do ZCHN. Na dodatek leczyłam się przez wiele lat, aby spełnić jego marzenie.

- Jakie?

- On chciał mieć dziecko. I nagle tak po prostu zostawił mnie. Najgorsze jest to, że ona podobno jest w ciąży. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Może mógłbyś z nim porozmawiać? – zamilkła i spojrzała tępo w podłogę.

Nie wiedziałem już, co robić. Jak na mnie, tak wielka liczna intymnych wiadomości jednorazowo to było zbyt dużo. Miałem ochotę uciec, ale nie musiałem, bo w tym momencie do kantorka wtargnęła Zośka z sekretariatu.

- Panie Bogdanie, może pan pomóc policjantom. Właśnie przywieźli urządzenie, które podobno pozwoli zidentyfikować sprawcę fałszywych alarmów. Trzeba je szybko zanieść do gabinetu dyrektorki, ale tak, aby jak najmniej osób je widziało – trąkotała Zośka, jednocześnie dokładnie przyglądając się Ewce, która zakryła twarz rękami.

- Już biegnę. Przepraszam. Za chwilę dokończymy naszą rozmowę. Obiecuję. Zrobię, co będę mógł. Zaraz wracam – chwyciłem Ewkę w ramiona i na moment przytuliłem do siebie. A potem podreptałem za Zóską?

- Ewa się rozkleiła? – tuż za rogiem korytarza ściszym głosem, tonem dociekliwej plotkary, zapytała Zośka.

- Nie, rozboleła ją głowa.

- To może dać jej jakieś leki? - zapytała niedowierzająco.

- Nie, nie trzeba. Już ją poratowałem. A teraz chodźmy do sekretariatu, bo władza przecież nie może czekać.

Urządzenie na szczęście nie było zbyt ciężkie. Technicy szybko podłączyli je do telefonów dyrektorki i sekretarki szkoły. Dzięki temu podsłuch umożliwił szybkie ustalenie, skąd dzwoni rozmówca. Policja od tej pory miała śledzić każdy telefon do szkoły. – Komedant Eligiusz może nie jest skończonym ciamajdą – pomyślałem przez moment życzliwie o naszych glinach, wracając biegiem do kantorka. Ewki już tam jednak nie było. Usiadłem więc i chciałem nadal sprawdzać wypracowania, gdy przypomniałem sobie, że Rafał powinien właśnie wracać z wycieczki, a za dwie godziny można się spodziewać Zuzy z teściową.

- Będą strasznie głodni. Ugotuję im zupę królewską. W końcu w lodówce leży mięso z kury, na której w niedzielę robiłem rosół – postanowiłem. I zadowolony z siebie wybiegłem ze szkoły. Mój żołądek zresztą dodał mi skrzydeł, bo już niemiłosiernie mnie ssał i domagał się odwiedzin w lodówce.

## VIII

Królewska udała się. Właśnie wsypywałem do niej zielony groszek i kroilem pszenny chleb na grzanki, kiedy do drzwi zaczął walić Rafał. Gdy otworzyłem, do mieszkania wpadł jak burza. Zanim zdjął buty, zajrzał do wszystkich pomieszczeń, jakby musiał w nich odświeżyć swoje ślady zapachowe.

- Mamy nie ma? - zdziwił się.

- Przecież wiesz, że o tej porze jeszcze pracuje. Dopiero siedemnasta.

- Tak. Zapomniałem, że u nas jest odwrotnie jak w normalnych rodzinach. Matka robi kasę, a ojciec gotuje obiady. Co dzisiaj zjemy? Jestem głodny jak wilk - wyrzucał z siebie słowa, jednocześnie lustrując garnki.

- Jeszcze chwila. Umyj się, wrzuć brudne ciuchy do pralki i najlepiej się przebierz, bo cuchniesz jak cap - zarządziłem, a w duchu miałem ochotę dzielić go ścierą. Te jego uwagi czasem już wyprowadzały mnie z równowagi. Nienormalny dom! Matka robi kasę, a ojciec gotuje! Przecież nie jestem wyjątkiem. W dzisiejszych czasach wielu ojców szaleje w kuchni. Jeszcze trochę, a zaczniesz mi okazywać wyższość. Dojrzewanie dojrzewaniem, ale pewne granice muszą być. Ojcem nie można pomiatać. W tym wszystkim niewiele brakowało, a



przyciąłbym sobie palec, gdy na cząstki dzieliłem ostatnią część kury, podjadając prawie bezwiednie małe kęski. Wiem, że to zły obyczaj, ale jednak od czasu do czasu mu ulegam.

Zupa parowała, grzanki już się piekły, a Rafał, stukając łyżką o talerz, opowiadał wrażenia z wycieczki. Najważniejsze było to, że nie zwymiotował, choć w czasie zawodów między chłopakami w ciastkarni zjadł **dziesięć** eklerów. I tak zajął drugie miejsce. Rekordzista wsunął aż trzynaście. - Były super. Prawie jak twoja zupa. Naprawdę gotujesz świetnie. Lepiej niż matka Damiana, choć ona kończyła jakiś kurs, a mimo to kupuje najczęściej gotowe kopytka i mielone w garmażerze - trajkotał, wymiatając z talerza już drugą dokładkę.

- Może po prostu nie ma czasu - broniłem gospodyni domowej. Jakby nie było, koleżankę po fachu. Sam zresztą czasem w ten sposób oszukiwałem rodzinę, dorabiając jedynie w domu do kupnych rzeczy sos albo jakąś przystawkę. Rafał jednak wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę ze mną.

- Daj **kasiorę**, to oddam Marcinowi za grę. Potem ją zainstaluję i możemy razem pograć. W sklepie widzieliśmy **demo**. Mówię ci, odjazd kompletny. No to spadam - krzyknął w drzwiach.

A to ci łaskawca. Na szczęście jeszcze dopuszcza mnie do komputera i zaczyna odrabiać lekcje, gdy już się na niego drugi raz pokrzyczy. Ale to się niedługo skończy. Wkrótce mój ojcowski autorytet pryśnie, bo w komputerowych sztuczkach go nie dogonię. Natomiast w przyrządzaniu obiadów jestem dla niego jeszcze pewnym autorytetem. Może na tym należałoby coś budować? Tylko jak?

Ogłuszający warkot naszego dzwonka przy drzwiach wyrwał mnie z zadumy. Tym razem do domu ściągnęła moja wyrośnięta i zgrabna córka (z niepokojem od dłuższego czasu patrzyłem na jej cudnie rozwijający się biust), a za nią prawie jak cień wolniutko weszła teściowa. Nie musiały nic mówić. Grobowe miny mówiły same za siebie. Było źle.

- Proszę do stołu. Już podaję królewską. Mama bardzo ją lubi, prawda - próbowałem narzucić temat i udawać, że nic nie wiem. - Nie wysilaj się, Boguś. Teraz nic nie przełknę. Nie mogę. Poza tym Beata mi dzisiaj powiedziała, że już o wszystkim wiesz. Nie musisz nic udawać. Tak, mam raka - powiedziała teściowa.

Potem rozplakała się tak, jak się płacze, gdy nikt nie widzi. Przytuliłem ją do siebie na kanapie, a **Zuza** gładziła ją po głowie z drugiej strony.

- Babciu, uspokój się. To przecież nie jest jeszcze wyrok. Profesor powiedział wyraźnie, że jeśli operację przeprowadzi szybko i wytnie zaatakowaną tkankę, to jest naprawdę duża szansa, że nie dojdzie do przerzutów - moja córka mimo czternastu lat była naprawdę spokojna i rozważna.

- Dobrze, córuś, zaraz o wszystkim porozmawiamy, ale teraz niech się babcia wypłacze, czasem to bardziej pomaga niż cokolwiek innego - starałem się zachowywać spokój. Poczuję się jak opoka nad drobnym ciałem mojej teściowej, która przylgnęła do mnie jak kurczak do kwoki, gdy szuka ciepła i bezpieczeństwa.

Siedzieliśmy już tak kilka minut, wsłuchując się w jej coraz spokojniejszy szloch, gdy do domu wróciła Beata. Od razu zrzuciła swój płaszcz i w najlepszej garsonce przytuliła się do matki, zajmując miejsce wnuczki.

- Gdyby nie wy, pewnie umarłabym ze strachu - wyszeptła po chwili teściowa.  
- Cały czas dziękuję Bogu, że mi was dał. Dziękuję także za tak wspianą wnuczkę - gładziła **Zuzę** po rękach, a łzy wypełniły cztery pary oczu. Dopiero wtedy, gdy spojrzeliśmy na siebie i **wybuchnęliśmy** śmiechem. Chyba wszyscy odczuliśmy w tym momencie to, o czym zwykle się nie mówi: prawdziwą miłość w rodzinie.

- To może jednak zjemy królewską? - zaproponowałem, gdy wreszcie ochłonąłem. Tym razem nikt nie zaprotestował, a teściowa nawet poprosiła o dokładkę.

- To dobry znak, mamó. Teraz musi mama się dobrze odżywiać, aby szybko odzyskać siły po operacji - gładko wszedłem w rolę optymisty. Beata zaraz rozwinęła cały plan. Przez komórkę wzięła wolne, w kilka minut spakowała się i postanowiła, że noc spędzi u teściowej, aby rano od razu pojechać z nią do kliniki w Poznaniu. Tam miały się odbyć ostatnie badania i jeśli to będzie możliwe - operacja. Nie protestowałem. To było dobre rozwiązanie. Przed wyjazdem jeszcze raz przytuliłem teściową i zapewniłem ją, że na pewno wszystko będzie dobrze. Potem popłakała się w objęciach **Zuzy**, a gdy w końcu zamknęły się drzwi, w mieszkaniu zapadła cisza.

- Jesteś kochany. Niewielu ojców potrafi tak okazywać uczucia. Nie wiedziałam, że płacz może pomagać - wyznała moja córka, otulając się kocem.

- Dużo jeszcze nie wiesz. I życzę ci, abyś nie musiała się często uczyć życia w takich okolicznościach - wszedłem na ojcowski piedestał i nagle uświadomiłem sobie, że **Zuza** przecież musi odrobić lekcje i jutro pójść do szkoły. A co z zadaniem domowym? - zaatakowałem znienacka.

- Jak teraz możesz o coś takiego pytać? Nie bądź belfrem, **please** - prosiła.

- Niestety, jestem nim od 12 lat. Myśl o zadaniu domowym jest wdrukowana w mój umysł. To taka choroba zawodowa, panienko.

- Babcia może umrzeć, a ty lekcje i lekcje. Odwołuję **wszystko**, co przed chwilą o tobie powiedziałam - **spróbowała** szantażu.

Mimo to nie ugiąłem się, zwłaszcza że okazało się, iż w szkole nie była już od czterech dni. Szybko się nadała i z wielką niechęcią poszła w końcu do swojego pokoju. A ja zostałem sam z kłębiącymi się myślami, w które w kilka minut później z całym impetem wdarł się Rafał.

- Zagramy? - krzyknął już w drzwiach.

- Nie, ale za to porozmawiamy.

- Co znowu? Przecież nic nie przeszkobałem, aby wysłuchiwać kazań. Mamó, ratuj - zrobił minę skrzywdzonego dziecka.

- Mamy nie ma. Będzie dzisiaj spała u babci, która jutro jedzie na operację do Poznania. Babcia ma raka i trzeba go wyciąć.

- O Jezu, nic nie wiedziałem.

- Ale teraz już wiesz i musisz mi pomóc, abyśmy się tu wszyscy nie rozkleili.

- To nie jest śmiertelne?

- Chyba nie, ale na razie nic pewnego nie można powiedzieć. - Dlaczego? - Rafał już stracił swój beztroski stosunek do świata.

- Bo rak już taki jest, że nigdy nie wiadomo, jak mocno zaatakował. Jest szansa, że babcia go jeszcze pokona.

- Czy mogę z nią porozmawiać?
- Może lepiej teraz nie. Na razie potrzebuje spokoju. Może jutro rano.
- No dobrze, ale szkoda, że nikt mi nie mówi o tym, że źle się dzieje w domu.
- Sam się dopiero wczoraj dowiedziałem. Przedtem to była tajemnica kobiet.
- **Zuza** utrzymała tajemnicę? - Rafał aż gwizdnął z podziwem. - Nie znałem jej od tej strony.
- Wielu rzeczy nie znasz jeszcze, chłopie - znowu wszedłem na katedrę.
- Dobrze, jeśli teraz miałyby być coś o lekcjach, to wolę ten punkt pominąć, bo sam miałem to zrobić - uprzedził moje myśli, zadowolony, że tak świetnie mnie zna.

Wymieniliśmy znaczące uśmiechy i każdy poszedł w swoją stronę. O dziwo, bez konieczności perswazji z mojej strony. Czyżby nagłe emocje tak dobrze wpływały na charaktery? Na mój jednak raczej nie, bo po chwili wyładowałem przy lodówce. Pęto kabanosów było tak pociągające, że nie mogłem mu się oprzeć. W kilka chwil zjadłem je całe i poprawiłem świeżą pajdą **chleba** z grubą warstwą masła. Dopiero wtedy uspokoiłem się wewnętrznie.

## IX

„Spór między mieć a być to problem wtórny. Pierwotna jest kwestia mozolnego wadzenia się z losem. Ją w naszej kulturze symbolizuje mit Syzyfa, który uparcie toczy swój kamień w górę, choć wciąż nie może osiągnąć szczytu. Ten stan egzystencjalny od niego nie zależy. Syzyf może jedynie zdecydować, czym wypełni swoją wędrówkę. Jedni wybierają doświadczenia duchowe, inni - gromadzą dobra. Ja jeszcze nie wiem, co wybiorę. Na razie najbardziej fascynuje mnie miłość” - napisała Kasia **Sikorska**. Przeczytałem dwa razy ten fragment, zanim uwierzyłem, że ta niepozorna, maleńka dziewczynka spod okna, która rzadko zabierała głos na lekcjach, ma tak głębokie przemyślenia. Poczułem, że nie doceniam niektórych moich uczniów. Byli o wiele mądrzejsi niż się spodziewałem. Miała rację. Przede wszystkim jesteśmy Syzyfami. Sam właśnie odczułem ciężar swojego kamienia, który gniótł mnie z wielu stron, naciskając bolące miejsca. Przygniotły różne sprawy. Życie nagle pokazało, jakie jest kruche i zmienne. Dopadł mnie strach i ból, ale nie opuścił jaskółczy niepokój. Poczułem się jak w matni: między obowiązkami wobec rodziny a odpowiedzialnością za własne życie.

- To prawie wybór jak w tragedii - uśmiechnąłem się do siebie, stawiając Kasię piątkę. Właściwie za inspirację powinienem jej postawić dodatkową ocenę. Postanowiłem jednak, że wynagrodzę ją dodatkowo dobrym słowem.

Jedząc waniliowy serek z owocami Fantazja siedziałem już nad **wypracowaniami** moich uczniów trzecią godzinę, gdy komórka dała cicho znać, że otrzymałem nową pocztę. To Beata namawiała mnie, abym wyszedł na krótki spacer i chwilę z nią porozmawiał.

- Za pięć minut znowu zadzwonię, bo właśnie wychodzę z Ciapkami. Wyjdź też. Musimy pogadać - prosiła.

Również miałem ochotę na chwilę odpoczynku, zwłaszcza że moje dzieci jakoś dziwnie szybko poszły spać.

- Zbyt dużo wrażeń - oceniłem. Chrupiąc kakaowe wafelki, które znalazłem w kieszeni kurtki, po chwili już snułem się po niewielkim parku, który przed kilku laty

założono obok naszej kamienicy. Beata nie kazała długo na siebie czekać.

- Mama właśnie zasnęła, a ja wyszłam z **Ciapkiem**, bo był dzisiaj wyraźnie zaniedbany - mówiła spokojnie.

- A kto się nim jutro zaopiekuje?

- Pani Helenka z naprzeciwka. Sama przeszła szczęśliwie podobny zabieg, więc doskonale rozumie sytuację.

- To wszyscy już o tym wiedzą? - zaniepokoiłem się. - Jak tak dalej pójdzie, to powiadomicie całe miasto.

- Nie przesadzaj. To najlepsza przyjaciółka mamy. Ale uspokój się. Nie o tym chciałam rozmawiać.

- A o czym?

- O tym, że cię kocham. Tak ująłeś mamę, że bez przerwy cię wychwalała. To mi po raz kolejny uświadomiło, że kocham cię najbardziej na świecie.

- Ja ciebie też, ale musimy pogadać, bo dręczy mnie Syzyf.

- Kto?

- Ten mitologiczny Syzyf, który pcha kamień na górę.

- Ty też?

- Co ja?

- Czy ty też pchasz? - powtórzyła nieco zdenerwowanym głosem.

- Każdy pcha, ale nie każdy odczuwa, że trzeba wybierać, w imię czego pcha.

- To skomplikowane. Nie za bardzo kombinujesz?

- Może, ale ci wyjaśnię.

- Teraz?

- Niekoniecznie. Syzyf może poczekać. Ma czas. W końcu pcha od czasów starożytnych. Kilka dni go nie zbawi.

- Dobrze. A teraz trzymaj się ciepło i nie jedz już więcej, bo cały czas młaszczesz i sapiesz, gdy rozmawiasz. To zły znak. No, idź już, bo **przemarzniesz**.

- Ty też. I jutro nie szalej na drodze. Kocham cię.

- Ja też, a teraz biegnę, bo Ciapek gdzieś mi zwiął.

I zostałem sam z Syzyfem, wyborami i wafelkiem między zębami, który uświadomił mi, że moje ciało pęcznieje. Ze strachu przed dalszymi skutkami tego procesu aż się spociłem.

Na razie jednak odpuściłem sobie wewnętrzne dylematy, bo ortografia **Kozłowskiego** była tak niezrozumiała i denerwująca, że z ciężkim sercem, ale i wewnętrznym poczuciem sprawiedliwości, postawiłem mu jedynekę.

- To dla twojego dobra - komentowała w takich sytuacjach **Eulalia Małuszek**. Ja nie komentowałem, ale wierzyłem w wewnętrzną przemianę, którą sam przeszedłem między drugą a trzecią klasą licealną, kiedy problemy z ortografią same minęły, jakby ktoś tę plagę boskim wyrokiem ode mnie odjął. Dla uspokojenia skołatanego serca postanowiłem sobie zrobić herbatę.

- Jeszcze nie śpisz? - zaniepokoiła się nagle moja córka.

- Nie, męcę się nad arcydziełami moich uczniów - wyjaśniłem, siadając obok jej łóżka.

- Jak im poszło?

- Różnie. Jedni filozofują, inni denerwują. A ty dlaczego nie śpisz?

- Nie mogę. Babcia wciąż mi się śni. Boję się, że to może być zły znak.  
- Nie dramatyzuj. Lepiej się wyśpij i jutro trzymaj za nią kciuki.  
- Ale dlaczego ona?  
- Nikt ci tego do końca nie wyjaśni. Może to próba, a może to jej kamień.  
- Jaki kamień?  
- Ten od Syzyfa. Każdy go pcha.  
- Nie, są tacy w czepku urodzeni.  
- Tak ci się tylko zdaje. Oni też coś pchają.  
- A ty? - zaniepokoiła się moja córka.  
- Owszem, ale to mój problem.  
- Mój też, bo w końcu możesz spaść z góry, kamień cię przygniecie i dom mi się zawali - mówiła śmiejąc się.  
- Nie zawali się. Ja pcham spokojnie. A teraz śpij już - pocałowałem ją na dobranoc i pobiegłem do kuchni, gdzie czajnik gwizdał w niebogłosy. W lodówce stała świeża sałatka jarzynowa. Nie mogłem się jej oprzeć.  
Przegrałem, ale na moment, bo **kibelek** w łazience przyjął ją jeszcze szybciej niż trwało jej spotkanie z moim przelykiem. Świeży strumień wody ukrył moją przegraną, choć zaczerwienione oczy mówiły wiele o wstydlwym wysiłku

**X**

Na Wieśka wpadłem tuż koło targowiska. Stał w bramie i wyraźnie nie wiedział, co robić: spotkać się ze mną oko w oko, czy też uciekać? Nie dałem mu szans. Już z daleka pomachałem ręką, aby wiedział, że go widzę. Na szczęście nie uciekł.

- Cześć uciekinierze? Ładnie to tak? Działacze ZCHN uważają przecież rodzinę za wartość najwyższą? - zaatakowałem wprost, ale nieco ironicznie.

Skrzywił się. Od czasu ostatniej studniówki, kiedy przy wspólnym stole mieliśmy okazję pogadać, wyraźnie wyłysiał. - **Ewcia** cię nastąpiła? - domyślił się.

- Nie da się ukryć - odpaliłem, ale zaraz pożałowałem, bo znowu skrzywił się i zrobił w tył zwrot.

- Nie przesadzaj. Nie będę cię przecież ciągnął do niej na siłę. Zagaduję raczej z ciekawości. No i może dlatego, że popłakała się przede mną, a lzy kobiet mnie wzruszają. Głupie, ale tak jest.

- W jej wykonaniu mnie to już nie rusza. Tyle razy odegrała przede mną ten spektakl, że rola się zgrała. Ale dobrze. Jeśli masz chwilę, to pogadamy przy piwku.

Akurat tak się składało, że mogłem mu poświęcić godzinkę. Poszliśmy więc do baru na targowisku. Urządzony w stylu westernowego **saloonu** dawał możliwość dyskretnego porozmawiania przy stoliku za filarem, gdzie od razu pożeglowlaliśmy, wymijając rozplywającego się w powitaniach Felusia Arizonę.

- Pan profesor zawitał do naszego królestwa. To trzeba odnotować w annałach - zaczął wykwinć, a skończył kolejną prośbą o wsparcie finansowe. Razem z Wieśkiem daliśmy mu po złotówce, więc szybko pobiegł do bufetu i dał nam spokój.

- Nie myśl, że często tu goszczę, ale w mieście właściwie nie ma małej knajpki, gdzie można by spokojnie pogadać, coś dobrego przegryźć, posłuchać muzyki i wypić w dobrym towarzystwie piwo - usprawiedliwił się.

- Nie musisz się usprawiedliwiać. Nie jestem twoim sędzią i spowiednikiem - jeszcze raz ustaliłem warunki rozmowy.

- Ale ciekawość cię zżera? - pytał, otwierając dwa żywce.

- Gdybyś został wtajemniczony w rodzinny dramat, też by cię zżerała - przyznałem zgodnie z prawdą.

- A co ci powiedziała?

- Że odszedłeś do innej, bo nie mogła ci urodzić dziecka. Prosiła, żebym delikatnie wybadał, czy przypadkiem nie mógłbyś wrócić?

- Hola, nie tak prędko. Ty nie wiesz, co przeszedłem, więc tak szybko nie przyjmuj jej punktu widzenia.

- Nie ma sprawy. Zgoda. Słucham - pociągnąłem łyk żywca i poczułem w sobie ożywczy chłodek. Nie spodziewałem się tutaj dobrze schłodzonego piwa.

- Pamiętasz taki film z Sofią **Loren** i **Mastroianim**, w którym on, aby ona nie poszła do więzienia, co rok robił jej dziecko? W końcu jednak stracił męskie siły i ona z gromadką dzieci trafiła do kozy - wyrzucał z siebie bardzo cicho Wiesiek.

- Pamiętam, ale co to ma do rzeczy?

- Ma, bo z nami było podobnie.

- Żarty?

- Wcale nie. Prawie 20 lat bez przerwy mnie męczyła, ale nic nie wychodziło. Poczuję się winny jak ten facet i w ogóle straciłem do niej pociąg.

- Zaraz. Ona mówi, że to ty bardzo chciałeś dziecka.

- Najpierw tak, ale gdy się okazało, że nie wychodzi, to dałem spokój. Wtedy ona zaczęła szaleć.

- Trzeba się było leczyć.

- Robiliśmy to, ale lekarz stwierdził, że mam tak mało zdrowych plemników, że tylko cud pozwoli mi spłodzić dziecko.

- A zapłodnienie **in vitro**?

- Proponowałem, ale Ewa uważa, że to sposób dobry dla krów, a nie kobiet.

- To może adopcja?

- Nie wchodzi w grę, bo kuzyn Ewy z Warszawy adoptował chłopaka, który - gdy dorósł - prawie zniszczył mu rodzinę, a na pewno doprowadził do ruiny. Sam wiesz, po czymś takim trudno ryzykować.

- Ale przecież dzieci bywają różne. Patologia to wyjątki. Zresztą najczęściej jest skutkiem wychowania.

- Masz rację, ale nie chciała i koniec. Ja też miałem dość tej szarpaniny. Poza tym poznałem **Anetkę**. Ona jest zupełnie inna. Przy niej odzyskuję równowagę. Chcesz, to pokażę ci jej zdjęcie. Noszę je zawsze przy sobie, bo wtedy jakoś mi cieplej na sercu.

Nie zaprotestowałem, wyciągnął je z portfela i położył przede mną. Okragłutka blondynka z mocno wyciętym dekoltem i zalotnie nastroszonymi włosami, które podtrzymywała rękami opartymi o blat jakiegoś baru, jednoznacznie kusiła wzrokiem.

- To przecież **Aneta** Dziwisz, jeśli dobrze pamiętam - przypomniałem sobie.

- A ty skąd ją znasz? - przestraszył się Wiesiek i natychmiast schował zdjęcie.

- Ze szkoły, mój drogi. Pięć lat temu pisała u mnie maturę z polskiego w liceum wieczorowym. Nawet jej nieźle poszło. Poza tym rzucała się w oczy w tych

kusych i obcisłych spódniczkach, które jeszcze bardziej podnosiły się w górę, gdy szła do klasy. Niezła laska. Pewnie wielu wodzi na pokuszenie? - zapytałem nieco zadziornie.

- To pozory, a tobie od razu rodzą się kielbie we łbie. Boguś, stary, już cię dopadł syndrom czterdziestki. Pewnie masz erotyczne wizje z uczennicami? - odparował z ironicznym uśmiechem w oczach.

- Nie przesadzaj. Nie jest jeszcze tak źle - wyjaśniłem nieco nerwowo, starając się za wszelką cenę opanować nadciągający atak pąsu na twarzy. Siłą woli powstrzymałem także pocenie. A po chwili pożegnałem się pod pretekstem zbliżającego się dzwonka. Miałem nadzieję, że nie schwytał mnie na kłamstwie jak jakiegoś uczniaka. Prawie od niego uciekałem, bo za nic w świecie nie przyznałbym się do wyobrażeń na temat Jagody. Kiedy jednak opuściłem rozkrzyczane i pełne towarów targowisko, dosłownie na nią wpadłem na ulicy, bo też szła już do szkoły.

- Piwo na początek dnia? Nie spodziewałam się, że pan tak się wzmacnia przed spotkaniem z uczniami - powiedziała tonem dyrektorskim.

- Bez takiej poufałości, proszę. Poza tym dyskrecja jest w cenie - uśmiechnąłem się porozumiewawczo.

- Nie ma sprawy, tym bardziej że mam powód do wdzięczności.

- Za co?

- Za utwierdzenie mojej matki w przekonaniu, że dobrze robi, gdy walczy z ojcem o moją przyszłość.

- Nie przesadzajmy. Nic aż tak jednoznacznego nie powiedziałem.

- Może nie, ale matka zrozumiała to inaczej i w dyskusjach z ojcem zaczęła się podierać pana autorytetem.

- O Boże. Pozostaje zatem jedno: musisz sprostać temu wyzwaniu, bo inaczej obydwójce wyjdziemy na tym fatalnie.

- Właśnie. Dlatego postanowiłam, że wystartuję w ogólnopolskim konkursie recytatorskim, a potem może w "Szansie na sukces". Justyna **Steczkowska** też w niej zaczynała - mówiła, przyglądając się wokalistce, która z **billboardu** zachwalała jakieś pończochy. - Może **pomógłby** mi pan wybrać repertuar? Potrzebny jest wiersz i fragment prozy.

Nie mogłem odmówić. Nawet umówiłem się na popołudnie w moim kantorku. Jagoda zaraz pobiegła do koleżanek. Babiniec coś **strajkował**, a ja postanowiłem jeszcze przed lekcjami umyć zęby, aby zabić zapach piwa. W końcu mogła mnie odwiedzić Emilia i gdyby je wyczuła, to pewnie wyskoczyłaby z pretensjami. Na szczęście droga była wolna. Dopiero przed samym kantorkiem stał mały, skurczony mężczyzna po pięćdziesiątce.

- Pan **Małecki**? - zapytał, kiedy mordowałem się z zamkiem u drzwi.

- Tak, a w czym mogę służyć?

- Nazywam się Zenobiusz **Wojtalik**. Pan uczy moją córkę Agatę z III D.

- Właściwie to chciałbym ją uczyć, bo w ciągu trzech ostatnich miesięcy widziałem ją tylko dwa razy na lekcji. Inni nauczyciele też jej nie pociągają.

- Ja właśnie w tej sprawie.

- Proszę, możemy chwilę porozmawiać.

**Wojtalik** usiadł obok mojego biurka, zrobił się jeszcze mniejszy. Zgarbiony i

skurczony sprawiał wrażenie zdeptanego przez życie. Wyraźnie się męczył i nie wiedział, jak zacząć.

- Dobrze. Nie będę nic ukrywał - wreszcie wyrzucił z siebie. - Mam wielki kłopot. Córka przed kilku miesiącami poznała pana, który jest dla niej zdecydowanie ważniejszy niż ja. Nawet się do niego przeprowadziła. Nic nie mogę zrobić, bo skończyła już 18 lat i formalnie jest dorosła. Ale boję się, że zawali szkołę, miłość się skończy i zostanie na lodzie. Może pan mógłby pomóc?

- Faktycznie amory w tym wieku to problem. A może ten kochaś ma dobre zamiary?

- Właśnie się rozwodzi. Córkę ma o rok młodszą od Agaty. Wychodzi na to, że rozbiła rodzinę. To też mnie boli. Może nawet bardziej niż to, że nie chodzi do szkoły.

- Jednak każdy ma swój kamień - wyrwały mi się na głos kłębiące się w głowie myśli.

- Jaki znowu kamień? - nieco się zirytował **Wojtalik**.

- Ten od Syzyfa. Pamięta pan grecki mit o Syzyfie, który pcha swój kamień na szczyt i nie może go tam nigdy umieścić, bo zawsze spada? To jego kara. Każdy ma swój kamień. Ale to nie znaczy, że nie można innych prosić o pomoc.

- Ja proszę pana. Pan ma z nimi wspólny język. Może pana posłucha, a ja się odwdzięczę. Jestem lekarzem. Może ktoś w rodzinie potrzebuje pomocy? Niech pan ratuje młode życie. Bardzo pana proszę - mówił niezwykle szybko i zaraz spojrzał na mnie tak prosząco, jak to robi Ciapek teściowej, gdy liczy, że dostanie smakołyk ze stołu. Nie miałem siły go strofować i wyrzucać za próbę przekupstwa. Zresztą od razu przypomniała mi się teściowa, więc wolałem go nie zniechęcać.

- Nie mogę nic obiecać, bo jej po prostu nie ma w szkole. Jeśli zacznie chodzić na zajęcia i nadrobi materiał, to jeszcze ma szansę na promocję.

- Dziękuję. To i tak bardzo wiele. Będę bardzo, ale to bardzo wdzięczny - zapewnił **Wojtalik** w ukłonach.

Po chwili już go nie było, a gdy zamknąłem za nim drzwi, na krześle zobaczyłem białą kopertę. W środku było 500 zł. Nie zastanawiałem się. Pobiegłem za nim. Dopadłem go na parkingu przed szkołą, gdy już wsiadał do swojego golfu.

- Niech pan to schowa. Nie tak się umawialiśmy. Ja mam swój honor. Mam nadzieję, że nie uzgadniał pan z Agatą takiego rozwiązania. Żegnam.

Nie czekałem na wyjaśnienia. Wróciłem do szkoły, umyłem zęby i poszedłem na lekcje do Ie. Przez **Wojtalika** mieli dzisiaj niespodziewaną kartkówkę.

## XI

Jagoda była punktualna. Zjawiła się o piętnastej. Pięć minut potem, jak zobowiązałem Rafała, aby kupił coś na obiad. Po piwie ssało mnie niemiłosiernie, bo od rana nic nie jadłem. Miałem wrażenie, że brzuch mi się skurczył.

- Chyba chudnę - pomacałem mój wałek **tłuszczu** pod koszulą. Był na swoim miejscu, ale jakby odrobinę mniejszy. - A może nic nie jeść? Przejść na głodówkę i stracić brzuch całkowicie? - medytowałem, wciągając i wypuszczając powietrze. Właśnie byłem na wdechu, gdy otworzyła drzwi. Już zdążyła się



przebrać: ze skromnej uczennicy przeobraziła się w hipiszkę w kolorowej sukience, z masą koralików na ręce i burzą włosów na głowie związaną chustką pod kolor. Na dodatek pomalowała usta jakąś odblaskową szminką. Dla mnie? Nie śmiałem tak myśleć.

- Nie przeszkadzam?
- Nie, rozgość się.
- Może herbaty?
- A ma pan malinową?
- Mam.
- To poproszę.

Krzątałem się przy czajniku, a ona w tym czasie referowała, jakie utwory wybrała i co chciałyby recytować. No tak, oczywiście miłość. **Pawlikowska-Jasnorzewska** i **Poświatowska**, a potem jeszcze fragment z listów Sylwii **Plath**.

- One naprawdę cierpiały i tęskniły do prawdziwej miłości. Tak samo jak ja. Nie chcę jakiejś łatwizny i dobroduszości naiwnej panienki - mówiła zagryzając usta.

- To musi być tekst o głębokim przeżyciu.

- Myślisz, że w twoim wykonaniu zabrzmi wiarygodnie? W twoim wieku?

- A co tu wiek ma do rzeczy. Liczy się, czy potrafię wyrazić uczucie i dramat bohaterki.

- Jesteś pewna? - powiedziałem jakoś miękko i zapadła cisza. Jagoda zmieszała się i cała spąsowiała.

- To ja już pójdę. Może najpierw opanuję teksty na pamięć, a potem pan posłucha? - zapytała, pakując książki do sznurkowej torby.

- Dobry pomysł, ale może najpierw wypijemy herbatę - wyrwałem się z odrętwienia, a dźwięk komórki w ogóle zmienił nastrój. To Rafał meldował, że kupił naleśniki z mięsnym farszem i że czeka na mnie.

- Dobrze, zaraz wracam - powiedziałem i wyłączyłem telefon. Jagoda już jednak wymknęła się, choć woda na herbatę dopiero się zagotowała.

- Może to i dobrze - pomyślałem, bo budziła we mnie coś, czego się bałem. Gdyby choć przez chwilę zachowała się inaczej, to może bym eksplodował i zrobił coś za dużo. Na szczęście przypomniał mi się **Wojtalik** i to mnie bardzo ochłodziło.

- Idziesz? Bo już chcę jeść - znów ponaglił mnie Rafał. Naleśniki były świetnie **wysmażone**, ale farsz został słabo przyprawiony.

- Zrobiłbym go lepiej. No i jeszcze dodałbym pikantny sos - tłumaczyłem Rafałowi, ale nie przeszkadzało nam to w ekspresowym wchłonięciu całej porcji.

- Jeszcze coś by się zjadło? - zapytał.

- Czemu nie?

- Pomyślałem do tym - uśmiechnął się przebiegle i wyciągnął z lodówki lody z "Zielonej budki". Smakowały wspaniale, zwłaszcza gdy dołożyliśmy do nich bitą śmietanę i krojoną czekoladę.

- Jak możecie? W Poznaniu kroją babcię, a wy tu się obżeracie - zgromiła nas słowem i spojrzeniem **Zuza**, która akurat wróciła ze szkoły.

- A skąd wiesz? W południe jeszcze nie było to pewne. Mama mówiła, że dopiero babcię badają - relacjonowałem stan swojej wiedzy.

- Czuję. Po prostu. Mam przecież tę kobiecą intuicję - oburzyła się moja córka,

kołysząc się na kanapie jak sierota z domu dziecka.

- To ty już jesteś kobietą? - zachichotał Rafał.

- Tato, weź go, bo coś mu zrobię - **Zuza** zacisnęła powieki i była gotowa do ataku, a jej buty na słoninie rzeczywiście mogły wylądować na głowie Rafała.

- **Pax** moje dzieci. Dobrze, dzwoniemy do mamy - zarządziłem i jakoś udało się doprowadzić do rozejmu, tym bardziej że **Zuza** też w końcu sięgnęła po lody i naleśniki, które szybko jej odgrzaliśmy.

- Już po wszystkim. Profesor stwierdził, że nie ma sensu czekać. Tym **bardziej**, że akurat wypadł zaplanowany wcześniej zabieg. Mamę operowali niecałą godzinę. Mówią, że wycieli całą chorą tkankę, razem z węzłami chłonnymi. Podobno nie ma przerzutów, ale to muszą potwierdzić dalsze badania. Teraz czekam, aż się obudzi. Chyba zostaną na noc u ciotki. Jutro też tu będę - Beata mówiła szybko, ale z pewną ulgą w głosie. Wszyscy odebraliśmy to tak samo.

- A nie mówiłam, że babcię kroili? - tryumfowała **Zuza**, przekonana, że dzięki jej zaciśniętym kciukom wszystko poszło dobrze.

- Chyba zostaniesz wróżką - ironizował Rafał.

- Przestań. Z tego nie można żartować. Może poszlibyśmy do kościoła, aby podziękować i poprosić o Boże Miłosierdzie dla babci? - zaproponowałem pełen wewnętrznych wyrzutów z powodu myśli o Jagodzie, które wyparły obowiązki wobec teściowej.

- Do kościoła? Jak trwoga, to do Boga. Tak robią niedzielni katolicy - szydził Rafał.

- Przestań. Tata ma dobry pomysł. Taka choroba to nie czas na żarty. Idziemy - poparła mnie **Zuza**.

Z ociąganiem, ale jednak Rafał poszedł z nami. W kościele było pusto. Mój syn miał rację: nie byłem wzorowym katolikiem. Do kościoła chodziłem, jak się bałem albo przygniatały mnie problemy. Moje kamienie z góry Syzyfa. Modliłem się przed maturą i egzaminami na studia. Później, gdy Rafał dostał drgawek w trzecim dniu po urodzeniu oraz gdy moja matka nagle zachorowała w tydzień po śmierci ojca. W tym ostatnim przypadku modlitwa nic nie pomogła.

- Bez niego życie nie miało dla niej sensu - tłumaczyła mi teściowa. Teraz ja prosiłem Boga, aby darował jej jeszcze kilka lat dobrego życia, bo wcale nie chciała się żegnać z tym najlepszym ze światów. Wcale to nie było łatwe. Powtarzanie modlitw, które poznałem w dzieciństwie, nie wydawało mi się najlepszym sposobem na dotarcie do Opatrzności. Częściej prowadziłem z Bogiem rodzaj rozmowy, mając nadzieję, że nadstawi ucha i okaże łaskę. Tym razem też uklęknąłem, ukryłem twarz w dłoniach i próbowałem się skupić. Jak na złość jednak zamiast obrazu teściowej umysł uruchomił film z kościelnymi scenami w "**Hair**". Poczułem się jak kuszony. Aby się uspokoić, na moment spojrzałem za siebie. Nie, Szatana tam nie było, ale dokładnie w tej chwili profesor Ewa wyszła z **zakrystii** i na palcach, prawie bezszelestnie, bocznym kruzgankiem wymykała się ze świątyni, aby przypadkiem ktoś jej nie zauważył.

- Jak trwoga to do Boga - jeszcze raz zabrzmiało mi w uszach zgryźliwe zdanie Rafała. Ale jednak pokonałem oporną wyobraźnię i przypomniałem sobie teściową, gdy błogosławiła nas na ślubie, a potem cieszyła się kwilącym wnukiem.

- To cud, że tak się wam udało. Będzie z niego kawał chłopca - zachwycała się.
- Panie, nie zabieraj nam jej. Potrzebujemy jej opieki, ciepła i obecności. Niech będzie z nami długie lata - prosiłem, nie licząc na odpowiedź. Bo niby dlaczego akurat ja miałbym ją dostać. Bardziej zależało mi na pomocy. Po 15 minutach skończyłem, Rafał już nudził się przed kościołem.
- Myślałem, że tam spędzisz parę godzin. Ascetą chcesz zostać? - ironizował, kopiąc kamień.
- Zamknij się. Jesteś dupek - wychowawczo potraktowała go **Zuza**, przytulając się do mnie.
- Jeśli rzeczywiście myślisz o liceum, to radzę zapoznać się ze słownikowym objaśnieniem pojęcia asceta. Na razie nie wróżę wielkiego sukcesu na testach kompetencyjnych - dołożyłem z katedry swoje.
- O jejku, nudzicie jak stare zgredy. Z wami to nawet nie można pożartować - bronił się Rafał.
- Teraz nie czas na żarty. Babcia liczy na naszą pomoc i ma do tego prawo. Róbmy więc, co możemy - ciągnąłem.
- Dobrze, już dobrze, ale teraz spadam do Maćka - powiedział i zniknął za zakrętem. A ja z **Zuzą** poszliśmy wyprowadzić Ciapka, bo jemu też należała się opieka rodziny. Poza tym przez skórę czuliśmy, że gdy go wyprowadzimy, to w jakimś sensie pomożemy babci.

## XII

- Ciapek leżał na naszej kanapie. Sąsiadka babci akurat musiała wyjść, więc było jej na rękę, że chcemy go zabrać na spacer.
- Jutro muszę iść rano na targ. Po zakupach wpadnę i zabiorę go z waszego domu do siebie. Czy coś by się stało, gdyby przenocował u was? - zapytała, wyraźnie licząc, że nie odmówimy.
  - Nie odmówiliśmy. Pies na szczęście nas lubił, a jeszcze bardziej naszą kanapę i zabawy z Rafałem, z którym wzajemnie na siebie warczeli.
  - Kiedyś odgryzie ci nos - prorokowałem kilka razy. Na szczęście proroctwo się nie spełniło, a pies teraz merdał ogonem i czekał, kiedy wreszcie skończę sprawdzać wypracowania III d.
  - Tato, chodź, będzie film o gotowaniu - zakrzyknął Rafał, który w naszej sypialni oglądał telewizję.
  - "Wielkie żarcie"?
  - Nie wiem. Może małe - odpowiedział.
  - Chodziło mi o tytuł - odkrzyknąłem, zdenerwowany jego po raz kolejny okazywaną ignorancją.
  - Jakiś historyczny. "Uczta **Babette**" się nazywa - wyjaśnił.
- Wahałem się. Przedemną leżały jeszcze dwa zeszyty, ale nie miałem już siły, aby do nich zajrzeć po przeczytaniu dwóch prac ordynarnie przepisanych z bryku. Ręce po czymś takim opadają. - Czy te dzieciaki myślą, że ja nie odróżnię ich stylu i możliwości od języka gotowców? - kotłowało się we mnie. Poszedłem więc ochłonać i nie żałowałem. Już dawno nie widziałem tak pięknego filmu o jedzeniu. Nawet nie szło o samą ucztę, ale o to, jak pięknie zastawiony stół i subtelna kuchnia mogą zmienić ludzi, którzy przez całe życie byli wierni protestanckiej prostocie i ascezie podniebienia. Nagle pojawia się

tajemnicza uciekinierka z opanowanego przez rewolucję Paryża, która po latach służby u wybawców za pieniądze wygrane z loterii postanawia wyprawić im dziękczynną ucztę, odwołując się do swoich doświadczeń z czasów, kiedy była szefową kuchni w jednej ze słynnych paryskich restauracji. Dla jej obecnych pracodawców - dwóch zasuszonych w staropanieństwie córek rygorystycznego duńskiego pastora - to był szok. Obydwie kobiety i grono ich gości nie chcieli się poddać urokom stołu, ale w miarę jedzenia i smakowania przyrządzonych przez **Babette** delicji maski zaczęły spadać, a prawdziwe uczucia wygrywać z wystudowanymi postawami. Ludzie, którzy przez lata udawali zadowolenie z życia, po raz pierwszy zrozumieli, że może ono być bogatsze i kolorowe. A przez to może lepsze w stosunkach z innymi i bliższe Bogu.

- Czy to nie jest przypadkiem znak dla mnie? Może ja też mógłbym uszczęśliwiać ludzi przez jedzenie - pomyślałem, głaszcząc za uchem Ciapka, który postanowił się wygrzać, wtulając się podczas filmu w mój brzuch.

- Film jest super. Naprawdę przy nim zgłodniałem. Gdyby u nas zrobić taką ucztę, to pół miasta by się zjechało. Poradziłbyś sobie? - zapytał nagle Rafał.

- Nie wiem, ale coraz bardziej kusi mnie, aby podjąć takie ryzyko. Knajpka pełna ludzi, którzy rozmawiają, opowiadają sobie różne rzeczy, śmieją się i z apetytem jedzą, to fantastyczna wizja. Chyba mogłaby mnie uszczęśliwić - po raz pierwszy powiedziałem na głos to, o czym dotąd bałem się nawet myśleć.

- A przy okazji miałbym darmową wyżerkę. **Extra** pomysł - podsumował Rafał i poszedł spać.

Siedziałem na kanapie uniesiony wizją knajpy, która tętni życiem, przyciąga smakami i kuchennymi woniami, a ludzi zbliża do siebie i uszczęśliwia. Zanim zupełnie się w niej pograżyłem, komórka dała znać, że nadeszła do mnie poczta. To Beata znów wywoływała mnie na spacer. Ciapka nie trzeba było prosić, aby mi towarzyszył. Od razu merdał ogonem przed drzwiami. I nawet nie protestował, gdy założyłem mu obrozę i smycz.

- No cześć, kochanie, wszystko w porządku? - zapytałem, gdy już na schodach zaterkotał dzwonek komórki.

- Niezupełnie. Mama się przebudziła, ale jest cała obolała i głęboko wstrząśnięta. Przeraziła ją rana, która obejmuje fragment piersi. Profesor zapewnia, że po zagojeniu i zabiegu plastycznym ubytek nie będzie wielki, ale dla niej to dramat. Mówi, że czuje się, jakby zabrano jej część kobiecości.

- Chyba ma rację. Każdy czułby się niepełny, jakby go tak szybko pozbawili części ciała. A propos: czy to wszystko nie odbyło się za szybko.

- Sama nie wiem. Z jednej strony to szok, a z drugiej nie było czasu na rozpamiętywanie. Najbardziej obawiam się, że pośpiech może też oznaczać, że stan mamy nie jest najlepszy. Może oni mi tu nie mówią całej prawdy?

- Uspokój się. Nie wpadaj w panikę, a już na pewno nie okazuj tego mamie.

- Staram się. Popłakałam się dopiero u ciotki, gdy poszła na zakupy. Ale już się pozbierałam i załatwiłam sobie tydzień urlopu. Wyobraź sobie, że bez problemu. Mój szef miał podobny problem z ojcem, więc wszystko rozumie. Tamten na szczęście wykaraskał się i wrócił do normalnego życia.

- Widzisz, a jednak można. Trzymaj się. Muszę już kończyć, bo Ciapka tu kogoś atakuje.

- Jest u nas w domu?
- Nawet rozgościł się na całego na kanapie.
- Dlaczego nie u sąsiadki?
- Coś jej wypadło. Zabierze go rano, jak będzie na targu.
- No dobrze. Kocham cię. Pomyśl o mnie - poprosiła, zanim w komórce znów zapadła cisza.

Nie miałem czasu nawet jej odpowiedzieć, bo Ciapek atakował kogoś, kto leżał pod drzewem. Jakby inaczej, nogami i rękami bez koordynacji ruszał Feluś Arizona. Był już tak pijany, że nie mógł ustać na nogach.

- To pan profesor. Miło, ale pan wybacz, że nie wstanę. Siły mnie opuściły – mamrotał, mimo wszystko próbując wstać. Złitowałem się. Pomogłem mu i tak długo trzymałem, aż chwycił pion.

- Zawsze mówiłem, że pan to ludzki człowiek. Niech panu Bozia w dzieciach wynagrodzi - ciągnął z lekka zataczając się.

- Już to zrobiła. Więcej nie trzeba.
- Nie bluźnij. Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi.
- Nie przesadzałbym z tym strzelaniem.
- Kłopoty z seksem? - zainteresował się nagle prawie przytomnie Feluś.
- Raczej z czasem.
- Dla chcącego nic trudnego - zbagatelizował moje tłumaczenie.

Raptem na tym dialog się urwał, bo z ciemności wyłonił się postawny atleta, który przełożył sobie Feluś przez ramię i skierował się na drugą stronę parku.

- Przepraszam, już czas, żeby ojciec wrócił do domu. Rozmowę dokończycie sobie później - powiedział bez żadnych wstępów i pożegnań, bagatelizując wszelki opór Felusia, który w powietrzu śmiesznie wywijał nogami.

- Całe szczęście, że ma takiego syna - pomyślałem i jeszcze przez chwilę wędrowałem po parku, znowu prosząc Boga o pomoc i ratunek dla teściowej. Swoim zwyczajem nic nie odpowiedział. Natomiast w drzwiach mieszkania już czekała **Zuza**.

- Rozmawiałaś z mamą? Widziałam przez okno - nie dała mi szans na wymówki.

- Rozmawiałem.

- I co?

- Babcia się przebudziła, ale się boi.

- Wiedziałaś. Może do niej pojedę? - zaczęła z prośbą i nadzieją w głosie.

- Nie. Mama wzięła urlop i będzie się nią dalej opiekować. Ty idziesz do szkoły, a o wyjeździe do Poznania porozmawiamy w sobotę. A teraz idź spać.

- Jesteś nie do życia.

- Jeszcze nie widziałaś ojców nie do życia. Koniec dyskusji.

Sam też poszedłem spać, ale w łóżku męczyłem się, przewracając się z boku na bok. Dopiero Ciapek uspokoił mnie, oblizując moją twarz jak swoją miskę. Potem zwinął się w kłębek i spokojnie zasnął. Rytm jego oddechu uspił także mnie.

### **XIII**

Ciapek czekał do okna. Deszcz bił o szyby. Szarzyzna na dworze nie zachęcała, aby wychodzić na zewnątrz. Nie było jednak rady: pies wyjść musiał.

A ja razem z nim, mimo że jeszcze raz uświadomiłem sobie, dlaczego nie chcę mieć psa w domu.

- Wreszcie znikniecie, zmory mojego życia - krzyczała Walczakowa, jak zwykle energiczna i żywiołowa, choć podpierająca się na lasce. Wokół niej kręcili się natomiast tragarze wnoszący do meblowozu biurka i szafki. Kobieta nie przestawała ich poganiać i dogadywać stojącemu obok niej wojskowemu.

- Co **się** dzieje, pani Halinko - zainteresowałem się.

- Panie Bogusiu, komuna się dla mnie kończy. Od dziś będę wolnym człowiekiem - weszła na wysoki ton.

- Pani nie przesadza. Nieruchomość odzyskuje pani w rozkwicie. Właściwie powinna pani dopłacić państwu za to, że utrzymało ją w tak dobrym stanie - odciął się wojskowy.

- Bajdurzenie. Tylko takie **komuszki** jak pan mogą głupio głądzić. Na szczęście sądy u nas nierychliwe, ale już sprawiedliwe i prawo własności zaczynają cenić. A ja nie mam przyjemności z panem rozmawiać - fuknęła.

- Ja też nie będę słuchał, bo za obrazę z panią do sądu trzeba by iść - machnął ręką wojskowy i zaczął poganiać tragarzy.

Pani Halinka cała rozpromieniona przydreptała bliżej mnie.

- Niech się pan nie dziwi. Gdyby po 50 latach odzyskał pan swoją własność, też by pan używał sobie na dręczycielach - usprawiedliwiała się, a łzy spływały jej po policzkach.

- Niech pani nie płacze. Trzeba się cieszyć - poradziłem, przekrzykując oszczekującego robotników psa.

- Widzi pan, nawet zwierzyzna wie, komu dobrze z oczu nie patrzy. Po tylu latach walki to nawet ta późna sprawiedliwość już tak nie cieszy. Poza tym, gdyby nie Jarek, to pewnie nic by z tego nie było, bo mnie na porządnego adwokata, który by sobie poradził z tymi rządowymi cwaniaczkami, nie było stać - rozgadała się.

- Jaki Jarek?

- Syn Zośki z kwaciarni. On chyba z panem chodził do ogólnika? - przypomniała sobie.

- No tak, nawet go niedawno spotkałem. Po tylu latach tak się zmienił, że z trudnością go sobie przypominałem.

- Rzeczywiście, chłopisko wielkie, a jak wyjeżdżał, to był taki nieboraczek wychudzony. Nie ma się co dziwić, bo u Zośki przez tych komuchów, co ją domiarami dobijali, wtedy krucho było. Teraz **Jaruś** to panisko. Adwokatów takich ma, że starosta to się w sądzie pocił i prawie na baczność przed nimi stawał - opowiadała.

- Pani pozwoli, trzeba protokół przejęcia nieruchomości podpisać - przerwał pani Halince szpakowaty urzędnik z powiatu.

- Niech mi pan pomoże, panie Bogusiu, bo z wrażenia trudno mi się chodzi - oparła się o moją rękę i razem weszliśmy do budynku zajmowanego dotychczas przez obronę cywilną i urząd miar.

Walczakowa już wiele nie mówiła. Podpisała jakieś papiery i urzędnicy z tragarzami **zniknęli**. Zostaliśmy w szarych ścianach z plamami po plakatach i starymi papierami, które jak sieroty po upadłym systemie kryły się po kątach.

Wyblakłe i pożółkłe czekały na wyrok historii.

- Co pani zamierza teraz z tym zrobić - zapytałem.

- Nie wiem. Mój ojciec miał tu knajpę. Rzym się nazywała.

- Jak ta z ballady o **Twardowskim** Mickiewicza?

- Tak. Jeszcze pamiętam **Twardowskiego** na kogucie, którego na szyldzie wymalowano. Potem komuna lokal przejęła i urzędy tu zrobiła. Teraz **Jaruś** może coś wymyśli. On łeb do interesów ma.

- Naprawdę knajpa? - nie mogłem uwierzyć. Dziwny zbieg przypadków. Poczułem, że los stawia przede mną wyzwanie. Kilka razy już takie rzeczy się zdarzały, ale rzadko w tak ekspresowym tempie. Czyżby Syzyf na tej mojej górze przyspieszył?

Nie miałem jednak czasu na dalsze rozmyślenia ani na rozmowę z Walczakową, bo w tym momencie obok mnie w koszuli nocnej, ale pod parasolem, stanęła moja nieco jeszcze zaspana córka.

- Zuzia, jak ty wyrosłaś. Taka pannica, że trzeba pieniądze na wesele szykować - zażartowała Walczakowa.

- Co też pani mówi. Najpierw matura, potem studia i podróże, a dopiero na końcu mąż - oburzyła się moja córka.

- Trele morele. Przyjdzie wola Boża, to może ci wszystko wywrócić. Nie bądź taka pewna siebie, panienko - nie ustępowała Walczakowa.

- Nie wróżmy z fusów. To nic nie da. Lepiej powiedz, co cię wyгнаło z domu? - przywróciłem je do rzeczywistości.

- Dzwoniła pani Zosia z sekretariatu szkoły. Masz przyjść do dyrektorki, bo będzie sąd nad chłopakiem, który wywoływał fałszywe alarmy bombowe.

- Złapali go? - nie mogłem uwierzyć. - A jednak. Przepraszam, pani Walczakowa, ale muszę pędzić. Jeszcze pogadamy o tej knajpie. Mam pewien pomysł - rzuciłem prawie w biegu, zwłaszcza że Ciapek już się znudził i z całych sił ciągnął mnie do domu.

#### **XIV**

Komendant Eligiusz siedział za stołem. Ze zdenerwowania oddychał tak ciężko, że prawie świstał. Emilia wybijała swoją pulchną ręką rytm o dyrektorskie biurko. Złość w niej wzbierała, o czym świadczyła coraz ciemniejsza czerwień policzków. Starłem się uspokoić, bo atmosfera była ciężka, a **Krzysiek Tomaszewski** stał pod ścianą **blady** jak trup i czekał na wyrok.

- Kto by pomyślał? Czy ty wiesz, co ci grozi? To nie są jakieś przelewki. Za takie alarmy w innych miastach wylatuje się ze szkoły, często trafia do poprawczaka, a rodzice płacą grubą forszę - komendant wyrzucał z siebie słowa, przerywając tę erupcję walką z potem, który bezskutecznie chciał zebrać z twarzy i szyi przemokniętą chustką.

- Ojciec nie będzie szczęśliwy. To ci gwarantuję - przyłączyła się Emilia, rzucając w Krzysia swoje sztyletowate spojrzenia.

Zrobiło mi się go żal. Tak wysoko oceniona przeze mnie kariera w blacharskim warsztacie wisiła na włosku. Nie było już w nim ani grama tej pewności siebie, którą prezentował w wypracowaniu.

- Czy to jest pewne. Nie doszło do jakiejś pomyłki? - ratowałem go wątpliwościami.

- Panie profesorze **Małecki**, w tym przypadku nie ma żadnych niedomówień. Automat namierzył numer telefonu, a patrol zatrzymał delikwenta, gdy wychodził z budki telefonicznej. Zresztą przyznał się - rozwiął wszelkie złudzenia **komendant**.

- Chciałbym jednak wiedzieć, co nim kierowało? - drażylem.

- Niech wyzna - rzuciła znieścacka Emilia.

Zapadła cisza. **Krzysiek** wyłamywał sobie palce u prawej ręki, ale nic nie mówił. Zamknął nawet oczy. Może myślał, że w ten sposób ten koszmar go ominie.

- Zaraz tu będzie ojciec, to nam pomoże. Może wtedy szanownemu **bombiarzowi** rozwiąże się język - ironizował komendant, przeciskając się między stołem a ścianą w kierunku okna.

Nie zdążył jednak w nie spojrzeć, gdy do środka wpadł zdyszany **Tomaszewski senior**.

- No to się doigrałeś. Masz szlaban na samochód i kieszonkowe - zaczął od progu. Wysoki, postawny, w kraciastej koszuli z flaneli i **jeansach**, wyglądał na człowieka, który potrafi przyłożyć synowi między oczy. Ale do rękoczynów nie doszło, bo **Tomaszewski** zaraz się uspokoił. Podbiegł do **Emilki**, ucałował jej rękę. Potem podał dłoń komendantowi i mnie, aby od razu rozpocząć negocjacje.

- Wiem, zrobił źle i należy mu się kara. Może jednak wyłączylibyśmy z tej procedury oficjalny wymiar sprawiedliwości i tak ponad miarę obciążony rozpatrywaniem rozmaitych występków? - zaproponował, spoglądając wymownie w stronę komendanta.

- Zanim przystąpimy do kwestii kary, chciałbym się dowiedzieć, co pana syna skłoniło do tak nagannego postępowania - nie ustępował komendant.

Ojciec natychmiast tak spojrział na syna, że ten aż drgnął.

- Mów! - rozkazał.

Chłopak jeszcze raz zamknął oczy, ale po chwili wyznał, że działał z miłości. Obiecał swojej dziewczynie, że zrobi wszystko, aby nie doszło do zapowiedzianej **kartkówki** z matematyki w jej klasie. No i zrobił, ale to było pierwszy raz i już się nie powtórzy, bo rozumie swój błąd i bardzo żałuje.

- Co to za dziewczyna? - dopytywał się ojciec.

- Tego nie powiem, choćbyś mnie tu przypiekał ogniami piekielnymi - powiedział **twardo Krzysiek** i znowu zamilkł.

- Może rzeczywiście porozmawiamy teraz spokojnie i w gronie dorosłych? - zaproponował komendant.

- Dobrze. Młody człowieku, proszę iść na lekcje i wrócić tu w czasie przerwy. Wtedy powiem, co cię czeka - zgodziła się Emilia.

Chłopak zniknął natychmiast. Jego ojciec natomiast zaczął go usprawiedliwiać.

- To nie jest zły chłopiec. Popełnił błąd, ale z miłości robi się różne głupstwa. Sam pamiętam, jak skakałem na główkę do rzeki, aby zaimponować dziewczynie. Omal nie skończyło się to nieszczęściem - opowiadał.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - podsumowała zgryźliwie Emilia.

**Tomaszewski senior** zmieszał się, ale nie zrezygnował z negocjacji. Zaproponował, że wyrówna straty.

- Może trzeba przejrzeć kilka policyjnych wozów? - zapytał też nieśmiało.

Komendant wcale nie wybuchł gniewem. Odniosłem wrażenie, że wręcz czeka



na ten moment.

- Nie jestem człowiekiem bez serca. Wiem, co to znaczy wybryk młodości. Jestem gotowy przymknąć oko, jeśli to się nie **powtórzy**, a oprócz przeglądów 10 wozów **zasponsoruje** pan także benzynę na miesiąc - gładko podjął sugestię.

- Nie ma problemu. Obiecuję też, że **Krzysiek** na długo zapamięta skutki tego wygłupu - obiecał.

- Czy to wychowawcze? - zgłosiłem wątpliwość.

- Ma się rozumieć, że będzie miał także obniżoną ocenę ze sprawowania i wykona kilka prac na rzecz szkoły, które mu zlecę - dodała Emilia. - Robię to tylko ze względu na nasze dobre dotychczas stosunki.

**Tomaszewski** prawie rozplęwał się z radości. Znowu ucałował rękę Emilii, jeszcze raz dziękując za wyrozumiałość. A potem zniknął za drzwiami.

Siedziałem milcząco i zastanawiałem się, czy dobrze zrobiliśmy.

- Nie można być tak zasadniczym. Są dzieci z gruntu złe i takie, które czasem tylko robią zły krok. Tym razem to nie był zły dzieciak, więc nie zamierzam go pograżać, tym bardziej że ojciec już mu karę wymierzy. Tego jestem pewien. A swoją drogą to ciekawe, dla jakiej dziewczyny to zrobił. Jak myślisz **Emilko**? - zmienił ton komendant.

Dyrektorka jednak go nie podjęła. I szybko nas pożegnała pod pretekstem spotkania w kuratorium oświaty. A ja pół godziny później dowiedziałem się w wielkiej konspiracji, że **Krzysiek** alarm zrobił dla Jagody **Korotko**. Nie tylko więc ja byłem wrażliwy na jej **wdzięki**, ale postanowiłem, że lepiej będzie, gdy nikogo o tym nie poinformuję. Grunt był zbyt grząski, aby po nim bezmyślnie deptać, choćby w najlepszych intencjach, zwłaszcza że czynniki wyższe postanowiły całą sprawę zatuszować.

Czułem się jednak z tym nieswojo. Zaczynało mnie ogarniać poczucie wątpliwości. Czyżbym wszedł w sieć delikatnych zależności?

## XV

Tuż po ostatniej lekcji odezwała się komórka. Nie, to nie była Beata. To odnalazł mnie **Jaruś**, o czym poinformowała moja komórkowa poczta głosowa.

- Cześć stary. Walczakowa powiedziała mi, że masz jakiś pomysł na zagospodarowanie jej mienia, a twój rezolutny syn podał mi numer komórki. Może więc się dzisiaj wieczorem spotkamy? Jeśli nie masz nic przeciw temu, to przyprowadzę ze sobą Stefana **Grzegorzycyka**. Kto by się spodziewał, że z niego stanie się solidarnościowa szycha? Jeśli się zgadzasz, daj znać na mój numer - urwał, dyktując odpowiednie cyferki.

Co za czasy. Wieści rozchodzą się błyskawicznie. Nawet nie ma chwili, aby przeanalizować własne myśli. Syzyf niewątpliwie przyspieszył. - Nie ma sensu podkładać mu nogi. Jeśli coś w moim życiu ma się zmienić, to niech się zmienia - medytowałem w drodze do domu, zwłaszcza że właśnie nadchodził weekend.

Przedtem jednak postanowiłem zadzwonić do Beaty, aby się upewnić, czy wieczorem nie muszę jechać do Poznania lub czy ona nie przyjedzie nagle z mamą do domu.

Lekarze postanowili, że do końca tygodnia teściowa pozostanie w szpitalu. Beata będzie się nią opiekowała. Obydwie już się uspokoily.

- Mama jest pogodna. Powoli zbiera siły. Dzisiaj nawet wstała i poszła ze mną na spacer po szpitalnym ogrodzie. Żartowałyśmy, a ja - wyobraź sobie - opowiadałam kawały. Dawno już tak razem nie bawiliśmy się. Trzymaj się ciepło i opiekuj się dziećmi. Zadzwoń jutro - zapowiedziała.

Wstąpił we mnie jakiś optymizm, który wyraził się tym, że w najbliższym sklepie kupiłem trzy kurze piersi, paczkę ryżu, dwie puszki groszku i postanowiłem zrobić dzieciom potrawkę z sosem cytrynowo-śmietanowym, takim, jaki pamiętałem z rodzinnego domu.

Psa w domu nie było. Widać sąsiadka teściowej dotrzymała słowa i go zabrała. Natomiast w kuchni panował idealny porządek.

- **Zuza** to jednak wspaniała dziewczyna - pochwaliłem w duchu córkę, gotując na rosole białe kurze mięso. Wkrótce zaczęła także bulgotać woda w garnku na ryż, a ja patrzyłem na lokal Walczakowej. Nie wyglądał zachęcająco. Szary, odrapany, z resztkami odpadających od ściany młodzieżowych malunków. Niemalowane od lat okna odstraszały łuszczącą się farbą, która niegdyś była biała. Tylko czerwona dachówka, którą trzy lata temu przełożono, wyróżniała się świeżością.

- Grunt to dobry dach. Resztę można szybko zmienić, jeśli się w budynek włoży trochę pieniędzy - pomyślałem.

Ale takich oszczędności nie miałem. Żelazne zaskórniaki na czarną godzinę były raczej nie do ruszenia. Beata na pewno nie zgodzi się, abyśmy aż tak zaryzykowali. Bez współników w ewentualnym interesie więc się nie obejdzie.

- Trzeba porozmawiać z **Jarusiem** - postanowiłem, otwierając puszki z groszkiem. Ugotowane mięso zrumieniłem na patelni, a wywar rosółowy zmieszałem ze śmietaną, wciskając na koniec w to połączenie trochę soku z cytryny, który nadał sosowi specyficzny smak i kolor. Zanim się zagotował, przy stole siedział już głodny jak wilk Rafał.

- Uwielbiam potrawkę. Lubię ten smak - zachwycał się ciepłą porcją, którą właśnie przed nim postawiłem. Zanim się do niego przysiadłem, w domu pojawiła się także **Zuza**.

- Anglistka dzisiaj tak mnie wymęczyła, że padam z nóg. Ale nie dałam się. Dostałam czwórkę minus. Po nieobecności na czterech lekcjach pod rząd to duży sukces - stwierdziła z wewnętrznym przekonaniem. - Należy mi się za to porządny obiad.

Rafał aż gwizdnął z uznaniem. Wolałbym piątkę, ale musiałem przyznać, że czwórka to też dobrze, co potwierdziłem dużą porcją potrawy.

- Pycha - z uznaniem zabrała się do niej moja wybredna córka. - Co byście powiedzieli, gdybym zmienił zawód - przerwałem ciszę nad stołem. - Doszedłem do wniosku, że z chęcią prowadziłbym małą restaurację, a może raczej gospodę. Wczoraj uświadomił mi to wieczorny film, który obejrzelśmy razem z Rafałem.

- Ta **Babette**? - upewnił się z ustami pełnymi jedzenia mój syn.

- Podobno bardzo ciekawy. Dziewczyny w klasie też go widziały. Nie spodziewały się, że dobre jedzenie może tak zmieniać ludzi - wtrąciła się **Zuza**.

- Właśnie. Mnie to też zachwyciło. Sam chciałbym spróbować tej sztuki - powiedziałem.

- Jak będziesz gotował takie potrawy jak dzisiaj, to z pewnością ci się uda. Ja

jestem za - Rafał bezkrytycznie i entuzjastycznie poparł moją ideę. Zresztą do niego zawsze od wczesnego niemowlęctwa można było dotrzeć przez żołądek. **Zuza** też z apetytem jadła potrawkę, ale zachowała o wiele więcej krytycyzmu.

- Czy mama wie o tym pomysle?

- Nie, jeszcze nie.

- No właśnie. Od tego chyba należałoby zacząć, bo bez jej zgody i wydawania rodzinnych pieniędzy nic się nie da zrobić. Poza tym trzeba mieć lokal i jakieś papiery pozwalające na prowadzenie knajpy. Ty przecież nie masz żadnego kucharskiego wykształcenia - piętrzyła problemy.

- Z tymi dokumentami to pewnie masz rację. Z mamą na pewno także porozmawiam, a lokal jakby spadł nagle z nieba - nie dałem się zbić z tropu. - Jak to z nieba? - zainteresował się Rafał.

- Nie dosłownie, ale pani Walczakowa akurat odzyskała lokal, w którym jej ojciec prowadził przed laty knajpę.

- Ten naprzeciw? Przecież to ruina - znowu wtrąciła się ze swoim sceptycyzmem **Zuza**.

- To tylko pozornie tak wygląda, ale jakby w ten budynek wsadzić trochę pieniędzy, będzie jak nowy - broniłem się.

- A co na to pani Walczakowa? Nie sądzę, aby chciała wyłożyć jakieś pieniądze. Ona raczej lubi je zgarniać pod siebie. Jakoś jej nie lubię - skrzywiła się **Zuza**.

- Nie osądzaj tak szybko ludzi - poradziłem jej wychowawczo. - Jest człowiek, który ma jej pomagać w zagospodarowaniu tych pomieszczeń. To mój dawny kolega szkolny. Właśnie wrócił z Zachodu. Chciałbym się z nim dzisiaj spotkać. Pomyślałem, że go zaproszę do domu.

- To ten facet, który chciał dzisiaj ode mnie numer twojej komórki? - skojarzył Rafał.

- Tak właśnie on. To co? Mogę go zaprosić? - zapytałem

- Pewnie, ale za szybko mu czegoś nie obiecuj - uprzedziła moje myśli **Zuza**. - A swoją drogą nie byłoby ci żal odchodzić ze szkoły?

- Nie wiem. Na razie to tak abstrakcyjny pomysł, że jeszcze o tym nie myślałem - powiedziałem zgodnie z prawdą. I od razu opanowały mnie wątpliwości. W środku odezwał się głos, który już kilkakrotnie zniechęcał mnie, gdy chciałem w życiu coś zmieniać. To nie było światło ostrzegawcze, raczej czerwony znak stopu. Rósł, rósł i napełniał mnie niepokojem. Po chwili wewnętrzny strach był tak wielki, że mój pęd do zmiany skulił się w sobie i prawie się schował.

- Pewnie i tak nic z tego nie będzie. Babcia chora. Trzeba się nią będzie opiekować. A ty masz więcej czasu niż mama i mniej zarabiasz, to będziesz robił za pielęgniarkę - namalował nagle swój scenariusz Rafał.

Zanim zdołałem mu odpowiedzieć, już go nie było przy stole. Położył na mnie krzyżyk i wybiegł do Marcina, aby rozpracowywać kolejną grę.

- On chyba ma rację, tato. Do tej pory wszystko funkcjonuje dobrze, więc może niech tak zostanie. Babcia jest ważniejsza niż twoje zachcianki - przyłączyła się do Rafała **Zuza**. Ona przynajmniej chciała słuchać, ale za to teraz ja nie miałem nic do powiedzenia, choć w głowie myśli biegały jak opętane. Z jednej skrajności w drugą. Popędzały je jeszcze uczucia balansujące między euforią a poczuciem

przegranej.

- Dobrze, córeczko. Porozmawiamy o tym później - zniechęciłem się do dalszej rozmowy.

- Pewnie. Zostaw naczynia. Pozmywam, jak wrócę z biblioteki - zapowiedziała i poszła do siebie.

Mój optymizm gdzieś się ulotnił. Przy stole siedziałem sam. Zupełnie. Nie wspierał mnie nawet wewnętrzny głos. Przeciwnie. Co chwilę czułem, jak się śmieje ironicznie. - Naiwniak. Jak się ma czterdziestkę na karku, to się pilnuje, co się ma, a nie myśli o zaczynaniu wszystkiego od początku. Myślałeś, że się rzucą na ciebie z radością? - śmiał się, wykrzykując tryumfalnie.

Poczułem niechęć sam do siebie. Przerażliwa cisza w domu jeszcze ją pogłębiała. Położyłem się na kanapie, bo już nadchodził czas na poobiednią drzemkę, która od pewnego czasu weszła do repertuaru moich stałych zachowań.

- Jesteś ramol, który do niczego w życiu nie dojdzie. Siła woli w twoim przypadku to mit, który nie ma szans na realizację. Kilka zdań krytyki i wycofujesz się do skorupy - odezwał się nagle we mnie inny głos. Nie był silny, ale uderzał tak celnie, że oczekiwany przeze mnie sen nie nadchodził. Zniecierpliwiony chwyciłem leżącą obok kolorową gazetę. Dla zabicia czasu i skołatanych nerwów zacząłem ją przeglądać. Zatrzymałem się na historii starszej kobiety, która przeszła piekło bezrobocia, ale postanowiła zacząć piec ciasta dla znajomych. Tak im smakowały, że wkrótce zamówień znacznie przybyło. Po trzech latach była w stanie funkcjonować jako firma, a teraz zatrudnia już przeszło czterdzieści osób i czuje się spełniona.

- Mój piec pozwolił mi zrealizować marzenia - mówi teraz znajomym. Uśmiech na twarzy kobiety stojącej wśród weselnych tortów zadawał się potwierdzać tę deklarację.

A jednak można. Marzenia się spełniają. Trzeba tylko konsekwentnie do nich dążyć i nie bać się ryzyka - pomyślałem, choć między mną a uśmiechniętą kobietą ze zdjęcia jest różnica. Ona nie miała nic do stracenia, a ja chcę zaryzykować, bo mam taką zachciankę. Nie byłem pewien, czy tak mogę postępować.

- Pogadać jednak nie zaszkodzi - postanowiłem i pod wpływem tego impulsu zadzwoniłem do Jarka. Umówiliśmy się na godzinę 20. Rozmawiając przez telefon, widziałem przez okno, jak w szybach budynku Walczakowej odbijało się słońce. Dom jakby pojaśniał. A we mnie znów wstąpił optymizm.

XVI

- No to za spotkanie - **Jaruś** szerokim gestem rozlewał **Johny Walkera** do kieliszków. Był w wyśmienitym humorze. Rzucił dowcipami, poklepywał mnie po ramieniu i chwalił się.

- Nie spodziewałem się, że tak dobrze pójdzie. Wszyscy chcą, żebym tu inwestował. Nawet ojciec Jolki, którą zostawiłem przed wyjazdem, nie ma teraz o to do mnie żalu. Dziewczyna wyszła za lekarza. Ma dwójkę dzieci i zrobiła się tak stateczną matroną, że prawie jej nie poznałem. Moja **Agnes** przy niej to ciągle dziewczyneczka. Nie żartuję. Niedługo ją tu przywiozę, to zobaczycie - obiecywał.

- Babiński nie ma powodu do narzekań. Tak sprywatyzował ośrodek zdrowia, że zięć kupił go za pół ceny. Teraz nikt mu tu nie podskoczy. Dla Babińskiego zmiana stroju to dar od Pana Boga. Przedtem pilnowała go partia i patrzyła na ręce, a teraz rządzi, jak chce. Już dwadzieścia cztery lata siedzi na urzędzie - dołożył swoje Stefan **Grzegorzcyk**, którego przyprowadził z sobą **Jaruś**.

- Stefciu, uspokój się. Jakby źle rządził, to by go ludzie pogonili. Żal przez ciebie przemawia, bo wciąż z nim przegrywasz - odparował **Jaruś**.

Aż poczerwieniał i zaperzył się. Jeszcze chwila, a doszłoby do kłótni. Tak samo jak w czasach licealnych, gdy Stefek i Jarek stanowili dziwaczną parę, bo żyć bez siebie nie mogli, ale gdy tylko się spotykali, zaraz zaczynali się kłócić.

- Dajcie spokój. Po co tracić czas na głupie kłótnie. One i tak nic nie dadzą, a my stracimy wieczór - przekonywał, rozkładając na kuchennym stole kabanosy, ogórki ze słoika i kanapki z pomidorami, które przygotowała **Zuza**.

- A gdzie Beata?

- W **szpitalu** w Poznaniu. Czuwa nad swoją matką po operacji.

- Coś groźnego? - zmienił ton **Jaruś**.

- Rak, ale chyba do opanowania.

- Trzeba w czymś pomóc? - zaoferował się Stefan.

- Na razie nie, ale jak będzie trzeba, to was poproszę. - Dzięki - urwałem.

Ale od razu jednak nie udało się zejść z chorobowych tematów, bo **Jaruś** zaczął wspominać, jak jego **Agnes** walczyła z brakiem potasu. Prawie umierała, a potem przez kilka miesięcy wracała do równowagi.

- Korzyść z tego taka, że teraz cały rok jemy pomidory, których kiedyś nie cierpiała. Przy okazji ja mam trochę przyjemności - mówił, wrzucając w siebie kolejną kanapkę z pomidorem.

- Boguś, a ja mam do ciebie interes - zmienił nieśmiało temat Stefan. Jak zwykle bez polotu. Raczej z taką pewną nieśmiałością. Szybko jednak przeszedł do rzeczy: kompletuje właśnie grupę ludzi, którzy razem z nim powalcząliby o władzę w mieście.

- Trzeba wreszcie zrzucić Babińskiego. On ma sześćdziesiąt lat i powinien pójść na emeryturę. Teraz kolei na nas. A ty, Boguś, jesteś dobrym nauczycielem. Ludzie cię lubią i poprzez swoje dzieci dobrze znają, to na pewno zebrałbyś sporo głosów - kusił Stefan. - Nie ma się co oszukiwać, bez problemów wejdiesz do rady miejskiej.

- Zapomniałeś tylko dodać, że na jego placach ty chcesz zostać burmistrzem - dodał swoje trzy grosze **Jaruś**.

Stefan aż podskoczył na krześle, a jego rzadkie blond włosy zaczesane na łysinę odkryły lśniący plac wysokiego czoła. W niebieskich, nordyckich oczach pojawiły się iskry gniewu. Zatrząsł się całym swym drobnym ciałem, ale powstrzymał wybuch.

- A co ty myślisz? Po co się idzie do ratusza? Po władzę, bo bez niej nie masz wpływu na nic. Babiński będzie wszystkim kręcił, jak mu się podoba, a my będziemy stali z boku i przyglądali się albo jak inni zostaniemy jego pochlebcomi - zapalił się Stefan.

- No, to już brzmi lepiej. Tak mówią na Zachodzie i to do ludzi trafia - pochwalił go **Jaruś**.

**Mnie jednak** wizja walki o władzę nie podniecała. Czułem, że to nie jest moja bajka.

- W te gierki mnie nie wciągniesz, Stefcu. Ja już się **napolitykowałem**. Rozrzucałem bibułę, kiedy trzeba było, bo chciałem żyć w wolnym kraju. Teraz polityczne układy i **przepychanki** mnie nie interesują - przerwałem dalsze podchody.

- A co cię interesuje? Chyba nie Mickiewicz i Słowacki. Nie bądź naiwniak. To dobre dla bab. Facet musi zostawić po sobie znak na ziemi - odezwał się ze starą śpiewką **Jaruś**.

Zapadła cisza, a ja uświadomiłem sobie, że wreszcie nadszedł czas na poważną rozmowę.

- Owszem, mam ochotę coś zrobić. Ostatnio ta myśl mnie nie opuszcza. Nie śmieście się. Chodzi o knajpę. Taką w naszym **mieście**, gdzie ludzie przychodziliby zjeść obiad, spotykaliby się, bawiliby się albo rozmawiali przy muzyce. A ja robiłbym im jedzenie, które zmieniałoby ich na lepszych - zacząłem z wysokiego tonu. **Jaruś** aż zamknął oczy z wrażenia.

- Chłopie, a czy ty w ogóle umiesz gotować? U mnie w domu zajmują się tym tylko kobiety. Ja nawet nie zaglądam do kuchni. To strata czasu - zawiesił na mnie pytający wzrok.

- Wyobraź sobie, że to bardzo lubię. Może to nawet jedyny talent, który dał mi Pan Bóg. Nie wiem, czy mi się uda, ale chciałbym spróbować - wyrzuciłem z siebie.

- I wymyśliłeś, że świetnie do tego nadałby się budynek Walczakowej? - wtrącił się **Jaruś**.

- Właściwie to sama mi to podsunęła, gdy zaczęła **wspominać**, jaki lokal prowadził tam jej ojciec. Ty pewnie masz inne plany? - zapytałem z niepokojem.

- W sumie jeszcze nic konkretnego, bo na razie skupiałem się na walce o odzyskanie tego lokalu. Trochę myślałem, żeby go wynająć jakiejś spółce i ciągnąć z tego **kasiorę**. Nic nie robisz, a co miesiąc gotówka sama leci. Jak nie muszę nic robić, to takie rozwiązanie mnie interesuje najbardziej - powiedział z całą szczerością.

- Ja ci kasy zaoferować nie mogę. Przeciwnie, raczej myślałem, że może razem byśmy otworzyli spółkę - ciągnąłem myśl.

- Boguś, o czym ty mówisz. **Jaruś** to kapitalista. On z **gołodupcami** się nie zadaje. A twoje marzenia to nie jego broszka - sprowadził mnie na ziemię Stefan, prowadząc jednocześnie beznadziejną walkę ze swoimi włosami, które wcale nie miały ochoty zakrywać jego łysiny.

- Szczerze mówiąc to nie wiem, co ci powiedzieć. Do tej pory raczej tylko korzystałem z gastronomii. W tego typu interes nie wchodziłem. Kuchnia to nie mój teren - przyznał i znowu chwycił za butelkę z **Johny Walkerem**. Bardzo sprawnie szło nam jej osuszanie. Potem Stefan wyciągnął jeszcze litrowego Chopina i jakoś rozmowa zesłała na wspomnienia o dziewczynach. Moja knajpa zawisła w powietrzu. Kilka razy próbowałem o niej ponownie napomknąć, ale wtedy **Jaruś** zawieszał głos, spoglądał na mnie zamglonym okiem i w końcu oświadczał, że o interesach rozmawia tylko na trzeźwo.

- Jak wróci Beata, to pogadamy - zapowiedział, zanim zaczął mamrotać bez

sensu. Dałem spokój i skupiłem uwagę na tym, jak go w miarę bezpiecznie odtransportować do domu.

- Chłopcy, wy ciągle tacy sami - Walczakowa załamała ręce, gdy po wydostaniu się z naszej bardzo krętej klatki schodowej wreszcie dobrnęliśmy na ulicę. **Jaruś** właśnie się rozwijał w roli wokalisty. Darł się w niebogłosy i obiecywał, że zamieni ją na lepszy model.

- Chłopaki, mówię wam, dziewczyna nie może być nas zbyt pewna, bo traci zainteresowanie - wygłaszał kolejną życiową mądrość, tracąc siłę w nogach. Zwalił się na nas jak niedźwiedź w czasie snu zimowego i próbował dopić z **gwinta** resztkę Chopina, którego nie dał sobie odebrać.

- Tak kocham muzykę, że z naszym mistrzem nie rozstaję się nawet wtedy, gdy on z chęcią ulotniłby się w poetyckich oparach - rzęził coś bez sensu, zmuszając nas do przemieszczania się od jednego brzegu chodnika do drugiego.

Walczakowa, która właśnie wyszła ze swoim **terierkiem** na nocny spacer, nie mogła na to patrzeć, więc szybko otworzyła drzwi do swojego mieszkania i stukając laską o bruk, pchała nas w plecy, abyśmy w końcu **zniknęli** z ludzkiego widoku.

- Panie Bogusiu, niby kulturalny człowiek, a tak się pan spoił. **Jaruś** to zawsze miał słabą głowę i już w liceum sypiał u mnie, gdy po prywatce nie chciał się matce pokazać, ale pan, wstyd. Niech pan uważa, aby jakiś pana uczeń nie spotkał pana w takim stanie - ostrzegła, zawijając **Jarusia** w koc na jej staroświeckiej kanapie. Nie bronił się. Ciągle tylko przyciskał do piersi Chopina.

- Te mazurki to moja ukochana muzyka - sapał, przewracając się na drugi bok, a resztką wódki wsiąkła w koc.

Walczakową tak to rozgniewało, że po prostu wypędziła nas na dwór. Stefek na szczęście lepiej trzymał się na nogach. Zaprowadził więc mnie do parku, gdzie usiedliśmy na ławce.

- Boguś, mówię ci, zastanów się - wrócił do przerwanego wątku. - Jak wygramy wybory, to będziesz ważnym człowiekiem. **Emilce** za rok kończy się dyrektorska kadencja. Jak chcesz, to namówię dziewczyny z komisji oświatowej i wybierzemy ciebie na jej miejsce. W szkole - jak w domu - powinien rządzić chłop. Mówię ci, to się da zrobić. Tylko chodź z nami na wybory.

Pewnie mówiłby jeszcze długo, a ja z grzeczności bym mu przytakiwał, gdyby nagle jak **deus ex machina** obok nas nie pojawiła się **Zuza**.

- Tatusiu, wracamy do domu. Jeśli nie pójdziesz ze mną, zaraz dzwonię do mamy i powiem jej wszystko, co się tu dzieje - **Zuza** była zdecydowana i mówiła tym lodowatym głosem, który u kobiet nie wróżył nic dobrego. Pożegnałem więc Stefka i wolno, najprościej jak potrafiłem, poszedłem za moją milczącą córką. W domu też nic nie powiedziała. Pościeliła tylko łóżko, pomogła mi zdjąć buty i zgasiła światło, gdy się upewniła, że na pewno nie spadnę na ziemię. Byłem jej wdzięczny, że nie powiedziała już ani słowa.

XVII

Ranek był okropny. Za oknem lało, a w głowie huczało mi jak w starym silniku. Najgorsza wydawała się jednak zgaga. Poczulem ją jeszcze bardziej, gdy uświadomiłem sobie, co się działo wieczorem. Kac i tyle. Na szczęście w lodówce stało mleko w kartonie. Wypiłem z pół litra i dopiero wtedy odczułem

pewną ulgę, choć przy okazji narobiłem niezłego rumoru, strącając na podłogę stojące obok garnki.

- Poranne ssanie to podobno normalne u pijaczków - głos Zuzy pozbawił mnie złudzeń, że jakimś cudem nie obudziłem dzieci. W swoim kolorowym szlafroku nie wyglądała tym razem jak niewinne dziecię. Była zła i nie zamierzała tego ukrywać.

- Doprowadziłeś do tego, że musiałam kłamać. Gdy już nie wiedziałeś, co się dzieje, zadzwoniła mama. Chciała z tobą rozmawiać. Powiedziałam, że masz spotkanie w szkole z rodzicami, aby jej nie denerwować.

- Dziękuję ci, córeczko. Obiecuję, że już tak źle nie będzie.

- Po twoich imieninach też to mówiłeś mamie.

- Skąd wiesz?

- Mieszkanie jest małe, a ty darłeś się w niebogłosy. Mama jest świętą kobietą, że to wytrzymuje.

- Nie przesadzaj.

- To ty przesadzasz. A do tego karmisz nas jakimiś mrzonkami o własnej knajpie. Pijaczki doskonale się czują w takim świecie zmyśleń. Wczoraj trochę się przysłuchiwałam, jak o tym rozmawialiście. Jestem pewna, że nic z tego nie będzie.

- Jeszcze możesz się zdziwić. Za szybko kładziesz na ludziach kreskę. Poza tym nie mam już ochoty z tobą rozmawiać.

Nie zdążyłem jednak wygłosić wychowawczej perrory, która sama pchała się na usta, bo w tym momencie zachwiałem się. Upadłbym, ale w pobliżu stała szafa. Chwyciłem się jej z całej siły i wszystko byłoby dobrze, gdyby z górnej półki nie posypał się na mnie cukier, który przy okazji zapaskudził całą podłogę.

- Chyba jednak nie panujesz nad rzeczywistością. Radzę ci to robić, bo w południe mama przyjeżdża z babcią. Wczoraj prosiła, abyśmy tak przemeblowali mieszkanie, by babcia mogła u nas zamieszkać na pewien czas - powiedziała, zakręciła się na pięcie i znikła.

Zostałem sam na placu boju. Czuję się słaby. Czterdziestka to jednak już nie czasy studenckie, kiedy balowało się całą noc, a rano po 2-3 godzinach snu jak gdyby nic można było pójść na seminarium albo wykład. Co miałem robić: wziąłem szcztokę i posprzątałem całe pobojuwisko, włącznie z talerzami, szklankami, kieliszkami i pustymi butelkami, które na kuchennym stole przypominały o wieczorze z kolegami.

Ruch trochę mi pomógł, ale nie czułem się jeszcze w pełni sił. Na moment wróciłem znowu do łóżka. To było jedno z miejsc, w którym dobrze mi się myślało. Rzeczywiście właściwie nic nie załatwiłem, a mój pęd do zmiany jakoś opadł. Sam miałem wielkie wątpliwości, czy jestem w stanie pokonać w sobie te wszystkie opory. Im bardziej o tym myślałem, tym pojawiało się ich więcej. W końcu dałem spokój. Sen okazał się silniejszy i bardzo przyjemny. Siedzieliśmy z Beatą przy stoliku w knajpie. Była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem. Nieduża, z przyciemnionym światłem, kremowymi obrusami na stolikach, starym kredensem za barem w tym samym stylu. Dziewczyny krążyły między stolikami, przynosząc z kuchni parujące zupy i artystycznie zdobione drugie dania.

- Napijesz się? Mam ochotę uczcić nasz sukces. Właśnie dowieźli to francuskie



wino, które zamówiliśmy przed tygodniem. Chciałbym go razem z tobą spróbować - zaproponowałem Beacie.

- Pewnie. Z tobą zrobię największe szaleństwo - zapewniła, obdarzając mnie swoim kocim spojrzeniem. Tyle nim obiecywała, że od razu byłem gotów zabrać wino i trafić razem z nim do naszego łóżka.

- Obudź się, tato. Czas wstawać, bo mama niedługo przyjedzie - **Zuza** tarmosiła mnie z całej siły. Nie można było się łudzić. Senna fatamorgana **zniknęła** jak ręką odjął, a ja musiałem wrócić do rodzinnych obowiązków. Na szczęście Beata i Rafał już się dogadali, że przez pewien czas będą razem mieszkać. Tym razem bez kłótni i sporów rozstawili w pokoju Rafała składane **łóżko** z piwnicy i podzielili się resztą wolnej przestrzeni. Pozostało jeszcze tylko ustawić na nowo pokój **Zuzy**, aby można było bez problemów obsługiwać naszą rekonwalescentkę.

Poszło to nam całkiem zgrabnie. Kilka minut po 12 przed domem zaparkowała Beata. Wbrew naszym przewidywaniom teściowa sama wyszła z samochodu i sprawnie weszła do domu. Nie wyglądała na przybitą.

- Nie jestem kaleką i nie zamierzam nią być. Nie będę kwękać. Za to z chęcią napiłabym się herbaty. Można ją podać z kawałkiem ciasta. Tęsknię do piaskowej babki w czekoladzie - oznajmiła, poprawiając swoją rękę na temblaku. Na szczęście tym razem Rafała nie trzeba było prosić dwa razy. Zaraz pobiegł do kuchni. **Zuza** też od razu zajęła się babcią, a ja mogłem razem z Beatą pojechać do mieszkania teściowej, aby przywieźć jej najpotrzebniejsze rzeczy.

Jedną z nich okazał się Ciapek, bo sąsiadka nie miała już sił, aby się nim opiekować. - Tak  **tęsknił** za teściową, że ostatnie dwa dni spędził przy drzwiach. Cały czas nasłuchiwał, czy ktoś nie idzie po schodach. Miałam go do was dzwonić, bo przestał jeść. Bałam się, że mi zdechnie - opowiadała.

A pies tymczasem biegał wokół nas z taką radością, jakby odzyskał wolność po latach więzienia. Wziąłem go na ręce i przytuliłem. Jego serce waliło niczym młot. Po powrocie do naszego mieszkania wpadł na łóżko teściowej jak wyrzucony z procy.

- Piesku, mój wariacie, uspokój się wreszcie - broniła się nieporadnie, gdy próbował ją lizać po twarzy, choć z daleka było widać, że sprawia jej to wielką radość. Po chwili też go przytuliła zdrową ręką i pies przywarł do niej jak dziecko do matki, gdy szuka schronienia i pełnej akceptacji.

- Jest nowina. Dzisiaj po obiedzie zajrzy do nas pani Walczakowa. Ma podobno bardzo ważną sprawę - poinformowała nas, przeciągając sylaby **Zuza**. Spojrzała na mnie znacząco i znikła za drzwiami pokoju rodzeństwa.

- O co może jej chodzić? - zaniepokoiła się Beata, układając w szafie **Zuzy** rzeczy teściowej.

- Chyba się domyślam - postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. - Wyobraź sobie, że rozmawiałem z **Jarusiem**, dawnym kolegą z liceum o otwarciu knajpy w lokalu, który po drugiej stronie ulicy odzyskała Walczakowa. Nie uwierzysz, ale tam już była restauracja. Jak się o tym dowiedziałem, pomyślałem, że to miejsce chce być ponownie odkryte.

- Tak, masz rację. Tam rzeczywiście była knajpa. O ile dobrze pamiętam, nazywała się Rzym. Z moim Witkiem byliśmy w niej na pierwszych wspólnych

tańcach. Parkiet nie był duży, ale wystarczający dla kilku par. **Zdzisiu Wolański** grywał tam na pianinie. Do tej pory pamiętam, jak Witek fantastycznie prowadził walca - przypominała sobie teściowa, rozwijając romantyczną wizję swojego małżeństwa.

- Jak pięknie się bawiliście. Prawie ci zazdroszczę - włączyła się Beata. A ja próbowałam z nią zatańczyć między walizkami a **łóżkiem**. Romantyzmu starczyło jej jednak zaledwie na kilka kroków. Potem mnie odepchnęła i zmieniła ton rozmowy.

- Knajpa? Co za pomysł? Skąd my na to weźmiemy? Trzeba odkładać na kształcenie dzieci, a nie wydawać na jakieś romantyczne zachcianki - mówiła, a sentymentalny nastrój prysł, zanim na dobre się zadomowił.

- Beato, jak możesz. Przecież on jeszcze nic złego nie zrobił. Wspomniat tylko o pomysłe, który mnie bardzo się podoba - dodała od siebie teściowa.

- Mama zbyt często ulega emocjom. Teraz choroba w domu. Trzeba zająć się tobą, a nie jakimiś mrzonkami - Beata nie dawała się zbić z tropu.

- Nie denerwuj się. Może Walczakowej chodzi o coś zupełnie innego. Najpierw ją wysłuchajmy, a potem dopiero porozmawiamy - łagodziłem atmosferę.

- Nie rób ze mnie zasłony dymnej. Ja nie jestem problemem. Pamiętaj, że Boguś brał na siebie wszystko, gdy ty się szkoliłaś i zaczynałaś tę swoją biznesową karierę. Teraz jemu należy się coś od ciebie - kontynuowała teściowa.

Zaskoczyła mnie. Nie spodziewałem się z jej strony takiego wsparcia. Z wdzięczności poszedłem do kuchni i nasmażyłem całej rodzinie racuchów z jabłkami. Z cukrem pudrem albo dżemem smakowały wyśmienicie.

- Pycha - pochwaliła teściowa. - Z chęcią bym je zjadła w twojej knajpie. Nawet pomyślałam, że dobrze byłoby ją nazwać oberżą i nastawić się na polskie **jedzenie**. Ludzie już nasycili się **fast foodami**. Z pewnością zjedliby co normalnego.

- Mamo, dlaczego go kusisz? A jak nic z tego nie wyjdzie? Zadłużymy się i będą same problemy - oponowała Beata, choć racuchy wyraźnie jej smakowały, bo jadła już czwartego.

- Córeczko, kiedyś myślałam podobnie jak ty. Dlatego ojcu nie pozwoliłam na otwarcie sklepu zoologicznego. Pogodził się z tym, ale tuż przed śmiercią zwierzył mi się, że bardzo tego żałuje. Wtedy zrozumiałam, że może nie ma sensu zabierać ludziom marzeń - powiedziała teściowa.

- Ależ mamo, ja mu nic nie zabieram. Może jednak lepiej byłoby trochę pomyśleć i nie działać pod wpływem emocji - nie ustępowała Beata.

Tak ostro dawno już się nie spierały. Sam nie wiedziałem, co o tym sądzić. Jedno było pewne: obydwie myślą o mnie i raczej dobrze mi życzą. Moja życzliwość wobec teściowej jeszcze wzrosła, ale rozumiałem też Beatę. Zapragnąłem ją pocałować, ale zanim myśl przekułem w czyn, rozdarł się dzwonek u drzwi. Mimo że Ciapek zaczął ujadać, już z daleka usłyszałem głos Walczakowej.

XVIII

Była w dobrym humorze. Wcale nie przyszła raz jeszcze **obsztorcowywać mnie** za stan, w jakim **odtransportowałem** do niej **Jarusia**. Przyszła odwiedzić teściową.

- Pani Miro, nie wiedziałam, że spotkało panią to nieszczęście - powiedziała, gdy tylko stanęła w progu pokoju teściowej.

- Nie przesadzajmy, kochana - odburknęła nieco skonfundowana teściowa. I Walczakowa siadła na pościeli i zaczęła tulić teściową. Razem z Beatą patrzyliśmy na ten obraz ze zdziwieniem. Wyglądały, jakby znały się od dawna i doskonale rozumiały. Szybko się okazało, że nie była to zła ocena. Poznały się właśnie w knajpie, kiedy Walczakowa jako panienska pomagała tam ojcu, a moja teściowa przychodziła do lokalu z narzeczonym, a później z nowo poślubionym mężem. Odtąd utrzymywały stałe, choć nieregularne kontakty. Zwykle na miejskim targowisku, gdzie Walczakowa od lat miała swoje stoisko, a teściowa lubiła robić zakupy.

- Przyszłam jednak nie tylko do Mirki. Także do państwa - zmieniła ton Walczakowa, gdy obydwie kobiety **wyściskały** się, a łyż wyschły i pozwoliły im normalnie rozmawiać. Długo się nie rozwodziła.

- Słyszałam od **Jarusia** o pana pomysłu. Co prawda wcześniej liczyłam na niego, ale on chyba nie czuje tego interesu. Trudno. Wolę pracować z pasjonatami, a pan mi na takiego wygląda. Jeśli więc pomysł ponownego otwarcia knajpy nie wywietrzył panu jeszcze z głowy, to ja wchodzę w ten interes - zadeklarowała bez żadnych wstępów.

- Czy to nie jest zbyt nierozważna deklaracja? - włączyła się Beata.

- Moje dziecko, nie po to walczyłam o tę nieruchomość, aby ponownie oddawać ją w użytkowanie jakimś gryziopiórkom lub sklepikarzom. Z nią wiążą się moje najlepsze młodzieńcze wspomnienia. Chciałabym, aby ponownie ożyły. Modłę się o to po nocach i mam wrażenie, że Pan Bóg zesłał mi pana Bogdana, aby to pragnienie się ziściło - powiedziała to z taką pewnością, że aż mnie zadziwiła. Zawsze sądziłem, że Walczakowa mocno stąpa po ziemi, a tu taka niespodziewana erupcja metafizyki.

- Tato, niedługo się okaże, że jesteś aniołem - włączył się nieco ironicznie Rafał, który nagle stanął w drzwiach.

- Nie bluźnij, młodzieńcze. Raczej skocz do ciastkarni **Pawelczyków** i przynieś nam dobre ciasto. A pan, panie Bogdanie, zrobi mi dobrą kawę ze śmietanką, bo musimy pogadać, jeśli przyjmuje pan moją ofertę - spojrzała mi głęboko w oczy.

Rafałowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, zwłaszcza że ciasta **Pawelczyków** uwielbiał, a Walczakowa sfinansowała zakup frykasów.

- To na razie był luźny projekt - zacząłem.

- Inny nie mógł być, bo niby z jakiej racji - ripostowała. - Pora jednak skończyć z marzeniami. Nadszedł czas działania. Razem możemy zrobić wiele. Niech mi pan wierzy. Rzadko się myślę w ocenie ludzi. A pan wygląda na zdecydowanego i pełnego pasji człowieka. Możemy stworzyć coś dobrego.

Nie wiedziałem, jak się zachować. Propozycja była tak niespodziewana, że zupełnie mnie zaskoczyła. Beata ciągle kiwała głową i wydawała się zaniepokojona. Teściowa w milczeniu śledziła moją twarz, a Walczakowa wyraźnie czekała na ostateczną deklarację.

- Dla taty to jest szansa na odmianę życia. Może warto, aby spróbował - wypaliła nagle **Zuza**. Beata spojrzała na nią zdziwiona, ale nic nie powiedziała. Obydwie stare kobiety przymknęły oczy z zadowolenia.

- Ten pomysł rzeczywiście mnie pociąga. Obawiam się tylko, czy mnie nie przerasta - asekurowałem się.

- Na początku wszystko wydaje się trudne, ale nie ma takiej trudności, której nie można by pokonać. Zaczynałam kilka razy od początku, więc wiem, o czym mówię. Czuję, że nam się uda. A **Jaruś** pomoże - nie ustępowała Walczakowa.

- Umie pani przekonywać, ale trzeba to dokładnie przemyśleć - wykręcałem się, gdy Rafał wrócił z cukierni z eklerami i sporym wyborem rozmaitych ciasteczek. Wkrótce wszystkie znalazły się na kuchennym stole. Miałem jeszcze bardzo dobre reńskie wino.

## XIX

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Spokojny i regularny oddech Beaty, która spała przytulona do mojego ramienia, wcale mnie nie uspokajał. Przeciwnie, był jak wyrzut sumienia. Budził obawy i wątpliwości, gdy po raz kolejny zaczynałem rozmyślać o knajpie. Bałem się, że mogę przez nią zniszczyć nasz spokój i z trudem wypracowaną małą stabilizacją, ale w środku coś szeptało mi co chwila, że to być może ostatnia moja szansa.

- Pójdę do ratusza. Przynajmniej sprawdzę, co trzeba zrobić, aby taki interes rozkręcić - postanowiłem, zanim po kilku godzinach przewracania się z boku na bok zmorzył mnie sen.

Wcześniej rano dotarłem do magistratu. Pan Janek Brzozowski, ojciec mojej uczennicy z IIIB, witał już petentów w nowym mundurze, który po ostatnich wyborach w ramach poprawy wizerunku urzędu sprawił mu nasz burmistrz.

- Witam panie profesorze. Jak **zdrówko**? - zagaił z profesjonalnym uśmiechem na twarzy. Zatrzymałem się przy nim na krótko. Oczywiście prawie od razu zaczął wypytywać o postępy córki w nauce. Zapewniłem go, że wszystko w porządku. Zresztą zawsze tak mówiłem rodzicom dzieci, które w moich oczach były zupełnie bezbarwne. Tym razem zresztą ta zgrabna formuła także okazała się zbawienna. Rodzicom rzeczywiście niewiele trzeba, aby poczuli się usatysfakcjonowani. Mnie zaś zgrabnie udało się wywinąć z rodzicielskiej sieci. Nie **spodziewałem** się natomiast, że nagle stanę oko w oko z przeszłością. Tymczasem siedziała za biurkiem Wydziału Handlu. Nazywała się **Liliana Rojewska**. Ostatni raz spotkaliśmy się przed czterema laty na maturalnej poprawce. Wtedy także patrzyła na mnie fiołkowymi oczami spod pokrytych ciężkim lazurem powiek. Nie było to radosne spojrzenie.

- Czego pan **sobie** życzy? - spytała zasadniczo.

- Właściwie tylko informacji. Chciałbym się dowiedzieć, jakie wymogi trzeba spełnić, aby można było prowadzić lokal gastronomiczny. Kolega ma taki zamiar. Poprosił mnie, abym rozeznał się w sytuacji - kłamałem jak z nut, śledząc reakcję fiołkowych źrenic. Nie wytrzymała. Spuściła wzrok, ale po chwili się przemogła.

- To nie jest zbyt skomplikowana sprawa. Wystarczy zarejestrować działalność gospodarczą i mieć odpowiednio przygotowany personel. Ewentualnie - w przypadku samodzielnej pracy przy kuchni - należy przedstawić zaświadczenie o ukończeniu kursu **gospodnika**. Oczywiście trzeba również dysponować stosownie wyposażonym lokalem, ale to już sprawdza sanepid - **Liliana** mówiła prawie jak automat, bez okazywania zbędnych uczuć i emocjonalnego kokietowania petenta. Była zupełnie inna niż wtedy, gdy za wszelką cenę chciała

zdać maturę. Teraz miała w sobie o wiele więcej pewności i dystansu.

- To rzeczywiście jasna sytuacja. Bardzo dziękuję - postanowiłem się szybko wycofać, całkowicie zbity z tropu wiejącym w moim stronę lodowatym chłodem. Już uchylałem drzwi, kiedy za plecami usłyszałem jeszcze kilka dodatkowych zdań.

- Jeśli przypomniał pan sobie zamieszanie wokół matury, to chciałabym dodać, że nie mam do pana żalu. Skarga do kuratorium oświaty była pomysłem mojej mamy. To ona nie mogła uwierzyć, że w jednej pracy zrobiłam piętnaście błędów ortograficznych. Mnie ten rok przerwy dużo dał. Wtedy zrozumiałam, kto jest moim przyjacielem, a kto go tylko udaje - wyrzuciła z siebie szybko i zamilkła. Zaskoczyła mnie. Nie spodziewałem się takiego wyznania.

- Nie ma sprawy. Najważniejsze, że zdałaś maturę. Za drugim razem było już całkiem dobrze - uśmiechnąłem się i wyszedłem. Jakoś nie miałem siły z nią rozmawiać, bo właśnie znowu zobaczyłem przed oczami spotkanie z kuratorem, który cytował mi skargę matki **Liliany** z koronnym argumentem, że jej córka nie zdała matury, bo raz jej klasę wypuściłem z lekcji dziesięć minut przed dzwonkiem.

- Ludzka głupota nie zna granic - szepnąłem sam do siebie, idąc korytarzem naszego zabytkowego ratusza. Miałem jednak tę satysfakcję, że nie zawsze przechodzi ona z matki na córkę.

- Dzień dobry, panie profesorze. Co pana sprowadza w nasze progi - z **wewnętrznego** monologu wyrwał mnie nasz burmistrz Janusz Babiński. Kuleczka - bo z powodu łysej głowy na równie okrągłym tułowi tak właśnie był powszechnie nazywany w mieście - stał w drzwiach swojego gabinetu i już biegł w moim kierunku, aby uścisnąć mi dłoń.

- Witam, panie **Małeki**. Załatwia pan u nas jakieś sprawy? Czyżby jakiś **biznesik**? Może potrzebne wsparcie władzy? - tokował wylewnie, obejmując mnie za ramię. Jego małe oczka, głęboko schowane za świecącymi policzkami, uważnie śledziły moje ruchy, gotowe wychwycić każde uczucie na twarzy rozmówcy.

- Nic wielkiego. Po prostu przyszedłem po parę prostych informacji i bez problemu je uzyskałem. Ma pan dobrze przygotowanych pracowników - pochwaliłem burmistrza. Tak trochę na wszelki wypadek, bo zawsze lepiej mieć z władzą dobre stosunki.

- Staramy się. To nasz obowiązek wobec podatnika - rzucił przed siebie wyświechtany slogan i uśmiechnął się porozumiewawczo. Zastanawiałem się. Okazja wydawała się wymarzona, aby porozmawiać o interesach, ale w środku coś mnie jeszcze wstrzymywało. Jakiś opór psychiczny był silniejszy i ostatecznie zwyciężył.

- Z chęcią porozmawiałbym dłużej, ale, niestety, muszę biec na lekcje - typowym kłamstwem wyrwałem się z objęć burmistrza i z ulgą w końcu wyszedłem z ratusza. Wiosenne słońce grzało plac przed ratuszem, rozjaśniając liście klonów w alei prowadzącej do centrum miasta. Poczułem, że ta jasność dnia tym razem przeznaczona jest także dla mnie.

- Uda się - krzychałem w sobie, na **zewnątrz** nucąc radziecki hit o tym, że zawsze będzie słońce, który nagle jakoś zaczął krążyć po mojej głowie. We mnie

tym razem słońce było na pewno. Poza tym miałem plan.

XX

- Cześć Janusz. Tu Bogdan. Tak, **Małecki**. Kopę lat. No trzeba. Rzeczywiście trzeba się spotkać i pogadać o starych dziejach - mówiłem do telefonu, cały czas zezując na drzwi pokoju nauczycielskiego. Nie chciałem, aby ktoś był świadkiem mojej rozmowy z Januszem **Majewskim**, obecnym dyrektorem Centrum Kształcenia Ustawicznego, które właśnie organizowało trzymiesięczny kurs na **gospodnika**. Janusz razem ze mną kończył polonistykę, ale zamiast nieść kaganek oświaty, postanowił zrobić szybko karierę. Potrzebował zaledwie kilka miesięcy, aby stać się znanym działaczem Solidarności. Wkrótce wybrano go na radnego, a po tygodniu koledzy uznali, że nadaje się na przewodniczącego komisji oświaty rady miejskiej. Ślub z córką szefa Komitetu Obywatelskiego sprawił, że Janusz był dobrze widziany zarówno w kręgach związkowych, jak i miejskiej inteligencji. Na efekt nie trzeba było długo czekać: przed trzydziestką został dyrektorem zasłużonej placówki i od paru lat tłukł kasę, gdzie się dało. Dzięki swojej pozycji mógł wiele. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i od razu mi to uzmysłowił.

- Chcesz chodzić na kurs razem z tymi niedouczonymi maślakami? - pytał z nieukrywanym zdziwieniem.

- A jak to sobie wyobrażasz?

- Prosto: zapiszesz się na kurs, wniesiesz opłaty, a potem przyjdiesz po zaświadczenie o jego ukończeniu. W komisji są sami moi kumple. Nie będzie żadnego problemu. Najwyżej postawisz wódeczkę - mówił bez owijania w bawełnę. Zaskoczył mnie. Myślałem, że pozostało w nim jeszcze trochę skrupułów, a tu już sam układ. Nigdy nie wiedziałem, jak się w takiej sytuacji zachować. Najłatwiej jest z poczuciem wewnętrznej czystości odmówić, ale wtedy wychodzi się na podejrzanego naiwniaka, z którym nie warto się zadawać, bo nie wiadomo, co wymyśli. Z kolei jak już wdepniesz w układ, to zwykle zaczynasz siedzieć w nim po uszy, bo najczęściej jedna sprawa pociąga drugą i tak grzęzniesz w kolejnych kompromisach moralnych.

- Co tak milczysz? - zdenerwował się.

- Nic, przez moment zapatrzyłem się w okno - odpowiedziałem bez sensu. Ale zaraz dodałem, że wchodzę w kurs.

- Bardzo mi na nim zależy - dodałem uspokajająco.

- Interesik na wakacje? - przeszedł do bezczelnego badania.

- Coś w tym rodzaju. Pogadamy, jak wpadnę zapłacić za kurs. Teraz muszę kończyć. Już za chwilę dzwonek - przerwałem rozmowę.

W samą porę, bo do pokoju nauczycielskiego akurat wносиła swoje kilogramy nasza **Emilka**. Szła w towarzystwie **madame Jasińskiej**, która już prawie trzydzieści lat rozwijała w naszej budzie kulturę francuską. W tym momencie natomiast dzieliła się z **Emilcią** swoją głęboką wiedzą na temat haftu **Richelieu**. Obydwie tak były zajęte analizą jego zawłości, że poczułem się jak truteń wśród pracowitych pszczółek. Nie czekając na ewentualny atak, czym **prędzej** przeniosłem się do swojego kantorka.

Tam natychmiast dopadła mnie Jagoda **Korotki**. Tym razem w wersji psychodelicznej: z kruczymi włosami, wybieloną twarzą, otoczonymi czarną

kreską oczami oraz ciemną plamą farby na powiekach świecących brokatem. Całość uzupełniały czarna lotnicza kurtka, siwa podkoszulka z napisem "Nirwana", czarne, skórzane spodnie ze sznurowaniami i równie czarne skórzane buty na słoninie.

- Robię wrażenie? - zapytała wyzywająco.

- Na mnie raczej nie. Nie gustuję w tym typie - zgasilem jej nadzieje.

- Posłucha pan, jak mówię Sylwię Plath. Mam wrażenie, że odczuwam z nią jakąś siostrzaną jedność - zmieniła temat, modelując tajemniczo głos. Była taka śmieszna w tej swojej nowej manierze, że nie potrafiłem jej poważnie traktować.

- Z przebierańcami nie umiem pracować - powiedziałem twardo, mimo że jej wzrok błagał mnie o litość i wyrozumiałość dla kontrkultury. Tym razem jednak nic mnie nie pociągało w tak demonstracyjnej i fałszywie wystudiowanej sztuczności.

- Ubierz bardziej stosowny kostium. Wtedy znajdę czas - odsunąłem ją chłodno, choć kilka minut później w II b żywo dyskutowałem o buncie kwiatów przeciw korzeniom. Pod koniec lekcji zgodnie doszliśmy do wniosku, że to typowe zjawisko powtarzalne w każdym pokoleniu. Dzwonek uświadomił mi, że dzisiaj być może czeka mnie bunt w domu.

Po godzinie 15 byłem już pewien, że to przeczucie zaczęło się spełniać. Ciepłe naleśniki z lodami, które postawiłem na stole przed Zuzą, wcale jej nie zachwyciły. Najpierw spojrzała mi w oczy, a potem ze skrywaną złością zaczęła mówić przez zęby. - A więc jednak chodzisz do ratusza, aby coś załatwić - prawie syczała. - Za plecami mamy. Tak nie wolno. Prawdziwy mężczyzna załatwia swoje sprawy z otwartą przyłbicą.

- Śledzisz mnie? - zapytałem zaskoczony.

- W naszym mieście nie trzeba nikogo śledzić, aby wiedzieć, co robił. To chyba wiesz lepiej niż ja - odburknęła, wydymając policzki. Potem wyciągnęła nogi i wychyliła się do tyłu, przegarniając rozpuszczone włosy. Wyglądała, jak zmęczona życiem kobieta.

- Co cię gryzie, maleństwo? - wyraziłem zaniepokojenie, obserwując w zachowaniu mojej córki stan, który na co dzień jest jej zupełnie obcy.

- Czuję się jakoś zmęczona. Ta choroba babci uświadomiła mi, że ludzkie życie jest tyle warte co kwiat mleczca. Wystarczy dmuchnąć i wiatr roznosi go na różne strony. Już nigdy nie będzie w komplecie - mówiła poważnie moja córka.

Była taka dojrzała jak nigdy dotąd. Gdzieś zniknęła ta nastoletnia złośliwość i kąśliwość. Właściwie miałem ochotę się do niej przytulić, ale tylko patrzyłem i wewnątrz zachwyciłem się, jak na moich oczach wyrasta motyl.

- Życie cię jeszcze wiele razy zaskoczy. I nieraz będziesz miała wrażenie, że coś się wali, ale potem się okaże, że tak się rodzi nowe - włączyła się nagle do rozmowy moja teściowa, która jak duch w kolorowej podomce wyszła z pokoju i w swoich filcowych kapciach przydreptała do kuchni. Była blada, zmęczona, ale w jej oczach nie wygasła wola walki. Tak samo jak w Ciapku, który pojawił się w kuchni jak cień swojej pani, bo natychmiast zaczął śledzić, czy w pobliżu nie ma coś na ząb. Na szczęście jego puszka stała w lodówce. Połknął jej zawartość, zanim zdążyłem ją do końca opróżnić.

- Czy on w ogóle czuje, że coś zjadł? - zdziwiła się Zuza. Tymczasem teściowa

usiadła przy stole i spojrzała na nas bardzo tklawie.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale właśnie uświadomiłam sobie, że żyję we wspaniałej rodzinie i od razu postanowiłam wam za to podziękować - mówi łagodnie, jakoś rozświetlając naszą kuchnię. Nawet **Zuza** momentalnie wyszła ze swojej melancholii.

- A teraz powiedz nam, Boguś, co załatwiałeś w urzędzie? - zmieniała nagle front.

- Nic. **Właściwie** nic. Tylko spytałem, co trzeba zrobić, aby otworzyć restaurację - wyznałem przygwożdżony do muru. - Czy to coś złego?

- Nie, Boguś, nie. To znaczy, że ten pomysł to jednak autentyczne pragnienie, a nie tylko chwilowa mrzonka. Walczakowa też tak uważa. Dzisiaj przed południem, gdy mnie odwiedziła, powiedziała, że ma przecucie, że dopniesz swego. Może ma rację. Jeśli tak chce los, to rób swoje - mówiła, wpatrując się we mnie swoim łagodnym spojrzeniem.

- Babciu, dlaczego popychasz ojca w tę stronę? - z wyrzutem, ale jakoś łagodnie odezwała się **Zuza**.

- Moja panno, nie bądź okrutna wobec innych. Przecież nie chcesz, aby pozbawiano cię marzeń? To innych też ich nie pozbawiaj - powiedziała spokojnie, ale z nagłym zdecydowaniem w tonie, jakby przypomniawszy sobie, że jest wdową po pułkowniku. Co prawda pożarnictwa, ale jednak. Nie chciałem słowami nic zepsuć, więc podszedłem do szafy, gdzie zawsze stała butelka z **ajerkoniakiem** do lodów. Wyciągnąłem ją razem z dwoma kryształowymi kieliszkami. Postawiłem przed sobą i teściową i zacząłem nalewać.

- Ależ babcia jest chora? - zareagowała **Zuza**.

- Czy musisz mi o tym zaraz przypominać? Proszę, nalej Boguś, taki naparstek na pewno mi nie zaszkodzi - ucieszyła się.

Mnie też rozsadzała jakaś radość, która wzmacniała we mnie ducha i dodawała siły. Kieliszek znacząco wzmocnionego przeze mnie spirytusem **ajerkoniaku** tylko tę wewnętrzną błogość utrwalił.

Nagły rumor przy drzwiach wyzwolił psie instynkty w zasypiającym w kącie Ciapku. Pobiegł oszczekać gościa i sprowadził do kuchni Beatę.

- Popijacie? W tym stanie? Mamo, musisz uważasz na siebie, a nie postępować tak nierozsądnie - wpadła prawie w furję, gdy tylko wzrokiem omiotła całą kuchnię.

- Uspokój się. Nic się nie stało. To tylko naparstek. Co prawda dość mocny, ale czy takie nic może zaszkodzić? - uspokajała ją teściowa.

Beata jednak krążyła po kuchni jak tygrys w klatce. Zdezorientowany pies próbował wpaść w jej rytm, ale gdy wyczuł zdenerwowanie, znowu zwinął się w kącie i bez zaangażowania czekał na rozwój wypadków. Beata tymczasem wyraźnie szukała zaczepki, a wewnętrzne emocje nie pozwalały jej wyhamować. **Zuza** na wszelki wypadek pod pretekstem odrabiania lekcji od razu wyniosła się do siebie. Ja natomiast postanowiłem trafić do niej przez żołądek. Na szczęście naleśniki jeszcze nie zdążyły ostygnąć. Podałem więc mojej żonie razem z lodami z wkładką **bakaliową** i czekoladową polewą.

- Na dobre jedzenie chyba rzeczywiście mogę zawsze liczyć w tym domu - powiedziała, gdy tylko spróbowała mój najnowszy produkt.



- Oj, dba o ciebie, jak żaden inny mąż - pochwaliła mnie **znowu** teściowa, uśmiechając się filuternie.

- Całe szczęście, bo przynajmniej przy jedzeniu mogę jakoś wrócić do równowagi - wyrzuciła z siebie Beata.

- A co się, skarbie, stało? - zainteresowała się teściowa, uzupełniając moje pytające spojrzenie. Okazało się, że to był dla Beaty sądny dzień. Nagle dwóch jej najlepszych **marchandiserów** postanowiło przejść do konkurencji.

- Czułam, że coś się święci, bo ostatnio byli jacyś niewyraźni. Wystarczyło, że kilka dni nie było mnie w pracy, a już spiknęli się z konkurencją. Podkupili ich za tysiąc złotych. Każdemu dali po 500 złotych podwyżki i całą lojalność, o której tyle się nagadaliśmy, szlag trafił. Na dodatek postanowili odejść z dnia na dzień i jeszcze chcą to zrobić na zasadzie porozumienia stron - mówiła między jednym a drugim kęsem naleśnika.

- Możesz im to trochę utrudnić. Przecież nie musisz się od razu godzić na ich warunki - wtrąciła teściowa.

- Nie za bardzo, bo przed miesiącem na tej samej zasadzie puściłam z firmy już jedną dziewczynę i oni teraz się na to powołują. Tyle tylko, że oni są moimi najlepszymi pracownikami - wyjaśniła Beata.

- Po co oni tak nagle są potrzebni konkurencji? - zapytałem.

- Jak to po co? Żeby mnie wykończyć. Zanim znowu zacznę działać na pełnych obrotach, oni będą dążyć do przejęcia mojego rynku. Ale nie. Tak szybko się nie poddam. Zresztą już rozmawiałam z rezolutną dziewczyną, która przed tygodniem szukała u nas pracy. Sprawiała wrażenie bardzo rozbawionej. Jak tylko poradzi sobie z krewnymi - sępami, którzy po śmierci jej babki rzucili się rozkradać odziedziczone przez nią mieszkanie, to ruszy pełną parą. Mam nadzieję, że sobie poradzimy - Beata odsapnęła i pierwszy raz się uśmiechnęła.

- To może kieliszeczek na poprawę humoru? - zapytałem niepewnie.

- No, niech będzie - zgodziła się i już nie protestowała, gdy nalałem także do kieliszka teściowej, która bez wahania przyjęła wsparcie na drugą nóżkę.

- Moje drogie dzieci, co ja bym bez was zrobiła. Gdybym was nie miała, pewnie od razu bym się poddała chorobie - mówiła rzewnie, ale mnie wlewała miód do serca. Jeszcze trochę, abym się rozkleił.

- Niech mama nie wpada w tani sentymentalizm, tylko ćwicz. Trzeba ruszać ręką i w ogóle dbać o ruch i dobre samopoczucie. Zdrowie samo nie przyjdzie - Beata znów wpadła w swój zawodowy optymizm i zaraz pobiegła do łazienki, aby się odświeżyć i zmyć z siebie problemy dnia. Z chęcią pomógłbym jej namydlić plecy, a może i coś więcej, ale w tych warunkach rodzinnych te naturalne pragnienia były niewykonalne.

- Zagramy w coś? - zaproponowała teściowa. Pod ręką akurat leżała plansza **scrabble'a**. Sięgnęliśmy po nią oboje. Zaraz przyłączyła się **Zuza**, a w ostatniej chwili także Rafał, którego po powrocie z łazienki zaczęła wspierać Beata. Tym sposobem po godzinie przegrałem z kretelem całe rozdanie, nie przekraczając nawet granicy 100 punktów.

- Za wcześnie zaczęliśmy. Gdybyśmy rozpoczęli rozgrywkę po 22, to na pewno bym wygrał. Wtedy mam najlepsze pomysły - usprawiedliwiałem się.

- Jak zwykle wywracasz kota ogonem. Jak się ma pomysły, to słowa same

przychodzą do głowy. Już nie wydziwiał - podsumował mnie Rafał. Beata objęła mnie za szyję. Przytuliła się do moich pleców i pocieszała mnie jak dziecko. Gdybym nie czuł jej ciepłych piersi, to wziąłbym to za macierzyńskie uczucia, których nasze dzieci nie pozwalają już na siebie przelewać. To była jednak zapowiedź miłej dla mnie nocy. Kochaliśmy się w naszym małżeńskim łóżku, uważając, żeby nie narobić zbyt dużo hałasu, bo rozmaite uszy mogły wychwycić nasze czułości.

- Jeśli naprawdę chcesz zrobić coś nowego, to spróbuj. Pomogę ci. Chyba rzeczywiście ci się to należy - powiedziała cichutko Beata. Potem wtuliła się we mnie i zasnęła, oddychając spokojnie jak dziecko, które bezgranicznie ufa swoim rodzicom. Leżałem obok niej i myślałem o swoich pragnieniach i kompleksach. Gdzieś tam we mnie tkwiła jednak zazdrość wobec tych facetów, którzy na początku lat dziewięćdziesiątych nie wstydzili się rozkładać na chodnikach ze swoim kramem do handlowania. Sprzedawali, co popadło, a potem z miesiąca na miesiąc i rok po roku pięli się w społecznej hierarchii, dochodząc nawet do sieci sklepów i specjalistycznych hurtowni. Teraz to już nie był ten czas.

- To jednak nie znaczy, że nic nie można zaczynać - szeptał mój głos wewnętrzny. - Raz kozie śmierć. Trzeba spróbować.

## XXI

Tuż po godz. 14 Emilia postanowiła zwołać za pół godziny krótką radę pedagogiczną. - Przygotowałam plan godzin na przyszły rok i chciałabym to z wami przedyskutować - zapowiedziała, falując biustem, który w rytm jej ciężkiego oddechu opadał i podnosił się. **Rzeczywiście** było o czym rozmawiać. Okazało się, że w przyszłym roku szkolnym nie będzie nadgodzin, bo Babiński obciął dodatkowe pieniądze na kółka zainteresowań i jeszcze zażądał, aby Emilia zatrudniła dwóch młodych magistrów, którzy właśnie wrócili po studiach do naszego miasta i poszukują zatrudnienia w szkole.

- Cięcia dotkną wszystkich, a najbardziej polonistów, bo muszę wygospodarować etat dla nowej koleżanki. W rezultacie pozostaną dla was trzy nadgodziny - ogłosiła Emilia.

- Jestem za tym, aby otrzymała je koleżanka **Kostrubiec**, bo za rok odchodzi na emeryturę i powinniśmy zadbać o to, aby w tym ostatnim roku pracy zarabiała stosunkowo dobrze - od razu wyskoczyła z mową nasza **superdziałaczka** Krystyna **Jarzyniak**, podstarzała blond piękność z ZNP, niegdyś siła napędowa nieboszczki partii, obecnie - jak lubi podkreślać - z wyboru bezpartyjna. Nikt nawet nie ośmielił się dyskutować. Zresztą nie było za bardzo o czym: te **kilkadziesiąt** złotych za trzy lekcje i tak by nikogo nie zbawiło.

- Boguś, chyba się nie gniewasz? - zapytała koleżanka **Kostrubiec**, która jak zwykle siedziała przy oknie i wpatrywała się w dal, jakby chciała się w ten sposób obronić przed wybuchem płaczu.

- Oczywiście, że się nie gniewa, bo kobietom trzeba zawsze ustępować - odpowiedział sarkastycznie siedzący obok mnie kolega Zygmunt **Leończyk**, biolog i zarazem ojciec trzech córek, dla utrzymania których od kilku lat biega codziennie między trzema szkołami, a potem jeszcze obskakuje korepetycje z chemii. **Kostrubiec** nawet nie czekała na moje wyjaśnienia. Ponownie schowała

się do swojej skorupy i zastygła w urażeniu. Byłem pewien, że teraz przez kilka miesięcy nie będzie się do mnie odzywać. Tymczasem Emilia tokowała dalej, rozwijając przed nami czarne chmury przyszłości. Rzecz w tym, że właśnie zaczyna działać w mieście konkurencja, która od września zamierza otworzyć dwie klasy pierwsze. To oznacza, że będziemy tracić uczniów.

- Nie jest więc wykluczone, że z powodu narastającego niżu demograficznego będą w przyszłości zmuszona do ograniczenia zatrudnienia - zakończyła swoją **perrore**. Od razu zważyła nastrój. W klasie zapanowała cisza. - Nie popadajmy w pesymizm. Tak szybko się nie poddamy. Jak będzie trzeba, powalczymy - najszybciej odzyskała głos koleżanka **Jarzyniak**. Jak zwykle cała w fioletach. Nikt jednak jej deklaracji wprost nie poparł. A ja pomyślałem, że oto nadchodzi ciężki czas. Zawód nauczyciela, który zawsze wydawał mi się bezpieczny, wcale taki nie musi być.

- Jeszcze trochę i zredukują cię tak samo jak mnie - nie bez satysfakcji w pozornie chłodnym tonie odezwał się Zygmunt. - Trzeba się ewakuować. I już nawet wymyślił sposób. Razem z kolegą rozkręca firmę, która będzie się zajmować kształtowaniem terenów zielonych.

- Ogródki dla bogatych oraz skwery, zieleńce i parki dla zleceniodawców publicznych. Wbrew pozorom jest już zapotrzebowanie na takie usługi. Do końca roku odbiję się od dna - uśmiechnął się, ale tak jakoś skrycie, aby wiadomość o jego sprycie nie dotarła do reszty koleżeństwa. **Wcale** się nie zdziwiłem, bo gdy przed trzema laty wyszło na jaw, że nasza **łacinniczka** po godzinach produkuje dobrze sprzedającą się biżuterię z miedzi i bursztynów, to rozgorzała taka dyskusja, że wkrótce sama zrezygnowała z pracy w szkole. Przypomniałem to sobie, gdy Emilia zaczęła ogłaszać, kto w tym roku będzie pracował w komisjach maturalnych. Na szczęście tym razem żadna moja klasa nie przystępuje do matury. Będę więc tylko asystował przy narodzinach dojrzałości, a koleżanka **Kostrubiec** sprawdzi blisko 130 pisemnych **wypracowań**. Współczuję, ale z kondolencjami nie pobiegnę, bo jeszcze by mnie ofuknęła w swoim płaczącym stylu. Za to przesiadłem się obok **Ewki**, która od kilku minut dokładnie !lustrowała swoje wypieszczone paznokcie z rzymskim wzorem na purpurowym podkładzie. Była wyraźnie zachwycona osiągniętym efektem.

- Co to? Nowe narzędzie do dręczenia mężczyzn? - zapytałem nie bez złośliwości.

- Żebyś widział. Koniec z grzeczną dziewczynką. Nie zasługujecie na wyrozumiałość i dobre słowo - syczała, wbijając swoje szpony w moje przedramię. Miała przy tym tak napiętą twarz, że gdyby mogła, to chyba by eksplodowała.

- Czy coś się stało? - wtrąciła się nagle wyraźnie zaniepokojona Emilia.

**Ewka** zaprzeczyła i rozesała wszystkim promienny !uśmiech. Ja zaś oderwałem jej **paznokcie** z mojego ramienia. Chyba w ostatniej chwili, bo ślady po nich były już tak głębokie, że za chwilę w tych miejscach pojawiłyby się krwawe rany.

- Jesteś wampirem - warknąłem, masując skórę.

- Przygotuj się i uważaj, bo będzie jeszcze gorzej - syknęła, mrużąc złowieszczo oczy. Potem uśmiechnęła się dość obleśnie i niespodziewanie

wstała.

- Przepraszam, pani dyrektor, muszę wyjść, bo nie jestem już w stanie wysłuchiwać tych oburzających propozycji, które od paru minut padają z ust kolegi **Małeckiego** - powiedziała tonem urażonej dziewczyny i wybiegła ze szlochom z klasy. Zdębiałem. Tym bardziej że wszystkie oczy w sali skierowały się we mnie. Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

- Bogdan, czyś ty oszalał - wymamrotała po chwili Emilia, oblewając się purpurą od tłustych policzków po wybujął pierś.

- Chyba nie sądzicie, że tu się coś działo. To kolejny numer **Ewki**. Przecież od dawna jest postrzelona i robi różne zagrywki - próbowałem się bronić. Tak samo niezgrabnie jak najgorsi z moich uczniów.

- Już byś lepiej milczał, a nie **pograżał** się jeszcze bardziej - włączyła się koleżanka **Jarzyniak**. Tak, ta na pewno nic nie obróci w żart. Pozbyła się już dwóch mężów, to może przyłożyć i następnemu chłopu. Grono zamilkło i odwróconymi plecami odcięło się od mnie. Jedynie przez twarz koleżanki **Kostrubiec** przemknęło coś na kształt uśmiechu zadowolenia.

- No to wpadłeś jak śliwka w gówno - rzucił zimno kolega **Leończyk**, gdy Emilia natychmiast zakończyła zebranie i poprosiła, abym za moment przyszedł do jej gabinetu. Już dawno niczego tak nie żałowałem jak tych kilku chwil, które spędziłem obok **Ewki**. Co mnie napadło, aby się do niej dostać. Właściwie to nie chciało mi się wychodzić z klasy. Ale jednak wyszedłem i powlokłem się do gabinetu Emilii.

XXII

Siedziała już przy swoim ciężkim mahoniowym biurku i wzdychała. Biust jej ciążył, ale kamień zmartwień, który ulokował się pod nim, chyba jeszcze bardziej.

- Niedawno otrzymałam list. Od **Ewki**. Chciałam go zbagatelizować, ale w tej sytuacji, gdy sprawy między wami stają się publiczne, sama już nie wiem, co mam robić - prawie wysapała, podsuwając mi pod nos kartkę listowego papieru wypełnioną drobnym kobiecym pismem. "Szanowna pani dyrektor. Długo wahałam się, czy ujawnić przed panią to, co się dzieje już !od dłuższego czasu. Próbowałam z tym poradzić sobie sama, ale obawiam się, że nie jestem w stanie. Rzecz w tym, że kolega Bogdan **Małecki** od kilku tygodni prześladowuje mnie swoimi miłosnymi wyznaniem i propozycjami o wyraźnie seksualnym charakterze. One początkowo były nieszkodliwe i mieściły się w granicach dopuszczalnego flirtu towarzyskiego. Ostatnio jednak te propozycje stały się coraz bardziej natarczywe i grubiańskie. Nie tylko dotyczą mnie osobiście, ale czuję, że mi zagrażają. Mam wrażenie, że kolegę **Małeckiego** opanowała wręcz erotyczna obsesja na moim punkcie."

Dalej nie byłem w stanie czytać. Miałem ochotę **wybiec** i stłuc **Ewkę** na kwaśne jabłko.

- Chyba w to nie wierzysz? - wykrztusiłem z rozpaczą w głosie. - Raczej nie.

- Jak to "raczej"?

- Bo **Ewkę** znam i wiem, że reaguje często dziwacznie. Ale nie wiem, czy tak samo zareagują w Kuratorium Oświaty.

- W kuratorium?

- Owszem, bo tam też trafił ten list. **Wicekurator** już dzwonił do !mnie w tej

sprawie. Na razie prosiłam go o zachowanie spokoju i !zapewniłam, że sama wszystko wyjaśnię. Zgodził się ze mną, ale obawiam się, że dzisiejszy incydent może tę sytuację stawiać w innym świetle.

- Emilio, przysięgam. Nic mnie z **Ewka** nie łączy. Nawet przez moment nie pomyślałem o niej jako o kobiecie, którą mógłbym pożądać. Jeśli chcesz, mogę ci złożyć przysięgę na wszystkie świętości - zebrałem przed nią o litość. Miałem łzy w oczach, a w środku wrzała we mnie prawdziwa nienawiść. Gdybym miał w sobie złą moc, to w tym momencie **Ewka** już smażyłaby się na piekielnym ruszcie. Mimo wszystko jednak starałem się panować nad sobą.

- Jakoś rzeczywiście nie potrafię uwierzyć w prawdziwość słów !naszej koleżanki. Muszę z nią **porozmawiać**. Będę dążyła do konfrontacji z wami. Na razie obiecuję dyskrecję. Spróbujemy się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Dziękuję ci - powiedziała zimno i wstała z miejsca.

Byłem oszołomiony, ale wiedziałem, że muszę ratować twarz. Do sekretariatu wyszedłem już z uśmiechem, aby nie dać satysfakcji koleżankom, które nagle grupowo musiały sprawdzać zmiany w !planie. Wiedziałem , że to tylko pretekst. Na szczęście zapanowałem nad nerwami. Nawet coś zażartowałem i po chwili zmyłem się. W samą porę, bo tuż za drzwiami szkoły przez komórkę dopadła mnie Beata. Uprzedzała, że się spóźni.

- Bądź taki miły i zrób obiad. Dla mamy coś dietetycznego. No, to **pa** - zarządziła i wyłączyła się. Całe szczęście, bo już się bałem, że do niej także trafił ten przeklęty list. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że nie mogę patrzeć na szkołę. Coś pękło. **Ewka** zerwała tę cieką pępowinę, która przez długie lata łączyła mnie z romantyczną młodością. Wtedy szedłem do szkoły z wiarą, że nauczanie może być piękne, a praca wśród ludzi z klasą inspirująca. Młodość długo podtrzymywała we mnie tę nadzieję. Nauczyciele szybko zaczęli ją podkopywać. Dzisiaj !zwariowana **Ewka** całkowicie ją zniszczyła. Pomyślałem, że może pierwszy raz w życiu załatwię sobie lewe zwolnienie, a wolny czas wykorzystam, aby rozruszać projekt z knajpą. Jeśli mam dłużej się męczyć z tymi wariatami, to wolę powalczyć z losem.

Ale jednak najpierw postanowiłem zrobić coś na ząb. W supermarkecie za rogiem kupiłem ciasto francuskie, schab bez kości i składniki do sałatki z sosem **vinegret**. W końcu nic tak nie wpływa na poprawę samopoczucia jak dobre jedzenie. Przynajmniej w moim przypadku.

- I co ? Zastanowił się pan, panie Bogdanie - zaczęła mnie Walczakowa, kiedy z wypchaną reklamówką dotarłem do naszej ulicy.

- Właściwie tak. Miałem dzisiaj tak nieprzyjemny dzień w szkole, że postanowiłem wziąć znowu życie za bary. Jutro porozmawiamy o szczegółach. Przyjdę do pani po godz. 10. Jak tylko zaniosę do szkoły zwolnienie lekarskie - powiedziałem prawie na jednym wydechu, aby uprzedzić strach i wątpliwości. - Cieszę się. Jestem pewna, że nam się uda - radośnie powiedziała Walczakowa i niespodziewanie z tego zadowolenia aż podskoczyła. Nie spodziewałem się, że potrafi tak się cieszyć.

XXIII

- **Zwolnionko** potrzebne? - zapytał swoim melancholijnym głosem dr **Bolecki**, siadając na krześle tuż po tym, jak mnie opukał i osłuchał. Przedtem zlustrował

mój język i przygniółł go patykiem, aby zajrzeć mi do gardła. Ja tymczasem efektownie kaszlałem. Do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy z tej umiejętności. Ze strachu na dodatek spociłem się, co dodawało wiarygodności moim zeznaniom, że od wczoraj na przemian męczą mnie napady gorączki i potu. Musiało to wyglądać bardzo przekonująco, bo teraz dr **Bolecki** patrzył na mnie ze współczuciem.

- Przydałoby się zrzucić kilkadziesiąt kilogramów. Wtedy byłby pan zdrowszy, a i żona miałaby z pana więcej pożytku - powiedział w tonie **dobrodusznej** rady.

- Nie rozumiem?

- Tu nie ma nic do rozumienia. Chude koguciki mają w sobie więcej wigoru i są bardziej zainteresowane deptaniem kurek. Niech pan popatrzy na zwierzątko.

Jakoś nie miałem ochoty na toczenie sporów o moich możliwościach seksualnych z obcym facetem. Teraz dopiero jednak do mnie dotarło, co znaczący sugestie moich szkolnych koleżanek, że poszły do lekarza, a trafiły do bezpłatnej **poradni seksuologicznej**.

- Dziękuję za radę. Skorzystam, ale teraz poproszę o zwolnienie - zmieniłem temat.

- Siedem dni wystarczy?

- Jeśli aż tyle potrzeba.

- Niech pan wypocznie. Wygląda pan na przemęczonego. Małżonka jest aż tak wymagająca? - dr **Bolecki** podniósł brew, spojrzał mi w oczy i wyczekująco zawiesił głos.

- To przede wszystkim szkolne kłopoty. Dzisiejsza młodzież jest trudna.

- Ale jaka pociągająca. Te licealistki są takie rozkoszne. Wysmukłe, modnie ubrane. O wiele ładniejsze niż za moich czasów. Trochę panu zazdroścę. Taki piękny **towarek** - rozwijał się.

Pewnie gadałby jeszcze dłużej, gdyby nagle nie otworzyły się drzwi. Stała w nich młoda, pulchna **pielęgniareczka** z informacją, że **Boleckiego** wzywa kierowniczką przychodni.

- Już biegnę, kochanie - rozpromienił się i błyskawicznie wypisał moje zwolnienie. Byłem pewien, że aż ślini się na myśl, że w ciemnym korytarzu niby to przypadkiem chwyci **pielęgniareczkę** za kształtny pośladek lub młodą, soczystą pierś. Nie byłem tylko pewny, czy dostanie za to na odlew w twarz, czy też jego poufałość zostanie nagrodzona. To jednak nie był już mój problem. Z ulgą natomiast pomyślałem, że stary erotoman wskutek nagłego napięcia i niespodziewanych bodźców zapomniał ze mnie ściągnąć zwyczajowy haracz, który zwykle pobierał od moich kolegów, gdy potrzebowali zwolnienia. A może moje umiejętności aktorskie były tak rozwinięte, że rzeczywiście robiłem wrażenie chorego? Dałem sobie jednak spokój z rozmyślaniami nad tym problemem, bo miałem ważniejsze sprawy.

Dzięki Bogu w sekretariacie szkoły nie spotkałem dyrektorki ani nikogo z grona, a praktykantka, która akurat zastępowała sekretarkę, jeszcze nie nauczyła się wypytywać wszystkich o ich prywatne sprawy. Zostawiłem więc przed nią zwolnienie i od razu pobiegłem do Walczakowej.

XXIV

- Wnętrze zrobimy w starym stylu. Nie mamy pieniędzy na wielkie inwestycje,

więc trzeba zadbać, aby nasz lokal, droga pani, był oryginalny. Ma to być prawdziwa karczma z wyszynkiem i miejscem do zabawy. Wystrój wystylizujemy na wiejski, a menu będzie głównie swojskie. Takie chłopskie jadło, bo tych amerykańskich **fast foodów** nie lubię i innym nie będę polecał - mówiłem, zamiatając podłogę w lokalu Walczakowej. Pani Eugenia kiwała głową, zbierając papiery do worka. Była uśmiechnięta i wyraźnie ożywiona.

- Postanowiłam zainwestować - oznajmiła nagle. - Jutro mistrz **Kiepuszewski** rozpocznie remont elewacji. Ocieplenie i ozdobny tynk położy za pół ceny, bo dokarmiłam całą jego rodzinę, gdy walczył z białaczką. Dla pana też mam zadanie.

Okazało się, że już wypożyczyła od znajomego cykliniarkę, aby oczyścić podłogi.

- Zanim je pomalowano tym olejnym gównem, były piękne. I pan to piękno odkryje - zarządziła.

Spodobało mi się, że w końcu z marszu przeszliśmy do czynów. Po godzinie cykliniarka już działała, a ja planowałem i wyobrażałem sobie, jak zaaranżujemy naszą knajpę. Im dłużej pracowałem, tym większa część podłogi ujawniała swoje ukryte piękno. Deski przez lata nabrały szlachetności, a teraz bez oporu poddawały się maszynie.

- W tym kurzu prawie już pana nie widać. Wygląda pan jak prawdziwy stolarz. Beata pana nie pozna - śmiała się Walczakowa.

- Jeśli mamy razem współpracować, to chyba czas, aby zaczęła mi pani mówić po imieniu - zaproponowałem.

- Na to jeszcze przyjdzie czas. **Bruderszaft** wypijemy, gdy obsłużymy pierwszych klientów - wywinęła się Walczakowa. Cyklinowanie tak mnie zajęło, że zapomniałem o mijającym czasie. Właściwie przez te parę godzin żyłem już za barem i w myślach zabawiałem klientów. Dopiero dzwonek komórki, który przedarł się przez hałas z cykliniarki, uświadomił mi, że świat nie zapomniał o mnie. Dokładnie poszukiwała mnie **Zuza**.

- Tato, podobno jesteś chory. Tak mówiły dziewczyny z twojej szkoły. To gdzie się podziewasz? - zapytała bez ogródek.

- Jestem w lokalu pani Walczakowej. Cyklinuję podłogi. Resztę wyjaśnię później, a teraz proszę cię, abyś nie rozpowiadała wszystkim, że nie leżę obłożnie chory w łóżku - błagałem, choć właściwie powinienem smarkatej po prostu rozkazać. Niestety, stare sposoby moich rodziców już nie działają.

- Czyli jednak wchodzisz w knajpiany interes?

- Na to wychodzi. Wieczorem wszystko wyjaśnię. Mam natomiast prośbę do ciebie: zrób babci obiad. Przecież jak chcesz, to potrafisz. Mogę na ciebie liczyć?

- Zrobię to tylko dla ciebie, bo jak wróci mama, to będziesz miał za swoje. Już ci współczuję - powiedziała i wyłączyła się. Jakoś tym razem nie przejąłem się. Wiedziałem, że Beata nie będzie najszczęśliwsza, ale raz kozie śmierć. Kiedyś trzeba zacząć to nowe życie, o którym się marzy i które pociąga tajemniczą niejasnością.

- Czy dobrze trafiłam? - usłyszałem nagle za plecami, kiedy szedłem w stronę okiennego parapetu, aby odłożyć komórkę. Przy drzwiach **wejściowych** stała duża blondyna o bujnych kształtach i rozpuszczonych włosach do ramion.

Wyglądała jak kariatyda: mogłaby podeprzeć wielu mężczyzn, a z pewnością część z nich raczej nie ośmieliłaby się wejść jej w drogę.

- Słucham?

- Przepraszam. Trochę się zamyśliłam i tak z rozpędu przeszłam z monologu wewnętrznego w realną rozmowę.

- Czy pani jest krytykiem literackim?

- Nie, kucharką. Nazywam się Krystyna **Kubicka**.

- Miło mi. Bogdan **Małecki**, polonista. Jeśli można, to chciałbym wiedzieć, skąd ta literacka terminologia? - nie mogłem powstrzymać się przed zgłębieniem zadziwiającego zestawienia.

- To przypadek. Wczoraj odrabiałam z córką lekcje i tak jakoś przyczepiły się te słowa, bo zdałam sobie sprawę, że prawie całe życie rozmawiam ze sobą. Zwłaszcza w stołówce miałam na to dużo czasu przy garach. Ale ja nie o tym chciałam - kariatyda się zmieszała i przygarnęła ręką do figury kwiecistą sukienkę, dzięki czemu jej wybijające piersi wbiły się w perkal i zaprezentowały soczystość i dorodność kształtów.

- A o czym?

- O pracy, panie **Małecki**. Przysłała mnie tu pani Walczakowa, bo podobno kompletuje pan obsługę do nowej restauracji, a ja nie mam pracy. Za to ukończyłam szkołę gastronomiczną i mogę prowadzić kuchnię - powiedziała zdecydowanie i wczekała zawieszając głos.

- No tak, coś zamierzamy zrobić, ale jak pani widzi, to dopiero początek. Właściwie jeszcze nic nie wiadomo. Nawet w przybliżeniu nie wyznaczyliśmy terminu otwarcia. Tu nawet nie ma kuchni - tłumaczyłem się zaskoczony. - Nic nie szkodzi. Na razie mam zasilek. Na przeżycie przez pół roku wystarczy, ale z chęcią zrobiłabym coś od podstaw. To jest fantastyczne zaczynać tak coś od początku - kariatyda uśmiechała się poufale i wcale nie miała zamiaru wychodzić.

- A gdzie ma być kuchnia? - zapytała z wyraźną ciekawością w głosie.

- O, tam, gdzie widać jeszcze na murze ślady po dużym kafłowym piecu - wskazałem jej pomieszczenia od podwórka. Od razu poszła je zobaczyć.

- Super. Miejsce jest ładne, suche i słoneczne. Tu można przyjemnie pracować. Nawet nie byłoby problemu z wyciągiem. A tam można postawić lodówki - wskazała obszerny kąt przy drzwiach do dawnej spiżarki. Jeszcze bardziej się ucieszyła, gdy je uchyliła.

- Jest dobrze. Spiżarka może pomieścić zapasy nawet na dwa wesela. Wiem, co mówię, bo obsłużyłam ich już co najmniej sto - powiedziała i nagle zamilkła, jakby sobie coś przypomniała.

- Przepraszam, zupełnie mnie pokręciło. Ja tu gadam, a pan przecież nawet jeszcze nie wie, kiedy w ogóle pan otworzy ten lokal - mówiła z mieszaniną zdziwienia i błagania w głosie.

Byłem bezradny i zdezorientowany, ale gdzieś tam w głowie kołatała mi myśl, że to może dobry znak od Boga, który przez Walczakową przysłał mi pomocnika i przewodnika na nową drogę życia. Czyżby kariatyda miała być moim cicerone?

- Proszę pani, postawmy sprawę jasno: ja jeszcze nie wiem, czy coś wyjdzie z tego pomysłu. Nie mogę też pani zagwarantować, że zarobimy tu pieniądze na



życie, ale jeśli to pani nie przeszkadza, to możemy razem pracować. Jedno jest pewne: chciałbym, aby ta knajpa powstała i zrobię wszystko, aby ten pomysł zrealizować.

Powiedziałem tak od serca. To, co czułem. Kiedy spojrzałem w oczy kariatydy, ze zdziwieniem zauważyłem, że ta szczerość do bólu wcale jej nie przestraszyła.

- Proszę pana, spotkałam już na swojej drodze wielu oszustów. Oni zwykle rozwijali przede mną rozmaite miraży. Potem zostawały z nich strzępy i zawiedzione nadzieje. To mnie uodporniło, więc w ogóle mnie pan nie zszokował. Przeciwnie: w tym przypadku może być tylko lepiej. Może zatem...

- Proszę nie kończyć - uprzedziłem ją. - Umówmy się, że pani się jeszcze zastanowi. Jeśli będzie pani nadal ze mną pracować, to proszę przyjść tu jutro w południe. Możemy się tak umówić?

- No dobrze, niech tak będzie - zgodziła się kariatyda. Otrzeptała niewidoczny pył z sukienki i wyszła.

W samą porę, bo właśnie znowu rozkrzyczała się komórka. Tym razem dopadła mnie Beata. Była poirytowana.

- Zaraz tam u ciebie będę. Tylko nigdzie się nie chowaj. **Zuza** powiedziała mi, co robisz - prawie krzyczała mi do ucha.

Nie, nie zamierzałem uciekać. Zresztą dokąd? Poza tym nadszedł czas, aby wreszcie ustalić reguły gry, bo **huśtawka** emocjonalna, którą przeżywałem od kilku dni, zaczynała mnie już męczyć. Sprzątałem więc kurz po cyklinowaniu i czekałem na dalszy bieg wydarzeń. Życie nie kazało na siebie czekać. Już po chwili objawiło się w postaci Beaty i młodej szatynki z pięknym nosem, żydowskimi oczami i bujnym warkoczem.

- Czyli jednak się zdecydowałeś? - zaczęła Beata.

- Jak widzisz.

- No dobrze. Och, przepraszam, pozwolisz, że przedstawię ci: oto moja nowa zastępczyni - pani Ewa **Koszałko**.

- Miło mi poznać - uśmiechnąłem się i pocałowałem jej dłoń. Nie cofnęła jej, jak to obecnie ma w zwyczaju wiele młodych kobiet. Od razu zyskała dodatkowe punkty.

- Oto mój mąż, Ewo. Facet, który cały czas analizował wierszyki z dorastającymi panienkami, a teraz wymyślił sobie, że przed czterdziestką zostanie restauratorem, choć nie ma grosza przy duszy i nigdy nie zajmował się interesami. Czy takiego człowieka można traktować poważnie?

Beata weszła na katedrę i rozwinęła swoją myśl w **perrore**, która miała mnie osłabić i przestraszyć.

- Trzeba mu dać szansę - Ewa włączyła się w przerwę, kiedy Beata nabierała powietrza przed kolejną częścią mowy.

- Co? Chyba nie zrozumiałam?

- Ależ zrozumiałaś. W końcu mnie także dałaś szansę.

- Tak, ale ty szukasz pracy, a on ją ma i kręci nosem, choć wielu innych ma o wiele gorszą sytuację.

- A jednak ludzie czasem chcą coś zmienić w życiu. Nie można im tego zabraniać, bo wtedy stają się niewolnikami losu. Chce pani mieć niewolnika.

- Ależ Bogdan nie jest niewolnikiem.

- Beatko, proszę cię, wyhamuj. A pani dziękuję, pani Ewo. Nie spodziewałem się, że znajdę w pani zwolennika. Może wstąpimy do nas do domu na kawę, bo i tak postanowiłem zrobić sobie przerwę.

- Z przyjemnością, ale przedtem coś jeszcze powiem. Po babci odziedziczyłam niedawno stary, przedwojenny kontuar z zestawem !szafek. One stanowiły wyposażenie apteki, którą po wojnie !straciła moja rodzina. Babci dbała o te meble jak o skarb narodowy, a ja teraz nie wiem, co z nimi zrobić. Pomyślałam, że może by się panu przydały do tej knajpy.

Beatę zamurowało. Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu. A mnie się chciało śmiać. To po prostu było niewiarygodne. Gdyby ktoś ten wątek użył w powieści, nikt by nie uwierzył w taki ciąg zdarzeń.

- Nie uwierzycie, ale dosłownie przed kilku minutami w tym !miejscu stała inna kobieta, która chciałaby zostać w mojej !restauracji szefową kuchni. Może nawet pracować za darmo - powiedziałem, śmiejąc się.

- Gadasz? - zdziwiła się Beata.

- Nie. Nawet nie żartuję.

- Może jednak powinnaś męża wesprzeć? - odezwała się Ewa.

- Dajmy temu spokój. Idziemy na kawę - zarządziłem.

XXV

Już dawno tak dobrze mi się nie gadało. Beata co prawda przyglądała mi się podejrzliwie, ale pączki z piekarni na rogu, po które wysłałem Rafała, były tak dobre, że nawet ona !rozpogodziła się i cierpliwie wysłuchiwała opowieści Ewy.

Ta dziewczyna to dopiero przeszła. Nasze życie przy jej przejściach oznacza zestawienie sielanki z katogą. Ojciec opuścił dom po czterech latach maltretowania matki, która miała jedną, ale za to istotną wadę: lubiła dość często zmieniać mężczyzn, jednocześnie zapewniając każdego **absztyfikanta** w rosnącej kolejce, że wiąże się z nim do końca życia. To powodowało, że dość często musiała się ratować przed nimi ucieczką. Jak uciekała, to ginęła na całe tygodnie. I wtedy zaczynały się dla Ewy najpiękniejsze chwile w jej życia, bo nagle przechodziła pod opiekuńcze skrzydła swojej babki Marianny. Ta co prawda też przeszła krzyż pański ze swoim mężem pijakiem, ale w dwa lata po narodzinach **Ewki** szczęśliwie owdowiała i odtąd jako spadkobierczyni przyzwoitej emerytury po mężu urzędniku miejskim stała się panią własnego losu, który wspierała, świadcząc pokątnie usługi krawieckie dla pań mniej i bardziej puszystych. Nie była jednak pazerna, więc mimo wszystko miała dużo wolnego czasu, który przeznaczala na rozmowy z **Ewką** i wspólne z nią odkrywanie bajek, baśni i opowieści dla dzieci, gdyż w jej młodości o tak przyjemnym sposobie spędzania czasu w rodzinie chłopskiej, w jakiej przyszła na świat, nikt nawet nie pomyślał. Teraz odnajdywała na nowo utracone przyjemności i równie obficie obdarzała nimi Ewę.

- To chyba babci zawdzięczam pozytywny stosunek do świata, odporność na zmiany i przekonanie, że nie ma tak złej sytuacji, aby z niej nie można wyjść - powiedziała nagle **Ewka**, kończąc puentą tę część opowieści.

Następna, o którą zaraz poprosiliśmy, nie była wcale lepsza. Babcia bowiem zmarła, gdy mała ukończyła 14 lat. Odtąd tułała się z matką lub w czasie jej wyjazdu w Polskę mieszkała u ciotek. u których czuła się jak podrzutek, winien,

że jeszcze żyje. Dopiero gdy skończyła 18 lat, wróciła do mieszkania po babci, które do tej pory matka wynajmowała rozmaitym ludziom, aby mieć zaskórniaki do opłacania rachunków za **absztyfikantów**. Ewa już od trzeciej klasy zarabiała sama na życie: sprzątała, opiekowała się starszymi i dziećmi albo przez kilka godzin dziennie przemieniała się w ekspedientkę. Tak zasmakowała w handlu, że po maturze postanowiła studiować marketing. W tydzień po tym, jak przy pomocy rodziny uporała się z licencjatem, znowu spotkał ją cios: matka zginęła tragicznie na ulicy w Warszawie. Ponieważ nie miała przy sobie dokumentów, dopiero po miesiącu, właściwie przez przypadek rodzina dowiedziała się o jej śmierci, oglądając telewizyjny program o zaginionych i tragicznie zmarłych.

- Wtedy mama leżała już w grobie na warszawskim cmentarzu. Na szczęście udało się go odnaleźć. Teraz przynajmniej wiem, gdzie baluje. Ekshumacji nie zrobię, bo nie mam na to pieniędzy. Zresztą mamie tam chyba dobrze, bo zawsze tęskniła za wielkim miastem - Ewa zawiesiła głos, a wszyscy - włącznie z zasłuchaną **Zuzą**, bladziutką teściową i rozspanym na kanapie psem - czekali na dalszy ciąg opowieści.

- Dajcie już dziewczynie spokój, bo potem znów miała ostre przejścia z rodziną, która nagle **postanowiła** doprowadzić do podziału jej mieszkania w ramach rozliczeń za pomoc z lat wcześniejszych. Na szczęście sąd okazał się rozsądny i pozwy oddalił, a ja dałam jej pracę - swoim zwyczajem przerwała napięcie moja Beata.

Nie byłem jej wdzięczny, bo lubię, jak snute w towarzystwie opowieści o ludziach rozwijają się powoli. Wtedy narastają z dramatyzmem i zapełniają się szczegółami, które nadają im barwę i smak, a historia człowieka staje się niepowtarzalna. Jednocześnie lepiej niż co innego tworzy nowe więzy i po prostu zbliża ludzi. Już czułem, że Ewa będzie mi bliska.

- A czy mogłaby pani opisać bliżej te meble po babci, o których wspomniała pani w lokalu mojej współpracownicy? - zmieniłem temat.

- Jakiej współpracownicy? - zdenerwowała się Beata.

- No pani Walczakowej. Czyżbyś była zahipnotyzowana, gdy mnie odwiedziłyście? - odpowiedziałem z wyrzutem.

- Boguś, więc jednak zdecydowałaś się - ucieszyła się teściowa.

- Tak, mamo, zrobimy tę knajpę. A z tobą jako pierwszą zatańczę w dniu otwarcia.

- Trzymam cię za słowo - ucieszyła się teściowa.

- To znaczy, że odchodzisz ze szkoły? - nie wytrzymała nerwowo Beata.

- Nie. Na razie jestem tylko na tygodniowym zwolnieniu zdrowotnym.

- Oszust - zasyczała Beata.

- Raczej dobry aktor, kochanie. Poza tym pan doktor powiedział, że dla twojego dobra powinienem zażywać więcej ruchu - wyjaśniłem.

- Nie rozumiem? - zdziwiła się moja najlepsza z żon.

- Podobno im kogut chudszy, tym lepszy - powtórzyłem lekarską mądrość.

- Czyżby był pan pacjentem doktora **Boleckiego**? - wtrąciła śmiejąc się Ewa.

- A skąd pani wie?

- Wszyscy wiedzą, że on poza leczeniem zajmuje się bezpłatnymi poradami **seksuologicznymi**.

- Nie rozmawiajmy o tym starym erotomanie - znowu zdenerwowała się Beata.
- Ależ to bardzo interesujące - zaprotestowała **Zuza**.
- Dziecko, co ty mówisz? - oburzyła się teściowa.

I tym sposobem znaleźliśmy się w samym centrum międzypokoleniowego boju o szczerość. Już byłem przygotowany do obrony swojej pozycji, gdy nagle Ewa przypomniała sobie, że musi wyjść, bo czeka na nią koleżanka, która właśnie obchodzi czterdzieste urodziny i musi przed kimś wypłakać swoją chandrę, depresję i przekonanie, że wypaliła się wewnątrz.

My zaś pozostaliśmy w rodzinnym kręgu. Wiedziałem, że teraz się nie wywinę i wreszcie będę musiał wyjaśnić, co robię. Nie owijałem w bawełnę. Opowiedziałem im wszystko, włącznie z incydentem z koleżanką **Pilarczyk** podczas posiedzenia rady pedagogicznej.

- Niezły numer. Wcale ci się nie dziwię tato, że chcesz z tej okropnej budy uciekać - jako pierwsza oceniła sytuację **Zuza**.

No tak, można się było tego spodziewać. Młodość zawsze wypowiada się radykalnie. Moja najlepsza teściowa spojrzała mi tylko głęboko w oczy, westchnęła i mruknęła, że niektórym kobietom to już zupełnie palma odbija. Potem wstała i cichutko poszła do swojego łóżka, aby odpocząć i pozbierać myśli. Beata natomiast cały czas milczała. Wprowadzała mnie tym w zakłopotanie. Wziąłem się więc za zmywanie naczyń i zagłuszając strumieniem wody szalejące myśli i emocje, czekałem na wyrok.

- Idę się wykapać - przerwała ciszę Beata. - Muszę ochłonać, zanim porozmawiamy.

Kąpała się długo. W tym czasie zdążyłem do końca posprzątać, popatrzyłem przez okno na lokal po drugiej stronie i wyobraziłem sobie, jak będzie wyglądało jego otwarcie. Potem jeszcze palnąłem umoralniającą mówkę spóźnionemu Rafałowi i pościeliłem nasze małżeńskie łóżko. Już miałem zabrać się za oglądanie wieczornych wiadomości, gdy wreszcie otworzyły się drzwi łazienki i wyszła z niej Beata ze świeżą burgundzką czerwienią na głowie, okryta atłasowym szlafrokiem, który otulał jej odświeżoną kobiecość.

- No to idź, szybko umyj się i wracaj do mnie - powiedziała z zachęcającą nutką w głowie.

Nie musiała dwa razy powtarzać. Potem było bosko. W końcu wyluzowany i rozprężony mogłem już rozmawiać o wszystkich ostatnich wydarzeniach, poczynając od występu walniętej **Ewki Pilarczyk**.

- Ona ciebie oskarżyła o molestowanie seksualne? - nie mogła uwierzyć Beata.  
- Nawet nie wiem: płakać czy się cieszyć?

- Jak to cieszyć się? - zdziwiła mnie. - To jest szokujące. Żebyś widziała te spojrzenia. Gdyby nie one, to może poczekałbym jeszcze z knajpą.

- Nie jestem najszcześniejsza z tego powodu, ale teraz bardziej cię rozumiem. No to próbuj - zamruczała mi koło ucha. Ułożyła się wygodnie i zasnęła. Oddana i bezpieczna. Leżałem obok niej. Wsłuchiwałem się w równy rytm jej oddechu i walczyłem z wątpliwościami, które jak myszy zaczęły wychodzić z rozmaitych kątów w mózgu. Nie dałem się. Wbrew wewnętrznemu głosowi zacząłem planować, co zrobię rano.

Zbudził mnie okropny hałas od strony ulicy i promienie słońca, które rozświetlały całą sypialnię, wbijając się aż pod powieki. Dochodzące z zewnątrz przekleństwa i gderliwe polajanki w wykonaniu Walczakowej wyzwoliły we mnie ciekawość. Nie **myliłem** się. To mistrz **Kiepuszewski** ze swoją ekipą rozpoczął właśnie remont elewacji naszej knajpy. Nie zastanawiałem się. Po kilku minutach byłem już na dole.

- Moje uszanowanie, panie magistrze - zagaił mistrzunio - silny i postawny mężczyzna mimo zbliżającego się sześćdziesiątego krzyżyka.

- Będzie dobrze. Obskoczmy chałupkę, jak trzeba i już w czerwcu można będzie lokalik otwierać. Goloneczkę z piwkiem u pana się dostanie? A może tylko to amerykańskie gówno, co teraz na każdym kroku dają? - pytał z wyraźnym niepokojem. Uspokoilem go, że jadło będzie swojskie. Takie, które lubi.

- Kurczaczek w potrawce, golonka w piwku, kaczka z czerwoną kapustą, naleśniki z lodami albo pierogi z mięsem i zarumienionymi skwarkami. Oczywiście wszystko świeżo przyrządzone. Odpowiada panu taki jadłospis? - zapytałem.

- Na samą myśl ślinka cieknie - przyznał bez ogródek mistrz **Kiepuszewski**.

- No to pierwszy obiad na koszt firmy we dwoje z małżonką może mistrz już sobie rezerwować - włączyła się w środek rozmowy swoim zwyczajem Walczakowa, a za nią jak spod ziemi wyrosła kariatyda.

Tym razem w stroju roboczym. I do tego nie sama. Obok niej dreptało bowiem **chudzieńkie** i bardzo mizerne dziewczątko z krótkimi, rzadkimi i prawie przezroczystymi włosami wokół bladej i wychudzonej twarzy. Gdy dziewczyna podniosła oczy, zobaczyłem w nich strach i rezygnację. Tak widoczne w spojrzeniu tych, którzy przegrali w życiu wielokrotnie i nie mieli już siły, aby jeszcze walczyć o swoje miejsce na świecie.

- To **Justynka**, córka mojej kuzynki od strony mamy - szybko !wyjaśniła kariatyda. - Biedaczka od roku szuka pracy, więc postanowiłam, że ją panu przedstawię. Nie zaszkodzi, a może pomoże, bo przecież kelnerka będzie panu potrzebna? - urwała i z pewnym niepokojem spojrzała mi prosto w oczy.

Co miałem robić: nie wybuchnąłem, choć nie spodziewałem się, że tak szybko uda mi się prawie skompletować załogę.

- Dzień dobry, zobaczymy, co się da zrobić - uścisnąłem dłoń nastolatki i od razu poczułem tę całkowitą bezwolność charakterystyczną dla ludzi, którzy nie mają własnego zdania, a jedynie krążą wśród innych jak zagubione elektrony, nie pasujące do żadnego układu i związku. I właśnie chyba to wzbudziło we mnie sympatię do tego kruchego kurczątko.

Nie było jednak dane mi porozmawiać z kandydatką na pracownicę, gdyż w tej samej chwili przed lokalem Walczakowej z piskiem opon zatrzymał się **Jarus**. Nie był sam. Wysiadł i pomógł wysiąść !wysokiej, kształtnej, ale dobrze odżywionej blondynie z burzą włosów do połowy ramion.

- To jest **Agnes**, moją żona - przedstawił swoją pasażerkę. Wbrew pozorom **Agnes** nie była wcale taka wylewna i otwarta, jak można by się spodziewać po żonie **Jarusia**.

- Salut, pardon, chciałam powiedzieć cześć - prawie wyszeptała i spłoszyła,

niedużo przerażona ogólnym zainteresowaniem majstrów i pomocników murarskich, którzy dość obcesowo zaczęli się jej przyglądać.

- Moi kochani, no to wejdziemy do środka - przerwała niezręczne milczenie Walczakowa, która zdążyła już zapędzić moje pomocnice do sprzątnięcia przyszłych spizarek, gdzie leżał stos gromadzonych od lat gazet i rozmaitych papierzysk zupełnie nieprzydatnych dla urzędowych gryziopiórków. **Agnes** skinęła tylko głową i grzecznie podreptała za **Jarusiem**.

- To ma być knajpa. Ta wasza wymarzona oberża dla smakoszy polskiego jadła? - **Jaruś** otwarcie powątpiewał, otrzepując się z drzewnego kurzu, który od razu osiadł na jego świeżo wypranych **jeansach**.

- A czemu nie? Nie w takich warunkach ludzie w Polsce zaczynali linteres i dobrze na tym wychodzili - Walczakowa nie dała się zapędzić w kozie róg i natychmiast przystąpiła do kontraktacji.

- Właściwie to nawet już mamy bar - postanowiłem ją wspomóc. I prawie na jednym oddechu **opowiedziałem** o ofercie **Ewki**.

- Pan chyba w czepku urodzony, panie Bogdanie - klasnęła w ręce Walczakowa i rzuciła się do mnie, aby mnie wycalować. Na szczęście była zbyt niska, aby mogła się wbić w mój policzek. Skończyło się więc tylko na oklepaniu okolic mego serca.

- **C'est tres jolie** - uśmiechnęła się **Agnes**.

- Co, proszę? - nie zrozumiała Walczakowa. - Ciociu, **Agnes** mówi, że to bardzo ładne, co robicie - włączył się **Jaruś**.

- Tak, masz rację, kochana. Ja biorę się tylko za ładne sprawy, a z panem Bogdanem wyjdą nam jeszcze lepsze - rozmarzyła się, ale w tej samej chwili jej wywód przerwał huk i w górę uniosła się chmura sadzy, która wypełniła pomieszczenie, gdzie wraz ze swoją krewną porządkowała kariatyda. Po chwili opadła, a zza niej ukazała się blada i prawie przezroczysta Justyna, która wyglądała jak po gwałtownym ataku ospy. Speszona skryła się za ciotkę. Ta ostatnia tylko wzdrygnęła ramionami i zabrała się do dalszej pracy.

- Rzeczywiście pracy jest tu jeszcze dużo, ale perspektywy są ładne. Dlatego razem z **Agnes** postanowiliśmy, że wam pomożemy. Ciociu, sfinansuję malowanie tego obiektu. To będzie wkład Zachodu w pomoc dla Polski - powiedział nagle bardzo poważnym tonem **Jaruś**, ale **ogniki** szelmowskiego dowcipu, które tryskały z jego oczu wzbudziły w Walczakowej niepewność.

- Żartujesz, łobuzie jeden? - spytała niepewnie.

- Nie, nie żartuję, droga ciociu. Długo jeszcze będę twoim dłużnikiem - krzyknął, porwał ją w ramiona i obrócił wokół siebie. - Starczy, puść. Nie można już wywijać tak starym człowiekiem - broniła się, choć twarz tryskała jej radością.

- Jarek, to jednak będzie trochę kosztowało? - postanowiłem zainterweniować, zanim zupełnie stracę wpływ na bieg wypadków.

- Owszem, zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie obawiaj się, to nie będzie mój wkład do spółki, bo dobrze wiem, że im więcej współników, tym gorzej się pracuje. Mam jednak pomysł, jak będziecie mogli się nam odwdziaczyć - **Jaruś** spoważniał, przytulił do siebie **Agnes** i mówił już tonem zdecydowanego co do **kierunku** działania biznesmena. Plan był prosty: **Jaruś** już upatrzył sobie ośrodek wypoczynkowy nad naszym jeziorem, który właśnie wydzierżawia. Latem chce

tam sprowadzać francuskie dzieci na tanie kolonie w Polsce. Po sezonie zamierza natomiast organizować zielone szkoły dla dzieciaków ze Śląska.

- A to całe bractwo trzeba oczywiście wykarmić. Ma być smacznie, zdrowo i oczywiście jak najtaniej, abyśmy do interesu nie dokładali. I w tej ostatniej kwestii liczę na waszą pomoc. Po prostu liczę na upusty i atrakcyjne ceny, w których jakoś sobie odbiję wkład w rozwój waszej przedsiębiorczości - znowu się śmiał i namiętnie przytulał do **Agnes**, która nieudolnie i z lekkim zażenowaniem broniła się przed tym demonstracyjnym obnoszeniem małżeńskich uczuć.

Ja tymczasem odetchnąłem, bo **Jaruś** jest nieobliczalny i rozmaite pomysły mogły się narodzić w tej szalonej głowie. - Nie ma sprawy. Na pewno się dogadamy, a za pomoc dziękujemy. Teraz naprawdę się nam przyda - uściskałem olbrzymią dłoń **Jarusia**, a Walczakowa znaczącym i przyzwalającym **skinieniem** głowy zaakceptowała cały ten układ.

Już mieliśmy pójść do Walczakowej, aby go spoić czymś mocniejszym, gdy rozdzwoniła się komórka. To **Zuza** rozdygotanym głosem wzywała mnie do domu, bo babcia krwawi i dostała wysokiej gorączki.

- To leć, Boguś, leć. Zaraz tam przyjdę, bo **Mireczka** wymaga lteraz największego zainteresowania - Walczakowa ani przez moment mnie nie zatrzymywała, gdy tylko drżącym głosem powiedziałem, co się stało.

XXVII

Następne dni były ciężkie. Stan teściowej był zły.

- Po prostu zbyt szybko wypisano ją z kliniki. Wszyscy teraz ograniczają koszty, ale nie można przesadzać. Zrobimy, co się da, ale trzeba się liczyć z powikłaniami - powiedział nam na powitanie ordynator oddziału chirurgicznego, gdy tylko obejrzał najlepszą z teściowych po jej przywiezieniu przez pogotowie do naszego zapyziałego powiatowego szpitala, dość powszechnie !nazywanego rzeźnią ze względu na wysoką sprawność miejscowych chirurgów w rozwiązywaniu większości problemów zdrowotnych pacjentów. Szczeka mi opadła. Beata wpadła prawie w histerię, **Zuza** cały czas płakała, a Walczakowa od razu zaczęła szukać prywatnych dojsć do pielęgniarek, aby zapewnić **Mireczce** jak najlepszą opiekę. Znalazła ją bardzo szybko. Postawna siostra oddziałowa z serdecznym, choć zdecydowanym stosunkiem do pacjentów sama zaoferowała swoją pomoc. Mimo to i tak na zmianę **spędziliśmy** przy teściowej trzy dni, zanim nie wyszła z gorączki i sennych majaków, które nas przerażały. Czwartego dnia jednak gorączka spadła, a teściowa zażądała rosołu i ryżowej potrawy z groszkiem i **marchewką**.

- Podsmażę mamie także pierś z kurczęcia i zrobię najlepszy słodko-kwaśny sos na śmietanie i cytrynie - obiecałem, kiedy tylko znowu spojrzała na mnie przytomnie.

- Dziękuję, ale nie zaniedbuj remontu restauracji - powiedziała tym swoim prawie bezdźwięcznym głosem. Uśmiechnęliśmy się do siebie i pobiegłem do kuchni, aby wypełnić zobowiązanie. !Gotowanie szło mi wyjątkowo dobrze, a w przerwach między jednym !a drugim spojrzeniem na garnki lustrowałem przez okno roboty, które trwały po drugiej stronie ulicy. Zaniedbany budynek w błyskawicznym tempie zmieniał wygląd. Na !miejscu rozpadających się schodów już powstał zgrabny ganek, prowadzący do drzwi wejściowych. Ocieplający

fasadę styropian murarze zdążyli przez parę dni przykryć tynkiem, a teraz montowali na nim dekoracyjne sztukaterie, które miały mu dodać uroku i architektonicznego powabu. Z kolei moje pomocnice napełniały stojący obok kontener stosami papierów i gruzem odpadającym ze starych tynków. Kariatyda wyglądała przy tym niezwykle pociągająco, a gdy się prostowała przypominała silne i tajemnicze kobiety z obrazów Jacka Malczewskiego. Nie miałem jednak czasu, aby delectować się tym widokiem, przecież tak pociągającym dla oka mężczyzny w pełni sił.

Znowu pobiegłem do szpitala. Nakarmiłem chorą, ucieszyłem się jej apetytem i wnet wylądowałem na budowie, choć przedtem musiałem krążyć podwórzowymi zakamarkami, bo akurat w tym samym czasie **Ewcia Pilarczyk** szła na kółko historyczne do naszej budy.

Właściwie miałbym ochotę jej wlać, ale w środku dnia było to niewykonalne, a poza tym bałem się kolejnego donosu do Emilii. W końcu byłem na lewym zwolnieniu. W karczmie robota szła całą parą, bo reszta pomocników **Kiepuszewskiego** już uzupełniała gipsem tynki i kryła gładzią sufity.

- Może tu zrobimy kominek. Zimą zimne piwo przy ogniu byłoby bardzo sympatyczne. Pani Eugenii ten pomysł bardzo się podoba - mistrz **Kiepuszewski** z browarem w ręce zamilkł i spojrzał na mnie z wyczekiwaniem, oparty o szczytową ścianę głównej sali.

- Tak, to dobry pomysł, bo akurat w tym miejscu znajduje się !komin. Przy okazji zamontujemy wkład kominkowy z rozprowadzeniem na dwie boczne sale i będziemy mieli tanie grzanie - odpowiedziałem bez większego namysłu, bo już w nocy postanowiłem, że na ten cel wydam trzy tysiące złotych, które zarobiłem przed rokiem za dodatkowe lekcje w liceum dla pracujących. Co prawda wcześniej myślałem, że z Beatą pojedziemy za nie na tydzień na Kretę, aby wreszcie mogła się poczuć kobietą luksusową, ale jednak doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zainwestuję w przyszłość.

- Pięknie, panie magistrze. Pomysł jest dobry, ale tu zaczynają się schody. Musi pan zdobyć pozwolenie kominiarza i wreszcie zarejestrować firmę, bo dobrze byłoby gromadzić rachunki. Jak nie będzie pan miał kosztów, to podatki pana zjedzą. Radzę o tym wszystkim pomyśleć. Tak z dobroci serca i sympatii dla pani Eugenii mówię to panu - mistrz **Kiepuszewski** pociągnął jeszcze łyk browaru i już miał ruszyć do swoich chłopaków, ale zatrzymał się i poprosił, abym szybko działał, bo tu trzeba z dnia na !dzień podejmować decyzje. - **Biznesik** nie znosi czekania - dodał nieco protekcjonalnie.

Jeszcze tego samego dnia pani Ada przy herbacie z miodem i kakaowymi herbatnikami wyjaśniła mi i pani Eugenii wszystkie prawne zawłości dotyczące utworzenia spółki i zadeklarowała, że może jako księgowa obsługiwać naszą karczmę.

- Przez trzy miesiące zrobię to za darmo. To taki prezent od !firmy. Zresztą zaprzyjaźniony bank, gdzie powinniście założyć !konto też przez kwartał nie będzie pobierał opłat. Jutro trzeba !iść do urzędu i załatwić wszelkie formalności w ZUS-**ie** oraz **skarbowce** - zarządziła. Oczywiście wszystkie te obowiązki spadły na mnie, choć do ratusza poszliśmy z panią Eugenią razem. Wbrew wszelkim ostrzeżeniom Beaty formalności załatwiliśmy od ręki.



Kiedy na korytarzu przed drzwiami burmistrza czekaliśmy na wydanie potwierdzenia wpisu do ewidencji firm, z gabinetu wytoczył się Babiński. Był cały w skowronkach i radosnych uniesieniach.

- No, cieszę się, bardzo się cieszę. To takie, że tak powiem, ożywcze, gdy ktoś z naszych mieszkańców decyduje się wziąć sprawy w swoje ręce. Takich decyzji trzeba nam więcej, a ja w miarę możliwości będę z całej siły pomagał. A teraz całuję rączki, pani Eugenio i gratuluję współnika - słowa łąły się w typowym dla niego słowotoku, a jego pulchne usta siarczyście cmokały nieco już zwiędłą dłoń mojej współpracownicy, która bez mrugnięcia okiem przybrała oficjalny ton i pozwoliła się adorować władzy.

- Trzymam za słowo, panie burmistrzu, bo razem z panem **Bogusiem** będziemy chcieli zatrudnić pracowników - od razu przeszła do rzeczy.

- Ma się rozumieć. Nowym przedsiębiorcom, którzy zatrudnią lbezrobotnych, oferujemy zwolnienia z podatku od nieruchomości przez najbliższe dwa lata. To spora ulga - zachwalał swoje możliwości.

A pani Eugenia natychmiast zaprosiła go na otwarcie naszego lokalu. Babiński krygował się, że to niepotrzebne, ale wyraźnie był zadowolony, że będzie mógł wobec wyborców odtrąbić kolejny przejaw rozwoju miasta pod jego światłymi rządami.

- I jeszcze jedno: czy moglibyśmy liczyć na szybkie wydanie pozwolenia w sprawie drobnych przeróbek w lokalu, bo jednak nowa funkcja wymaga modernizacji i zmian? - dodałem wykorzystując sprzyjający nastrój władzy.

- Ma się rozumieć, ale to już trzeba załatwić z moimi !urzędnikami. Wydam odpowiednie dyspozycje. Będziemy działać szybko - zapewnił prawie w biegu, bo sekretarka wzywała go już do gabinetu, gdzie od kilku minut grał się **niecierpiący** zwłoki telefon od wojewody.

Ledwie zniknął za drzwiami biura twarz pani Eugenii zmieniła rysy. Wróciło do normalności także w języku.

- Kto by pomyślał, że ten łajdak, który dręczył mnie inspekcją !robotniczo-chłopską, teraz będzie się do mnie przymilał i po rękach mnie całował - mówiła z pewnym obrzydzeniem chyba także dla siebie, bo mimo wszystko weszła w sztuczną rolę i grała przed nim prawie tak samo jak wówczas, kiedy walczyła o byt, łudząc despotę. A jednak nie wróciła pamięcią do przeszłości i nie zatruwała mi przedpołudnia **kombatanckimi wspomnieniami**, co ostatnio bardzo chętnie robiło wielu, zwłaszcza ci, którzy cierpieli niewiele, a chcieli uchodzić za ofiary komunistycznego systemu. Pani Eugenia ofiarą się nie czuła. Przeciwnie, dopiero teraz zdawała się rozwijać skrzydła i swoim optymizmem zarażała także mnie.

## XXVIII

- Panie profesorze, w czasie przerwy jest pan proszony do dyrekcji - powiedziała Zosia, nasza szkolna sekretarka, zaledwie na moment wsuwając przez drzwi głowę do klasy, gdzie akurat z II !analizowałem problem krytyki różnego typu **idealizmów** w "Lalce". Nawet nie zdążyłem zareagować, gdy już jej nie było.

- Dyrekcja wzywa na dywanik? - podchwyciła od razu wątek Jagoda **Korotki**.

- Jeśli nawet, to nie twoja sprawa - uciałem natychmiast jej zapędy do

wchodzenia z butami w moje prywatne życie. Wywinęła oczami, spojrzała w sufit i zabrała się za malowanie esów i floresów na marginesie zeszytu. Miałem ochotę ją zbesztać, ale się powstrzymałem i z cierpliwością słuchałem jak Kamila **Głodkówna** z mozołem udowadnia, że **Wokulski** był idealistą.

- Jednego jestem pewna: dzisiaj już takich mężczyzn nie ma. Po prostu wyginęli. Teraz liczy się tylko skóra, fura i **komóra** - zakończyła nagle swoje wywody.

- To nieprawda, **Kamilko**. Jestem pewna, że idealisci nadal listnieją. Pan profesor jest na pewno takim człowiekiem - odezwała się znowu Jagoda, bezczelnie patrząc w moją stronę. Wyraźnie czekała na moją reakcję, ale postanowiłem ją zbyć i udawać, że niczego nie zauważyłem.

- No właśnie. Temat, który postanowiłem wam zadać jako kolejną próbę pisemnej wypowiedzi, sam wypląnął. Bądźcie więc uprzejmie moje panny i spróbujcie wyjaśnić mi na piśmie swoje zdanie na temat, czy idealisci są wśród nas - mówiłem spokojnie, jednocześnie śledząc zachowanie Jagody, która właśnie demonstracyjnie pakowała się. Nagły dźwięk dzwonka przerwał tę nieco nabrzmiałą sytuację, więc machnąłem ręką i pełen niepokoju pobiegłem do gabinetu Emilii.

Niepokój był w pełni uzasadniony. Emilia w swojej garsonce w kolorze zgniłej zieleni nie uśmiechnęła się na mój widok. Przeciwnie, jej zwinięte w pięść dłonie, które rzuciły mi się w oczy, gdy tylko się przywitałem, wróżyły ukrytą złość. Nie myliłem się.

- Boguś, ja tu walczę o twoją dobrą opinię, a ty robisz mi taki numer - zaczęła z grubej rury, wprawiając mnie w drżenie i wewnętrzne zagubienie, bo do końca nie wiedziałem, o co jej rzeczywiście chodzi: o lewe zwolnienie, kolejną opowieść **Ewci** czy może o rodzącą się w trudzie restaurację?

- Spójrz mi w oczy i powiedz **szczerze**, jak na spowiedzi, czy to prawda, że odchodzisz ze szkoły? - spytała wprost, a jej oczy i napuszony biust prawie przygniatały mnie siłą swego rażenia.

- Właściwie to jeszcze nie wiem - odpowiedziałem spokojnie i prawie zgodnie z prawdą, bo dotychczas jedynie w nocnych !marzeniach i majakach przyznawałam się przed **sobą**, że chcę całkowicie zerwać z obecnym życiem.

- Nie kręć - rozłościła się Emilia. - Zawsze ci ufałam i dbałam, żeby było ci tu dobrze, a ty uciekasz. Jak możesz? Chcesz mnie zostawić zupełnie samą wśród tych piekielnic, które bez przerwy są niezadowolone i coś intrygują - rozmazała się i bez siły zawisła przy biurku. Wyglądała tak, jakby właśnie opuścił ją jedyny mężczyzna jej życia.

Wpadłem w panikę. Po prostu nie wiedziałem, co robić.

- Nie kręć. Mówię prawdę i tylko prawdę. Rzeczywiście razem ze !współniczką przygotowuję się do prowadzenia małej karczmy, ale jeszcze nie wiem, czy to będzie oznaczało rezygnację z pracy w !szkole. Lubię to zajęcie i chyba brakowałoby mi kontaktu z młodzieżą. Sama wiesz, że to wciąga, ale z drugiej strony - starałem się zachować spokój i mówiłem bardzo spokojnie.

- Nie możesz już wytrzymać **stosunczków** z gronem - podsunęła mi myśl. Przez sekundę byłem gotów dać się wpuścić w ten kanał, ale na szczęście ręka boska chyba nade mną czuwała, bo krwawe uderzenie już zmieniało twarz Emilii,

która szykowała się do ataku.

- Nie, to nie tak. Po prostu przestraszyłem się bezrobocia. W końcu mam rodzinę. Dzieci rosną, niedługo trzeba będzie wyłożyć znacznie więcej na ich utrzymanie i wykształcenie. Sama rozumiesz? - wywinąłem się męską odpowiedzialnością, zwykle dobrze odbieraną przez kobiety.

Emilia też do nich należała, tym bardziej że od trzech lat samodzielnie wychowywała córkę, która pozostała cielesnym dowodem, że nasza olbrzymka też miała życie erotyczne. Jej były mąż chyba jednak już miał dosyć ciągłych zawodów sumo w sypialni, bo teraz paraduje po mieście z chudą jak szczapa i z dziesięć lat młodszą następczynią **Emilki**.

- Ach tak. To nawet potrafię zrozumieć, ale **jednak** wyglądałoby to lepiej, gdybyś powiadomił mnie oficjalnie o swoich zamiarach, bo w końcu muszę już układać plan godzin na **przyszły** rok szkolny i !powinno wiedzieć, czy rezerwować dla ciebie etat, czy też rozdzielać godziny między pozostałych polonistów. Wiesz, że nie pogardzą - nieco uspokojona zawiesiła głos i czekała na deklarację z mojej strony, prezentując swój obwisły podbródek. - Proszę cię o kilka dni do zastanowienia. To **jest** ważny krok, a ja nie chcę żałować - zacząłem żebrać o odsunięcie w czasie !wyroku. I chyba trafiłem z tonem, bo Emilia dała mi tydzień na podjęcie ostatecznej decyzji i bez dalszych nacisków wypuściła ze swego gabinetu. Może nawet trochę za szybko to zrobiła, bo poczułem się tak, jakby postawiła na mnie krzyżyk. Zabolalo, ale wyszedłem od niej z godnością na twarzy i bez poczucia wewnętrznej przegranej.

Mimo to uśmiech, którym obdarzyłem w sekretariacie panią Zosię, parzącą sobie herbatę, do zbyt naturalnych nie należał.

- Panie, Bogdanie?

- Tak, słucham.

- A, nic. To odezwałam się do swoich roztargnionych myśli. Nic ważnego - przerwała rozmowę, zanim ją zaczęła.

Byłem pewien, że chce mnie spytać, czy odchodzę ze szkoły, bo pewnie w mieście wszyscy już o tym mówią. Ale nie ułatwiłem jej rozmowy i nie zaspokoilem ciekawości. Zresztą sam najpierw jeszcze musiałem porozmawiać ze sobą.

## XXIX

Zaledwie opuściłem mury szkoły, znowu rozdzwoniła się komórka. - Dyrektor **Majewski** chciałby z panem porozmawiać - usłyszałem słodki głos sekretarki kolegi **Majewskiego**, wielkiego szefa Centrum Kształcenia Ustawicznego, który tym sposobem przypomniał mi o kursie **gospodnika** i jego korupcyjnych propozycjach.

- Masz czas?

- Dla ciebie zawsze - odpowiedziałem jak lizus i w zaraz tego pożałowałem, bo nie chciałem, aby uważał, że bardzo mi zależy na jego wsparciu.

- Nie żartuj. Początkujący biznesmeni nigdy nie ma czasu. Chyba że twój cichy wspólnik wszystko za ciebie załatwia. No dobrze, zaraz o tym pogadamy. Czekam - powiedział i wyłączył się.

Byłem zły. Nie sądziłem, że z szumu informacyjnego, który obiega miasto,

wyłoni się taki obraz mojej współpracy z **Jarusiem**. Inna rzecz, że rzadko mamy wpływ na to, co myślą o nas inni ludzie. Oni zwykle przecież uważają, że ich ziomkowie w życiu kierują się tymi samymi regułami, co ci, którzy nas oceniają.

- Żartujesz? Mam to wziąć i po sprawie? - nie mogłem uwierzyć, że w gabinecie **Majewskiego** przede mną leży świadectwo ukończenia kursu **gospodnika**, na którym nie pojawiłem się ani razu.

- Nie martw się. Wszystko jest zalegalizowane. Po prostu była akurat okazja, to ci załatwiłem. Przyda się? - spytał nieco poirytowanym tonem Janusz, spoglądając na mnie wyczekująco zza okularów w delikatnej, pozłacanej oprawie.

- Co za to chcesz? - wyrwało mi się, choć nie byłem pewien, czy to stosowne pytanie.

- E, nic wielkiego. Chciałbym tylko zarezerwować w twojej knajpie miejsce na przyjęcie komunijne mojej córki. Za rok, 5 maja. Może być? - za pytał jakby od niechcenia, zrzucając niewidoczny pył z nogawek swojego modnego garnituru.

- Nie wiem, czy do tego momentu przetrwam.

- Nie żartuj. Przecież masz wspólnika, który inwestuje z rozmachem i dysponuje gotówką - znowu spojrzał na mnie badawczo.

- To nie jest mój wspólnik. Tylko kolega, który trochę wspomaga firmę.

- Nie musisz się tłumaczyć. O nic nie pytam. Może raczej wypijmy na szczęście.

- Nie ma sprawy.

I wypiliśmy. choć czułem się podle. Jeszcze właściwie nie wszedłem na nową drogę życia, a już zacząłem deptać po grząskim gruncie. Jakby nie było, **Majewski** miał teraz na mnie haka.

- Z drugiej jednak strony - pomyślałem - on sam na siebie nigdzie nie doniesie. Postanowiłem więc, że lewe świadectwo schowam głęboko i wyciągnę je dopiero wtedy, gdy się okaże naprawdę niezbędne.

- Ono mogłoby zwrócić uwagę tylko wtedy, gdybym przy jego pomocy chciał się zahaczyć do pracy w jakiejś instytucji. A w moim własnym interesie, kto to będzie sprawdzał - usprawiedliwiłem się, a wyrzuty sumienia malały w miarę, jak oddalałem się od gabinetu **Majewskiego**, który przez kilka chwil przypatrywał mi się przez dyrektorskie okno. Choć to spojrzenie czułem na plecach, udawałem, że nic się nie stało i z pozorowanym zainteresowaniem przyglądałem się alei kasztanowców, które właśnie pokryły się w pełni dojrzałym kwieciami.

- A więc mamy już czas matury. Gdybym nie zapragnął zostać restauratorem, żyłbym sobie beztrąsko i martwił się najwyższymi stopniami uczniów - pomyślałem, ale od razu odrzuciłem tę falę myśli, za którą kryło się morze wątpliwości. W tym samym momencie w cichą uliczkę otoczoną kasztanowcami wdarł się ryk motocykla. Ktoś pędził na nim na złamanie karku. Przemknął obok mnie tak szybko, że nawet nie zdążyłem mu się przyjrzeć. - Co za zwariowany chłopak. Źle skończy - wymamrotałem pod nosem i znowu zacząłem przyglądać się kasztanowcom. Rozczuliły mnie, bo przypominały, jak z Beata wędrowaliśmy między z nimi tuż przed maturą, zawzięcie dyskutując o sztukach **Mrożka**.

- Jakie to były piękne i naiwne czasy - rozmarzyłem się. Ale jakoś nie miałem szans na wspomnieniowy odjazd, bo akurat przede mną zatrzymał się

pamiętający chyba jeszcze schyłek komuny polonez naszej policji.

- Czy nie jechał tu czasem jakiś motocyklista? - zapytał grubawy policjant.

- No tak. Przed chwilą. Pędził jak po śmierć.

- Rozpoznałby go pan?

- Nie. To był jakiś młody chłopak.

- **Haraczownik**. Właśnie próbował wydusić jakąś forszę za ochronę w tym nowym lokalu, który remontuje Walczakowa, ta stara baba z targowiska, co przetrwa każdy ustrój. Jeszcze kobieta nie miała klienta, a tu taki numer. Żegnam - powiedział flegmatycznie, a samochód aż zaskowyczał, gdy próbował zmusić go do pościgu. Wyraźnie nie miał na to ochoty, ale jednak mimo ociągania wreszcie się rozpędził i zniknął na końcu ulicy. Stałem oniemiały, bo o **haraczownikach** do tej pory słyszałem w telewizji, ale żeby coś takiego miało miejsce w naszym mieście. Na dodatek w knajpie, której mam być współwłaścicielem - to był szok. Nie zastanawiałem się. Mimo zadyszki pobiegłem ile sił w nogach do lokalu.

A tam czarna rozpacz. Kariatyda wachlowała gazetą swoją pomocnicę.

- No, czegoś takiego jeszcze nie przeżyłam. Przyszedł taki wszarz i z łapami rzuca się na niewinną dziewczynę, jakby była jakimś milionerem. Czy takie chuchro może mieć pieniądze? - mówiła, próbując usadzić Justynę na stołku obok kupki brudu po malowaniu. Ta jednak ciągle była bezwładna. Wziąłem ją więc na ramię i w otoczeniu murarzy wyniosłem na zewnątrz, aby chwyciła świeżego powietrza.

- Jezus Maria, co się stało? - usłyszałem przerażony głos Walczakowej. Może powietrze zrobiło swoje, a może odczuła ogólne zdenerwowanie, w każdym razie Justyna natychmiast wróciła do żywych.

- Bardzo przepraszam, że narobiłam tyle kłopotu, ale po prostu przeraziłam się, że będzie chciał mnie zabić - prawie wyszeptła, zaledwie zrobiła porządek ze swoją wytartą spódniczką.

- Czy ty w ogóle dzisiaj jadłaś dziewczyno? - zapytałem, patrząc na jej bledsze niż zwykle usta.

- Jaka ja jestem głupia, panie Bogdanie, przecież rzeczywiście ona wygląda jak śmierć - wtrąciła się od razu do rozmowy Walczakowa i zaciągnęła naszą pomocnicę do swojego mieszkania na podwieczorek. W samą porę, bo do mojej komórki już dobijała się Beata.

- Żyjesz? Podobno napadli cię bandyci. Wiedziałam, że tak to się skończy. Mama umrze, a ciebie zabiją - trajkotała, pociągając płaczliwie nosem. Śmiać mi się chciało, ale powstrzymałem się, bo gdy kobieta przeżywa stres, lepiej jej nie mówić, że ma się uspokoić.

- Nie, nie zginąłem. Nikt nie zginął. Dementuję wszelkie plotki, że ktokolwiek strzelał. Tylko Justyna, ta nowa pomocnica na chwilę zemdląca, bo pomyślała, że młody drań wziął ją za milionerkę - referowałem obecną sytuację najspokojniej, jak mogłem.

- Naprawdę. Przysięgasz? Już wysłałam do ciebie Ewę, aby ci pomogła - kontynuowała, choć mniej tragicznie Beata.

- Niby jak?

- Duchowo. Przecież pistoletu ze sobą nie wozi - przytomnie odpowiedziała

Beata.

- Mam nadzieję, że mamy w to wszystko nie włączyłaś?

- Nie, o tym nie pomyślałam, ale zadzwoniłam do Jarka i Ewy. Zaraz powinni tam być.

- Boże, kobieto, po co to całe zamieszanie?

- Z miłości, kochany. Nie przeżyłabym, gdybym cię straciła.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Tak. A teraz wróć do pracy i bądź spokojna, bo ja tu muszę wszystko ogarnąć.

Nic nie ogarnąłem, bo już do mnie biegła ukochana córeczka. Cała we łzach i czerwieniach, nie wspominając o rozkołysanym biuście, który hulał na wolności pod surrealistycznym sweterkiem i rozpiętym kożuszkim mojej najpiękniejszej latorośli.

- Tatusiu, na szczęście nic ci się nie stało?

- Jak widzisz: żyję i mam się dobrze.

- Wiedziałam, że mama przesadza, ale przynajmniej ominęła mnie kartkówka z matematyki.

- Ty mała **cwaniaro**, aby uniknąć sprawdzianu, byłabyś zdolna pogodzić się z tym, że ktoś mnie postrzelił?

- Jak możesz? Nawet przez myśl mi to nie przeszło - szeptała, przytulając się do mnie.

Tak mnie rozczuliła, że byłem gotów wybaczyć jej wszystko, ale nie miałem czasu na czułości, bo właśnie obok parkował **Jaruś**, a za rogiem pojawił się samochód **Ewki**.

- Witaj w klubie, we Francji już co najmniej kilka razy próbowano wyciągnąć ode mnie haracz. Dlatego między innymi przeniosłem się do Polski, ale widzę, że tu wcale nie jest lepiej - mówił **Jaruś**, przypatrując się Zuzi.

- Nie ma o czym mówić - próbowałem bagatelizować całe wydarzenie.

- Ależ jest, tatusiu. Przecież mogą ci zrobić krzywdę. Może lepiej wycofaj się ze wszystkiego - wtrąciła się **Zuza**, wpatrując się z nadzieją we mnie.

- To byłby największy błąd, jaki mógłby pan zrobić - usłyszałem za sobą głos Ewy, która przedzierała się przez worki z cementem.

- Ma pani rację. Wyczuwam dużo rozsądku w tej pięknej głowie - **Jaruś** zaraz zaczął samcze tańce.

- Pozwólcie, że was przedstawię. Współpracownica mojej żony i mój powracający z emigracji kolega, zresztą w pewnym stopniu sponsor tego całego przedsięwzięcia - starałem się zachować jak najwięcej oglądy i dystansu, aby poufałość **Jarusia** nie zaszła za daleko.

Ewa jednak szybko wyrwała się z jego sideł i sprytnie wróciła do kwestii bufetu jej babci, który mógłby zdobić nasz lokal. Przeszliśmy więc do środka byłego biura. Z wnętrza już wyparowała urzędnicza woń. Za to ściany i część podłóg pachniały świeżą farbą.

- Tu nawet będzie kominek - rozczuliła się Ewa, kiedy na szczytowej ścianie zobaczyła kamienną konstrukcję okalającą wkład kominkowy.

- To z myślą o takich pięknych dziewczynach, aby przy szalejących

plomieniach mogły słuchać wyznań zakochanych mężczyzn - wtrącił się mistrz **Kiepuszewski**, z zadowoleniem lustrujący wrażenia, jakie budzi efekt jego pracy.

- Z chęcią się z panią umówię na takie czułe pogaduszki - zaproponował natychmiast Jareczek.

- Z żonatymi się nie umawiam - odparowała Ewa, wskazując na jego lśniąca w słońcu obrączkę.

- O, jaka spostrzegawcza. Ma pani rację. Miłość małżeńska ponad wszystko - ironizował, ale spuścił z tonu. Ewa natomiast zaczęła się domagać, abym natychmiast przewiózł do naszego lokalu meble jej babci.

- One naprawdę nadadzą styl temu wnętrzu. Niech mi pan wierzy - przekonywała.

Uwierzyłem. Jeszcze tego samego dnia piękny, pachnący historią mebel przemienił się z aptecznego kontuaru w restauracyjny bufet.

- No to nadszedł czas na piwko. Zimne, z pianką i sympatyczną **kelnereczką**, która umili człowiekowi życie i pozwoli wspominać czasy młodości - rozmarzył się mistrz **Kiepuszewski**, gdy bar stanął już na miejscu.

Rzeczywiście pasował. Nadawał temu pachnącemu świeżością miejscu znamię mieszczańskiej solidności. Od razu powiało tradycją, choć ja z nią nie miałem zbyt wiele wspólnego. Stałem jednak w środku sali i zachwyciałem się, mimo że właściwie dopiero zaczynałem urzeczywistniać marzenia.

- A za co kupimy stoliki, krzesła, naczynia, zastawę i meble do kuchni? - pomyślałem, kiedy po chwili wróciłem do siebie z rozwiniętej w wyobraźni wizji pełnej gości sali, która tętni życiem i podnosi na duchu, bo wokół widać tylko twarze szczęśliwych ludzi.

A jednak człowiek ma więcej szczęścia niż rozumu. Walczakowa i ja chyba także mieliśmy. Przekonałem się o tym następnego dnia.

- Panie Bogusiu, niech pan do mnie na chwilę zajdzie - krzychała przez okna moja współpracownica, gdy rano wracałem ze sklepu na rogu ze świeżymi bułkami.

- Mam dla pana ważną wiadomość- powiedziała.

Rzeczywiście była to bardzo ważna informacja. Otóż znajoma Walczakowej, a właściwie jej dawna koleżanka ze szkoły zadzwoniła do niej z prośbą, czy w naszej knajpie nie przechowałibyśmy naczyń, garnków, obrusów oraz kilku stolików z krzesłami w komplecie.

- Ona jest szefową koła gospodyń wiejskich, a wójt tak im podniósł czynsz, że jej kobiet nie stać już na utrzymanie lokalu, w którym koło przechowywało cały swój materialny dorobek. Niedawno jednak usłyszała o naszym przedsięwzięciu, więc pomyślała, że za pewną roczną kwotę powierzyłaby nam ten majątek - relacjonowała Walczakowa.

- To prawie cud, bo właśnie wczoraj zdałem sobie sprawę, że przecież nie mamy pieniędzy na zakup tego wszystkiego - przyznałem szczerze.

- Też byłam tym zmartwiona, ale Bóg chyba nam sprzyja - uśmiechnęła się ciepło.

- A jak wysoka jest ta suma, której oczekuje pani koleżanka? - dopytywałem, bo tu właśnie spodziewałem się podstępów.

- Właściwie to nie wiem, ale z Marysią na pewno się dogadamy. Ta kobieta wiele przeszła. Teraz po śmierci męża gospodarzy tylko z trzema dorastającymi

córkami i dość dobrze sobie radzi. Skóry z nas nie zedrze - zapewniała Walczakowa.

- A poza tym - jak pamiętam ze szkoły - lubi dobre towarzystwo i tańce, więc gdy ją ugościmy, to nie będzie stawiała zbyt twardych warunków.

Wierzyłem doświadczeniu Walczakowej, która w końcu radziła sobie już w drugim ustroju, więc nie przedłużałem tej dyskusji i w pełni zgodziłem się na jej propozycję.

- Po południu te wszystkie rzeczy pojawią się już u nas - zdradziła, gdy tylko zauważyła moją akceptację.

- To pani właściwie już wszystko z nią uzgodniła? - zdziwiłem się.

- Przecież nie mogłam stracić takiej okazji, panie Bogdanie. To było jak wygrana w totolotka, a może i lepiej, bo nigdy nie należy rezygnować z ludzkiej dobroci - dodała tonem życiowego mędrca. - A teraz niech pan pędzi do domu i zrobi **Mireczce** i żonie śniadanie. A jak Mirka się czuje?

- Dobrze. Wczoraj nawet nie narzekała na ból. Może jakoś dojdzie do siebie. No to do popołudnia, a pani dziękuję. Jest pani skarbem, współniczko - wyrwało mi się, co w duszy grało.

- Oj, figlarz z pana - uśmiechnęła się Walczakowa i zamknęła okno, a ja - pełen wewnętrznego uniesienia - pobiegłem do domu, aby przygotować mojej zaspanej rodzinie świeże śniadanko.

XXX

- Komu jajecznicę?

- Mnie, ale bez cebuli i skwarek. Najlepiej na maśle z dwóch jaj, średnio wysmażoną - Rafał jako pierwszy, zresztą jak zwykle, odpowiedział na moje wezwanie do spotkania w rodzinnym kręgu.

- Mamie zrób z jednego jajka, a ja chcę jajko na twardo - zaordynowała Beata. Tylko **Zuza** nie powiedziała nic, bo ona dla kilku dodatkowych chwil spokojnego wylegiwania się w łóżku była gotowa zrezygnować z każdego śniadania. Przynajmniej na razie.

- Wyobraźcie sobie, że Walczakowa załatwiła już pierwsze wyposażenie do naszej knajpy. Dzisiaj przywiezie je jej koleżanka. Przewodnicząca upadającego koła gospodyń wiejskich.

- Co? - Rafała tak zaskoczyła ta wiadomość, że prawie się zakrztusił kromką chleba, którą potraktował jak przystawkę.

- To pewnie jakieś **badziewie** - oceniła Beata, intensywnie szlifując paznokcie.

- Nie wiem, kochanie. Przekonam się dopiero o tym dziś po południu, gdy to całe dobro pojawi się w naszym lokalu - wyjaśniałem nerwowo.

- Gdy brakuje pieniędzy, to nie należy wybrzydzać. Zawsze się da coś poprawić i podretuszować. Czasem wystarczy dobra kosmetyka. Sama pamiętam, jak przerabiałam swoje sukienki - włączyła się teściowa, która zapragnęła, abym przygotował jej jajko na parze.

- Tak. Wiemy. Już kilka razy słyszałam tę historię. Mamo, my teraz mówimy o biznesie, a nie o domowych naprawach. Tu nie może być fuszerki - nie ustępowała Beata.

Teściowa wzruszyła ramionami i z apetytem zabrała się za swoją lekką jajecznicę. Ja wolałem milczeć, bo sam już nie byłem pewien, jak oceniać tę



sytuację.

- Cześć, pędzę na angielski - przemknęła przez kuchnię jak meteoryt **Zuza**, pozostawiając nas z hukiem zamykanych drzwi.

- Znowu nic nie jadła - zdenerwowała się Beata.

- Nic się jej nie stanie. Powinna trochę schudnąć. Ostatnio nieco się zaokrągliła. Dla mnie jest za gruba - skomentował Rafał między jedną a drugą porcją jajecznicy, którą pochłaniał w błyskawicznym tempie.

- Co ty sugerujesz? - zaniepokoiłem się.

- Nic. To tylko taka braterska uwaga, bo pewnie zaraz zaczniesz się głęboka dyskusja o tym, że mojej siostrzyczce grozi śmierć głodowa. A teraz znikam - powiedział i rzeczywiście po chwili usłyszeliśmy po raz drugi huk zamykanych drzwi.

- Ja już nie mogę. Te dzisiejsze dzieci są takie szybkie, że człowiek nie jest w stanie nawet myśli pozbierać, nie wspominając już o jakiegokolwiek próbie porozmawiania z nimi. W czasach mojej młodości to było nie do pomyślenia - jako pierwsza odzyskała mowę moja najlepsza z teściowych.

Tym razem byłem skłonny przyznać jej rację, bo sam odczułem głęboko w uszach młodzieńczą siłę mięśni moich dzieci.

- Nie przesadzajcie. To nie są złe dzieci. Chyba jeszcze nie widzieliście tych naprawdę groźnych i złych - zaperzyła się Beata, choć trafiła kulą w płot, bo nie znalazła przeciwnika. Teściowa ją zignorowała, a ja stałem już przy oknie i przyglądałem się jak mistrz **Kiepuszewski** montuje nowy szyld oberży "Rzym".

Był piękny. **Twardowski** na kogucie lśnił świeżymi kolorami, a z daleka wydawało się, że za chwilę pofrunie i polecą w przestworza. Nie wytrzymałem. Chciałem go zobaczyć z bliska.

- Biegnę na dół. Właśnie wieszają szyld naszej knajpy - krzyknąłem w kierunku kuchni, gdzie moje kobiety sprzątały pobojuwisko po śniadaniu.

Nie wiem, co odpowiedziały, bo już wmieszałem się w tłumek, który zgromadził się wokół pracujących robotników.

- Prawie taki sam jak ten z lat pięćdziesiątych. Aż się łza w oku kręci - mówiła o swoich uczuciach paniusia z siwym kokiem na głowie. Postawiła zakupy z targowiska na chodniku i wyraźnie rozmarzyła się. - To były piękne czasy. Pamiętam jak z moim chłopakiem chodziłam tu na taneczne wieczorki. Miałam taką sukienkę w kwiaty, a on tak wspaniale prowadził tango. Szkoda, że nie żyje - mówiła do siebie, jakby nikt obok niej nie stał, choć wcale nie była sama.

- Tak, ładnie grali. Raz tam nawet wystawiliśmy przedstawienie. To był "Ożenek" **Czechowa**. Ludziom się wtedy chciało przychodzić po robocie i coś wspólnie robić. Teraz telewizor zabił wszystko. Siadają przed tym pudłem, przeskakują pilotem z kanału na kanał i tyle mają z życia - dołączył do niej w tonie narzekań szpakowaty 60-latek, w postawie na baczność, jakby nadal zdawał meldunek przed dowódcą. Jeszcze niedawno pewnie dumnie przechadzał się w mundurze.

- Proszę państwa, wcale nie musimy tęsknić za niegdysiejszym śniegiem. Jeśli zechcemy, to ta przeszłość może wrócić. Ja już państwa zapraszam na otwarcie naszej knajpki. Zrobię wszystko, aby w niej było równie sympatycznie jak kiedyś - przerwałem swoim przemówieniem ten przygnębiający nastrój.

- Gratuluję pomysłu i trzymam za słowo - ożywiła się paniusia. **Eksmundurowy** nawet zaczął klaskać w ręce, a kilka osób poszło w jego ślady. Z wrażenia zrobiło mi się gorąco.

- Pan magister, jak obiecuje, to zawsze dotrzymuje słowa. To dobry i solidny człowiek. Mnie zawsze sponsoruje - włączył się do dyskusji Feluś Arizona, który swoim zwyczajem szybko pojawił się w miejscu, gdzie mógłby znaleźć kilku zainteresowanych wsparciem producentów rodzimych **mózgotrzepów**. Tym razem jednak zawiódł się, bo zamiast znaleźć finansową pomoc doprowadził do szybkiego rozejścia się mojej widowni i potencjalnych klientów "Rzymu".

- Jedno jest pewne: w takim stanie nie będzie miał pan wstępu do mojego lokalu. To nie będzie mordownia dla pana kolegów, a pan dzisiaj nie może liczyć na mój udział w finansowaniu pana alkoholizmu - wyrzuciłem z siebie całą wściekłość, starając się ostatkiem sił zachować kindersztubę. Tak naprawdę miałem ochotę rzucić w niego wiązką wyzwisk.

- A ja myślałem, że pan jest dobrym człowiekiem - odburknął Feluś i stracił równowagę. W ciągu zaledwie sekundy zrobił się bezwładny. Poklepywanie po twarzy nie pomogło. Musiałem wzywać policję, aby odwiozła go do izby **wytrzeźwień**. W roli dobrego samarytanina wystąpił ten sam funkcjonariusz, który poinformował mnie o ataku **haraczownika**.

- Ja go odwiozę do domu, bo za pobyt w izbie **wytrzeźwień** nie zapłaci, a komornik będzie prześladował tę jego biedną żonę - zadeklarował stróż prawa. Natomiast w kwestii **haraczownika** nie miał nic do powiedzenia.

- Był o wiele szybszy od nas. Zgubiliśmy jego ślad - odburknął niechętnie, gdy zapytałem go o postępy w dochodzeniu. Nic zaskakującego. Tego akurat można się było spodziewać.

XXXI

Nie spodziewałem się natomiast, że wkrótce stanę oko w oko z kobietą tajfunem. A taka właśnie okazała się pani Marysia, gdy po obiedzie podjechała pod "Rzym" swoim rozklekotanym **zetorem** ciągnącym wypełnioną po brzegi przyczepę z majątkiem koła gospodyń wiejskim.

- Jestem **Kurzajło** - ścisnęła mi mocno rękę przyzwyczajona do dominacji pięćdziesięciolatka z okładem, w gumiakach, bawełnianym dresie, ale jednocześnie modnie przyciętą blond fryzurą. - To gdzie składamy całe to dobro?

We dwoje wypełniliśmy nim po brzegi całe pomieszczenie obok baru, gdzie polakierowana podłoga pachniała jeszcze lśniąca świeżością. Krzesła w barwie mahoni z solidnymi oparciami i zielonymi wybiciami idealnie pasowały do spadku po aptecę, a żółte obrusy w zieloną kratkę świetnie kryły **październikowe** blaty kwadratowych stolików. Nawet trzy zestawy **obiadowo-śniadaniowej** porcelany nie przypominały **geesowskiego** standardu.

- To odpady eksportowe z Chodzieży. Sama je wystąpiłam pod bramą fabryki. Nawet się pan nie domyśla, jakie szczęście sprawiłam wtedy dyrektorce zakładu, gdy w podzięce ofiarowałam jej trzy własnoręcznie oskubane kurczaki. Była tak zadowolona, że dostałam jedynie dwa lekko nadtłuczone talerze. Dzięki Bogu wszystkie przetrwały dwadzieścia dwa wesela, które nimi obsłużyliśmy. Mam nadzieję, że będzie pan na nie uważał - mówiła z wyraźnym niepokojem, otwierając kolejne kartony, w których znalazły się także kieliszki i pokaźny zbiór

garnków. Dwie kuchenki gazowe i obszerna lodówka od razu wnieśliśmy z wielkim stękaniem do kuchni, a cztery komplety radzieckich sztuczków, zamknięte w pudłach pokrytych zamszowym obiciem na szczęście nie były ozdobione sowieckimi gwiazdami. Gdy na nie spojrziałem, odetchnąłem z ulgą, bo stalowe rączki widelców i noży nie wyglądały odrażająco.

- Trzeba je tylko trochę naostrzyć - uprzedziła moje pytanie pani Marysia.

- No i jak to wygląda, moje gołąbki - wtrąciła się Walczakowa, która **dotarła** do nas z paczką kawy, pudełkiem z ciastkami i młynkiem do kawy.

- Przecież nie przywiozłam wam żadnego **badziewia**. Zawsze starałam się dbać o poziom - odpowiedziała lekko obrażona pani Maria, spocona i zaczerwieniona od wysiłku, ale zadowolona z siebie..

- Ależ kochana, nie to miałam na myśli. Pytam tylko o to, czy twoje dary pasują do całości - tłumaczyła się nieco skonfundowana Walczakowa, **ściskając** się z dawną koleżanką.

- Moim zdaniem będzie super. Jest pani naszym zbawieniem - przyznałem otwarcie. - Inaczej nie wiem, czy bylibyśmy w stanie kupić potrzebne wyposażenie.

- Dobrzy ludzie zawsze sobie jakoś poradzą. Ja przynajmniej w to wierzę - uspokajała mnie pani Maria.

Walczakowa natomiast stwierdziła, że nadszedł czas, aby zainaugurować obsługę pierwszego naszego gościa.

- Niech pan ustawi stolik, przykryje go obrusem i postawi wokół niego krzesła, a ja zrobię kawę i rozpakuję ciastka - zarządziła.

Zapach świeżej kawy i smak wiedeńskich serników rozczulił nas wszystkich. Na dodatek Walczakowa wyciągnęła z siatki jeszcze wiśniowy likier.

- Nie trzeba. Naprawdę. Przecież ja muszę wrócić tym moim traktorem - broniła się ze śmiechem pani Maria.

- Ależ ja wcale nie zamierzam cię upić. Chcę tylko, abyśmy uczcili naszą współpracę. Wystarczy, że wypijesz naporstek tego cudownego napitku wykonanego przez mojego sąsiada z targowiska - przekonywała Walczakowa.

I przekonała. Pani Maria w sumie bez większych oporów wypijała aż trzy kieliszki wiśniówki. Ja nawet więcej, a jedynie Walczakowa pozostała przy pierwszym. Od razu zrobiło się prawie rodzinie.

- No dobrze, a teraz powiedz nam, na jakich warunkach zamierzasz przekazać nam to całe dobro - wróciła do meritum Walczakowa.

- To nie będzie nic strasznego. O tu jest lista wszystkich rzeczy. Podpiszecie ich odbiór i zobowiązanie, że u was będziemy mogły co roku obchodzić Dzień Kobiet, Dzień Matki oraz Dzień Dziecka dla naszych maleństw. Za te imprezy nie chcemy płacić. Chciałybyśmy także uzyskać spore upusty, gdyby nasza członkini wyprawiała u was wesele. Może być?

- Dobrze. Umowa stoi - przyklasnęła Walczakowa, nie pytając mnie nawet o zgodę. Zresztą to i tak było zbędne, bo w obecnych warunkach przy naszych mizernych zasobach finansowych większego wyboru nie mieliśmy.

- I jeszcze jedno - zaczęła już mniej pewnie pani Maria. - Miałabym prośbę, abyście zatrudnili moją najmłodszą Agnieszkę. W ubiegłym roku **skończyła** technikum rolnicze. Myślałam, że będzie mi pomagać w gospodarstwie, ale ona

się tam mężczy. Może u was znalazłaby swoje miejsce?

- Tylko, Marysiu, my dopiero zaczynamy. Jeszcze nawet nie wiemy, czy nam to wszystko się uda.

- Tak, kochana. To jest oczywiste. Ja nawet nie liczę, że ona od razu dostanie u was etat. Może jednak spróbuje. Wy ją sprawdźcie, a ona się przekona, czy taka praca by jej odpowiadała? Możecie pójść na taki układ?

- Możemy - przerwałem ten błagalny ton. W końcu dobroczyńca ma prawo do pewnych względów

- No to jeszcze po kieliszeczkę? - zaproponowała Walczakowa, rozlewając likier do kieliszków. Na tym się nie skończyło, bo wypiliśmy jeszcze za pomyślność, pierwszych gości i kuchenki gazowe, aby się dobrze sprawowały. Wtedy poczułem, że nogi robią mi się już miękkie.

- Mamo, co ty dobrego narobiłaś - usłyszałem nagle za sobą. W drzwiach stała szczupła, wysoka dziewczyna, cała w czerniach i z kruczymi włosami splecionymi w gruby warkocz. Wyglądała, jakby za chwilę miała wystąpić jako mim. Wcale jednak nie miała nastroju do zabawiania nas. Nerwowa czerwień na policzkach i błysk złości w oczach nie pozostawiały wątpliwości.

- Pozwólcie, że wam przestawię: oto moja Agnieszka - pani Maria od razu wstała i przyprowadziła dziewczynę do stolika. Nie miała ochoty porozmawiać z nami. Nie chciała sernika ani herbaty, którą zaproponowała Walczakowa.

- Może będziemy już wracać - powiedziała twardo po rytuale powitań.

- Dobrze, zaraz odwieziesz mnie do domu - zaczęła pani Maria, walcząc z męczącą ją czkawką. Na szczęście tym razem klepanie po plecach pomogło i jakby przyspieszyło powrót do jej pełnej fizycznej sprawności.

- Córeczko, załatwiłam ci pracę w tym lokalu. Jeśli chcesz, możesz tu wkrótce zaczynać - rozwijała swoją myśl pani Maria, a ja z Walczakową przytakująco kiwaliśmy głowami.

- Jako kto? - wyduła wargi Agnieszka.

- A w jakiej roli widzi się panienka? - zapytała nieco zirytowana Walczakowa.

- Na pewno nie zgodzę się na mycie garów. Nie po to zdawałam maturę - zdenerwowała się Agnieszka.

- Córeczko, nie tak ostro. Chciałam dobrze. Przecież widzę, jak się ze mną męczysz - pani Maria nie była już taka pewna siebie.

- Sama tego chciałaś. Mówiłaś, że nie stać cię na opłacenie moich studiów - warczała dalej Agnieszka.

- Bo tak jest, ale przecież chcę dobrze - jęczała o litość pani Maria.

- Moje panie, może już damy spokój tym emocjom. One nic dobrego nie dadzą - postanowiłem interweniować.

- Nie potrzebuję łaski. Mamo, zbieraj się, idziemy - Agnieszka wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

- Dziewczyno, weź na wstrzymanie, nikt tu nie chce ci zrobić krzywdy ani łaski. Po prostu razem z twoją mamą myślimy, jak ci pomóc. Nie unoś się, tylko zastanów się, jak zarobić pieniądze na te studia. Jeśli masz lepszy pomysł i nie potrzebujesz wsparcia, to droga wolna. Ty Mario nigdzie nie idziesz! - powiedziała nagle, a właściwie wykrzyczała Walczakowa i natychmiast znowu usiadła przy kawie. - A nie mówiłam, że ten sernik jest bardzo dobry?

Agnieszka zatrzymała się przy drzwiach wejściowych. W knajpie zapanowała przerażająca cisza. Po chwili dziewczyna wybuchła płaczem. Maria pobiegła ją przytulić i razem z Walczakową usadziły dziewczynę na krześle.

- To cholerne życie jest podłe. Nikt mnie nie chce. Właśnie w magistracie powiedzieli mi, że takich jak ja mają na pęczki. Mam stanąć w ogonku z bezrobotnymi **menelami** i czekać. Mamo, do czego zmierza ten kraj - Agnieszka wyrzucała z siebie całą złość, łzy strużką spływały na jej zarumienione policzki, a biust podnosił się i opadał w rytm nerwowego oddechu dziewczyny.

- Uspokój się, córuś. Nie zawsze wszystko się układa. Czasem życie wali nas po głowie, ale czasem zaczyna świecić słońce - pani Maria przytuliła się do córki, jakby chciała schować ją pod ogrzewającą pisklę lampą.

- Mamo, proszę cię. Dajmy spokój z tymi sztucznymi pozami - odsunęła ją Agnieszka, już wyraźnie uspokojona.

- To co? Spróbujesz z nami popracować? - zagadnąłem z **lekkim** strachem, czy znowu nie spowoduję nerwowego wyładowania.

- Może. Jeszcze się zastanowię i wkrótce odpowiem. A teraz chodźmy, mamo. Odwiozę cię do domu - zarządziła Agnieszka. Pani Maria nie oponowała. Widocznie też chciała odpocząć po niespodziewanych wyładowaniach uczuciowych. Ciągnik zaterkotał i wolno ruszył przed siebie. Matka z córką o czymś dyskutowały w kabinie. Po chwili **zniknęły** za rogiem.

- Ci młodzi faktycznie mają teraz bardzo trudno, choć ta nowa Polska miała podobno być dla nich lepsza - mówiła zamyślona Walczakowa.

- Przyjdzie do nas ta Agnieszka? - zapytałem bardziej siebie niż współniczkę.

- Zobaczymy. To jej wybór, ale wróćmy do naszego - otrząsnęła się Walczakowa. - Juto przetransportujemy z zaplecza mojego kiosku dwie stare szafy, a z komisji meblowej moja koleżanka przywiezie dwa stoły, których od roku nikt nie chce. Świetnie nadadzą się do kuchni. W końcu trzeba już przygotowywać się do otwarcia. No i jeszcze jedno: trzeba opracować menu.

- Tak. Też o tym myślałem. Jutro popracuję nad tym z Krystyną, współniczko - uśmiechnąłem się. W nagrodę dostałem ostatni kieliszek likieru. Gdy go wypilem, rozdzwoniła się komórka.

- Możesz wrócić do domu na obiad? Zrobiłam dzisiaj spaghetti z parmezanem, zielonym groszkiem i oliwkami. Masz na nie ochotę? - pytała Beata.

Miałem. Chciałem na rodzinny obiad zaprosić także Walczakową, ale odmówiła.

- Niech pan idzie. Ja tu sobie jeszcze posiedzę i powspominam - powiedziała wyraźnie w nastroju nostalgicznym. Nie nalegałem. W końcu każdy ma prawo do chwili bycia sam na sam.

### XXXII

- Pan **Małecki**, proszę się uśmiechnąć. W końcu to pana knajpa. Jeszcze tylko jedno zdjęcie i daję panu spokój - trajkotał wysoki, farbowany blondyn, który zaatakował mnie jak **paparazzi**, gdy tylko pojawiłem się na ganku. - Przepraszam, że tak z zaskoczenia, ale akurat brakuje nam kilku zdjęć z miasta do zamknięcia numeru. Niech się pan cieszy. To będzie bezpłatna reklama. A teraz **jeszcze** tylko parę faktów.

I zanim schwytałem powietrze, on już schował aparat fotograficzny i wyciągnął

notes.

- Nazwiska nie pomyliłem, prawda? No, nie mogłem, bo moja dziewczyna przecież ciągle o panu mówi.

- Może mnie pan dopuści do głosu?

- **Sorry**. Rzeczywiście, ja tu nadaję, a pan milczy?

- Czy pan wzięt pod uwagę, że ja mogę sobie nie życzyć zdjęć i informacji o tym lokalu?

- Nie, no niech mi pan tego nie robi. Szefowa mnie zabije, jeśli za godzinę nie przyniosę materiału. Tu naprawdę nie ma się czego bać. Nic złego panu nie zrobię - usprawiedliwił się blondynek.

- Może tak, a może nie. Nie ufam brukowcom.

- **Sorry**, pan wybaczy. Nie pracuję w brukowcu, ale porządnych "Wieściach Powiatowych". Sam burmistrz dzwonił do szefowej i wspomniał, że dobrze byłoby zrobić materiał o pana knajpie, bo to będzie ciekawe przedsięwzięcie.

- A skąd on wie, że to będzie ciekawe?

- Nie wiem. Widocznie pana ceni. Nie znam się na upodobaniach władzy. Jestem od czarnej roboty. Więc pomoże mi pan?

- Dobrze, niech będzie, ale pod warunkiem.

- Słucham?

- Może pan napisać parę słów o knajpie, ale bez szczegółów, bo na nie za wcześnie. Mam jednak prośbę, żeby redakcja spróbowała nacisnąć policję lub zrobiła swoje śledztwo w sprawie pewnego **haraczownika**.

- To ciekawe! - zapalił się farbowany reporter, a oczy aż mu urosły z napięcia. - No to **przejdźmy** do szczegółów.

Opowiedziałem mu całe zdarzenie, moje spotkanie z tajemniczym motocyklistą oraz reakcję policji.

- Oczywiście, oni nigdy nic nie mogą. Już parę razy byliśmy skuteczniejsi od niebieskich - blondynek wydał zawadiacko policzki i wrócił do pytań o knajpę. Na szczęście dość łatwo ustaliliśmy, co może, a czego nie powinien jeszcze pisać o przyszłej oberży.

- Czy mogę panu ufać? - spytałem, spoglądając mu w oczy.

- Jestem jak **Zawisza**. Dotrzymuję słowa - uścisnął mi dłoń i pobiegł przed siebie jak wicher. W samą porę, bo Beata przez okno już mnie ponaglała, abym przyszedł wreszcie na obiad.

- Ile można czekać? - krzychała zniecierpliwiona.

Spaghetti było zbyt twarde, ale wołałem to przemilczeć, bo Beata znowu nie była w sosie. Szamotała się po kuchni jak zwierz w zbyt małej klatce.

- Co się stało, przecież widzę, że coś cię gryzie?

- To widać?

- A jak myślałaś?

- Boguś, boję się.

- Coś ze zdrowiem?

- Nie, to nie to.

- A co?

- Jutro przyjeżdża prezes z Warszawy. Tak nagle. Bez żadnej zapowiedzi. Dowiedziałam się jednak, że trzy dni temu tak samo przyjechał do oddziału we

Wrocławiu i wszystkich zwolnił.

- Może mieli złe wyniki?

- Sama nie wiem. Po firmie się rozeszło, że zwalniają stare twarze. Podobno chcą radykalnie odmłodzić zespół, bo firma, która sprzedaje produkty dla młodzieży, ma promieniować młodością.

- To jakiś absurd. Czyś ty rozum **postradała**? Przecież nie żyjemy w dzikim kraju?

- Teoretycznie masz rację, ale prezes to taki typ samca, który się z nikim nie liczy. Wszyscy się go boją. Biorą ogon pod siebie i chowają się po kątach, gdy coś mu się nie podoba. Sama nigdy nie mam pewności, jak zostaną odebrane moje pomysły.

- Głowa do góry. Przecież nie możesz zakładać, że jedzie do ciebie wykonać wyrok. W końcu przed rokiem twój region miał trzeci wynik w sprzedaży! - podtrzymywałem Beatę na duchu.

- Ale w tym roku jest gorzej i to mnie martwi - wybąkała moja żona, prawie na granicy płaczu.

Nie miała jednak szans na to, aby się wyplakać, bo do domu wpadł właśnie Rafał. Znowu głodny jak wilk. Od razu rzucił się do garnków.

- Tato, czy to prawda, że 1 czerwca twoja knajpa będzie już działać? - zapytał, napełniając głęboki talerz górą makaronu.

- Nie wiem, synku, bo właściwie jesteśmy jeszcze w proszku. A skąd to pytanie?

- Bo szukamy lokalu, gdzie można by fajnie spędzić Dzień Dziecka.

- Termin jest w porządku, ale to zaledwie tydzień. Chyba za mało czasu.

- No, to **sorry** - wziął swój talerz i poszedł przed telewizor - jego właściwą rodzinę - aby sobie pooglądać najnowsze gierki. Zwykle zwalczałem takie obyczaje, ale tym razem dałem spokój: Beata miała już tak mokre oczy, jakby pływały po morzu. A ja byłem bezradny. Przecież nie mogłem pójść i potrząsnąć tym prezesem i powiedzieć mu, jaki korporacyjny skarb, całkowicie mu oddany, mam w domu.

- Nie martw się. W końcu na świecie jest mnóstwo firm, które handlują ciastkami. Nie ta, to inna. Ostatecznie możesz pracować u mnie.

- Zupełnie oszalałeś. A z czego my będziemy żyli? Ty chcesz się zwolnić ze szkoły, a ta knajpa to zaledwie jakaś nadzieja. Taki balonik, który może polecieć w górę, a może zaraz pęknie - tym razem Beata naprawdę się popłakała. Łzy poleciały rzęsistym strumyczkiem na jej policzki. Miałem ochotę je spijać. I pewnie bym to zrobił, aby zabić albo przynajmniej odegnać od siebie wszystkie wątpliwości, które znowu wyszły z kątów i wkręcały się w moją łatwą do przestraszenia świadomość. Jednak nagle między nie wdarł się świszczący dźwięk dzwonka mojej komórki.

- Słucham?

- Panie Bogusiu, proszę przyjść do "Rzymu". Mamy pierwszych klientów, którzy chcą zamówić wesele. Moim zdaniem warto brać pieniądze, gdy sam w ręce wpada. No, niech pan tu szybko przychodzi - mówiła Walczakowa bez cienia wątpliwości i wahania w głosie. Znowu wzbudziła we mnie optymizm.

- Dobrze, już idę - przytaknąłem i wyłączyłem komórkę.

- Dokąd się znowu wybierasz? - zapytała z wyrzutem w głosie Beata.  
- Robić interesy, kochanie, bo przyszli klienci, którzy chcą robić w naszej knajpie swoje wesele. To dobry znak. Będzie dobrze. Zobacysz - pocałowałem Beatę w jej słony policzek i ruszyłem do knajpy. Przeskakiwałem po dwa stopnie od schodów. Tak mnie niosło do pierwszego interesu w moim życiu!

### XXXIII

On był rudy, tyczkowaty i cały w brązowo-żółtych sztruksach. On miała słabiatkie blond kitki na głowie, jasnozieloną sukienkę na wątlym ciele i odblaskowe japonki na nogach. Natomiast pokrywające jej policzki stado piegów od razu przypomniało mi dawną koleżankę z liceum i nastroiło mnie pozytywnie.

- Studenci? - zapytałem na powitanie  
- Przyszli poloniści - wyręczyła młodych Walczakowa, która już zdążyła podać im kawę.

- Bardzo mi miło, tym bardziej że jeszcze sam praktykuję ten fach.  
- Naprawdę? - uśmiechnęła się niepewnie **pieguska**.  
- W tych sprawach nie żartuję - zapewniłem ją poważnie. - Ale przecież my nie o tym.

- Tak, chodzi o nasze wesele. Państwo zaczynacie działalność, my rozpoczynamy oficjalnie wspólne życie, więc pomyśleliśmy, że to mógłby być udany początek - przeszedł do rzeczy rudzielec, ściskając mocno dłoń swojej blondynki.

- A kiedy to ważne wydarzenie ma nastąpić?  
- W sierpniu, na koniec wakacji, gdy już wszyscy wrócą z wojaży. Tak sobie wymyśliłam - uśmiechnęła się **pieguska**.

- Nie ma sprawy. W tym czasie już na pewno będziemy mogli państwu służyć. Problem w tym, czy będziemy w stanie zaspokoić państwa oczekiwania, bo ogromnego wesela raczej tutaj nie pomieścimy. Sami państwo widzicie. Poza tym chcemy oferować polską kuchnię - wolałem od razu wyłożyć karty na stół.

- Nam to odpowiada. To ma być skromne przyjęcie z muzyką dla czterdziestu osób, raczej ze swojskim menu i za przyzwoite pieniądze - rudzielec określił jasno warunki.

- Sądzę, że się dogadamy - wtrąciła się Walczakowa, która cały czas przyglądała się młodym. - Jesteście tacy młodzi i piękni, że aż się chce wam pomóc.

- Żeby wszyscy tak chcieli - zasmuciła się **pieguska** i spuściła wzrok.  
- Jakież kłopoty? - moja ciekawość była jednak silniejsza niż dyskrecja.  
- Tak, moi rodzice. Uważają, że najpierw powinniśmy ukończyć studia, a dopiero potem myśleć o ślubie - niechętnie wyjaśnił rudzielec.

- Może to i racja. Trudno im się dziwić. Życie jest teraz trudne, a małżeństwo je jeszcze komplikuje, tym bardziej w czasie studiów. Poza tym mielibyście czas na sprawdzenie, czy rzeczywiście chcecie być ze sobą - dołała oliwy do ognia Walczakowa.

- Nic nie musimy sprawdzać. Jesteśmy razem już od drugiej klasy liceum i nic od nich nie potrzebujemy. Mieszkamy z babcią, mamy stypendia, a ja nieźle dorabiam. Nie będziemy dla nikogo ciężarem - zdenerwował się rudzielec.

- Dobrze. Dajmy spokój tym międzypokoleniowym waśniom. To w końcu nie



jest nasza sprawa. Jeśli natomiast chodzi o wesele, to teraz oczekuję na państwa sugestie sprawie menu. Jak je zobaczę, to będziemy negocjować cenę. I jeszcze jedno: jaką muzykę sobie państwo życzą?

- Tym się zajmie nasz przyjaciel. Rozumiem, że ostatnia sobota sierpnia wchodzi w grę? - upewnił się rudzielec.

- Służymy państwu - uśmiechnąłem się promiennie i podałem im mój numer telefonu komórkowego, abyśmy mogli ustalić termin spotkania, gdy już zdecydują się na menu.

- No to do zobaczenia - pożegnała się **pieguska**.

- Panie Bogdanie, w takich sytuacjach trzeba spisać umowę i wziąć zaliczkę, bo inaczej pójdą do kogoś innego - powiedziała z wyrzutem Walczakowa. gdy tylko młodzi zamknęli za sobą drzwi.

- Wiem, ale oni są chyba jednak jeszcze nie do końca zdecydowani. Trzeba im dać czas. Może się dogadają z rodzicami. Chciałaby pani zaczynać od wesela z awanturą?

- Nie. Sama widzę, że coś tam nie gra. Niech się zastanowią, ale swoją drogą to fantastyczne, że choć nie zaczęliśmy **działać**, to już zgłaszają się do nas klienci - ucieszyła się Walczakowa i klasnęła w ręce.

Mnie też to **podniosło** na duchu. Zabrałem się więc za rozstawianie stolików i krzeseł. Przykryłem je obrusami i poczułem się jak w prawdziwym lokalu.

- Nie ma co się zastanawiać. Musimy wreszcie wystartować. Kiedy przygotowuje pan menu? - zapytała Walczakowa, wyrrywając mnie z wewnętrznego zachwyty.

- Jutro usiadziemy z Krystyną i będziemy wymyślać. Jeden pomysł już mam: w deserach znajdzie się na pewno gruszka Walczakowej. Gotowana gruszczyzna z cynamonem w agrestowej galaretkie i bitą śmietaną obsypaną bakalią. Co pani na to?

- Pycha, ale może to nie wypada?

- Ależ wypada. Wręcz przeciwnie: trzeba propagować pomysły właściciela. Reklama to dźwignia handlu - śmiałem się, dostrzegając iskierki zadowolenia w oczach współniczek.

- Niech będzie, ale ja się jeszcze zastanowię, jakby może uszlachetnić ten deser. W końcu mam go **firmować** własnym nazwiskiem - spoważniała Walczakowa i poszła do siebie, aby w spokoju rozmyślać się nad naszym przebojem w menu.

Sam też miałem ochotę na tego typu rozważania, ale nic z tego nie wyszło, bo Zośka z sekretariatu wezwała mnie do szkoły.

- Przyjechał **wicekurator**. Właśnie rozmawia z dyrektorką, a potem chce się z panem widzieć - szeptała konspiracyjnie. - Czyżby zamierzał pan zostać naszym dyrektorem.

- Bez przesady, pani Zosiu. Już idę - uciałem rozmowę, a w środku zadrzałem. Byłem pewien, że przyjechał w sprawie listu walniętej **Ewki**. - Jeśli ta idiotka nie **wymyśliła** jeszcze czegoś głupszego - pomyślałem.

#### XXXIV

Urzędnik z województwa nie robił dobrego wrażenia. Zza grubych i chyba tanich okularów patrzył na mnie wypalonym wzrokiem szczupłutki mężczyzna w szarym garniturze i ze zmęczoną twarzą człowieka, który od lat walczy o

przetrwanie w urzędniczym labiryncie.

- To właśnie pan **Małecki** - przedstawiła mnie nasza Emilia, gdy przekroczyłem próg jej gabinetu.

- Witam, pana kolegę. Bardzo miło mi poznać - powiedział piskliwie **wicekurator**. Omal nie wybuchnąłem śmiechem z wrażenia, ale obawa przed dalszym ciągiem rozmowy była jednak we mnie silniejsza niż spontaniczna reakcja na jego podejrzenie miękkiego głosu.

- Pan kurator ma dla ciebie Boguś pewną propozycję?

- Tak, słucham - skuliłem się wewnątrz i czekałem na uderzenie między oczy. W wyobraźni **Ewka** już warczała w moim kierunku niczym dziki tygrys w dżungli.

- Tak, to nie jest nic zobowiązującego, ale przyznam szczerze, że poszukujemy właśnie człowieka, który podjąłby się kierowania budową i organizacją nowej polskiej szkoły w Estonii. Konkretnie w Tallinie. Pani Emilia twierdzi, że w pana przypadku to mogłoby być interesującym wyzwaniem. Co pan na to? - **wicekurator** zawiesił głos i wyczekująco spojrzął mi w oczy.

Wrażenie rzeczywiście było duże. Może nawet silniejsze niż ewentualna reakcja na wypowiedzenie z powodu podłych listów **Ewki**. Propozycja była tak niespodziewana, że prawie zwała mnie z nóg.

- Przyznam szczerze, że jestem zaskoczony. Taki pomysł nigdy nie przyszedłby mi do głowy - wydusiłem z siebie pierwszą reakcję, a na mapie Europy, która wyświetliła mi się w głowie, starałem się opornie umieścić gdzieś Estonię. Majaczyła u brzegu Morza Bałtyckiego, ale jakoś niewyraźnie.

- No tak, to oczywiście jest zaskoczenie. Z tego względu nie oczekuję od pana teraz odpowiedzi, bo takich decyzji nie podejmuje się w pięć minut, ale gdyby pana kandydatura wchodziła w grę, to proszę o kontakt - uśmiechnął się przepraszająco **wicekurator**.

- Pan chyba rozumie, że potrzebowałbym więcej informacji.

- No tak. Proszę, mam tu opis całego projektu i zasady zawarcia ewentualnego kontraktu z dyrektorem - jeszcze raz uśmiechnął się **wicekurator** i wręczył mi grubą teczkę z dokumentami. - Czekam tydzień na odpowiedź - dodał, podając mi swoją wizytówkę.

- Tak nagle miałbym wyjechać w nieznaną. Beata by chyba upadła na ziemię, gdybym jej to powiedział - pomyślałem, stojąc bezradnie przed kuratorem.

- Spokojnie nic się nie dzieje, ale czasem świat nas zaskakuje bardziej niż się spodziewamy. Wbrew pozorom wcale nie musi to oznaczać katastrofy - Emilia próbowała swoim dyrektorskim tonem rozładować napięcie. Byłem jednak w tak dużym szoku, że nawet gwałtowne ruchy jej biustu tym razem nie zadziałały na mnie pobudzająco. Na szczęście **wicekurator** nie chciał przedłużać tej krępującej sytuacji.

- Bardzo dziękuję za spotkanie. A teraz pozwolicie państwo, że się pożegnám, bo jeszcze dzisiaj muszę być na naradzie w Poznaniu - powiedział, pocałował Emilię w rękę i zniknął za drzwiami tak cicho, jakby go w ogóle nigdy nie było w gabinecie dyrektorki.

- Czy to nie jest lepsze wyzwanie niż jakaś knajpka w naszej mieścinie? - przerwała ciszę Emilia.

- Skąd ty go wytrzasnęłaś z tą propozycją? - nie kryłem zdziwienia.
- Sam się pojawił. Pomyślałam, że to może być lek na twoją chandrę czterdziestolatka - uśmiechnęła się Emilia.
- Tyle, że chyba przesadziłaś z dawką. To była porcja dla konia - odparowałem bez zastanowienia.
- Nie przesadzaj. To naprawdę interesująca propozycja. Poza tym przedstawił ci ją mimo donosów **Ewki**. Powinieneś to docenić - mówiła z ironią Emilia.
- To jednak przyjechał tu w tej sprawie?
- Tak, ale sam nie traktował jej poważnie, a ja wyjaśniłam mu, że ten list nie ma żadnego pokrycia w faktach. Zresztą podobne oświadczenie złożyli związkowcy.
- Żartujesz?
- Nie, dlaczego nie wierzysz w dobre serca ludzi?
- Przestań. Nie popadajmy w przesadę.
- Myślę, że nie doceniasz koleżeństwa. Mnie zresztą też nie, bo przesłałam do porządku dziennego nad twoim lewym zwolnieniem. Potrafię zrozumieć, że czasem chandra bywa **silniejsza** niż obowiązki, ale to wiecznie trwać nie może - mówiła cała purpurowa na twarzy i z narastającym zdenerwowaniem w głosie.
- Jasne. Masz rację - szepnąłem i zmartwiałem.
- No tak. To by było tyle na dzisiaj. Poza tym zajmij się Jagodą **Korotki**, bo od paru dni szuka cię po szkole, aby zaprezentować swój program na konkurs recytatorski. I jeszcze jedno: poważnie przeanalizuj propozycję kuratora. To chyba naprawdę może być ciekawa przygoda. A teraz żegnam, bo mam jeszcze sporo do zrobienia - powiedziała i usiadła ciężko przy swoim biurku.
- Nie dyskutowałem. Od razu wymknąłem się do sekretariatu.
- I co? Będzie rewolucja kadrowa? - zaczęła mnie natychmiast **Zosieńka**.
- No bez przesady. Przecież mamy bardzo dobrą dyrektorkę - wysliznąłem się z jej pułapki jak piskorz.
- No tak - szepnęła nieco skonfundowana.
- Żegnam do jutra - powiedziałem grzecznie i zniknąłem za drzwiami, gdzie na drewnianej ławce już koczowała Jagoda **Korotki**
- Czy pan mnie unika? - zapytała, patrząc na mnie zimno.
- Dziecino, jak mogłaś tak pomyśleć?
- Tylko nie "dziecino".
- Tak, moja panno.
- Pana panną też nie jestem - odgryzła się i prawie obraziła.
- OK. Nie łapmy się za słówka. Tylko chodźmy popracować.

### XXXV

Dwie godziny recytacji Jagody i wspólnego zastanawia się nad sensem wypowiedzianych przez nią słów minęły szybko. To naprawdę zdolna dziewczyna. Nie spodziewałem się, że tak przekonująco potrafi stać się starszą od siebie kobietą i wczuć się w jej małżeński dramat.

- Stwórca obdarzył cię wielkim darem empatii - powiedziałem w końcu zachwycony jej postęпами.
- Naprawdę? A ja myślałam, że rodzice - odburknęła zgryźliwie.
- No tak, też mieli w tym swój udział - unikałem kolejnego sporu.
- Mam jakieś **szanse** w tym konkursie? - Jagoda nagle spoważniała.

- Pewnie. Jeśli przed jury rozwiniesz **wszystkie** barwy uczuć, to na pewno zrobisz na ich wrażenie. Tylko nie przesadzaj z kostiumem i malowaniem się - uprzedzałem, przypominając sobie niedawne **kreacje** naszej kandydatki na aktorkę.

- No wie pan. **Przecież** nie jestem głupia, a poza tym zrobię wszystko, aby dać sobie szansę.

- Jaką szansę?

- Normalną, proszę pana. Chcę stąd wyjechać, żyć całą duszą, poznawać ciekawych ludzi. Mam już dosyć tych kolorowych gazet, które mama bez przerwy kupuje. Denerwują mnie, bo...

- Tam nie ma ciebie - dokończyłem zdanie, którego nie zdążyła wypowiedzieć.

- Żeby pan wiedział. A co dziewczyna z małego miasta nie ma prawa walczyć o sukces? - pytała zadziornie.

- Ma i powinna o niego walczyć, bo inaczej przez całe życie będzie miała do siebie żal. Nie bój się, próbuj - prawie wyszeptałem to przesłanie.

- Jest pan naprawdę kochany - pocałowała mnie policzek i wybiegła z mojego zapuszczonego kantorka. Tak, zazdrościłem jej tej wiary w siebie, odwagi i chęci zdobywania świata.

- Gdybym był młodszy, to praca w Estonii mogłaby być fascynująca - pomyślałem. Usiadłem przy stole i zacząłem przeglądać materiały od **wicekuratora**. Były naprawdę interesujące. Dokładne ich studiowanie nie było mi jednak dane, bo po chwili do domu wezwwała mnie **Zuza**.

- Tato, wracaj. Babcia majaczy - wyszeptała ze strachem w głosie.

Tak, było źle. Najlepsza z teściowych miała wysoką temperaturę, mówiła od rzeczy albo zapadała w odrętwienie i traciła całkowicie kontakt z otoczeniem. Ciapiek biegał wokół jej łóżka i za **wszelką** cenę chciał polizać twarz swojej właścicielki, która już go nie pieściła.

- Zastrzyk powinien obniżyć temperaturę, ale, niestety, musimy zabrać starszą panią do szpitala. Trzeba zrobić dokładne badania i musi być cały czas pod obserwacją. Obawiam się, że mogło dojść do niebezpiecznych zmian - orzekła lekarka pogotowia, która pojawiła się w domu kilka minut po mnie.

- Oczywiście. Czy mogę w czymś pomóc? - zapytałem bezradnie.

- Proszę znaleźć wszystkie ostatnie wyniki i wypis z szpitala oraz przygotować niezbędne rzeczy do szpitala - zarządziła rzeczowo lekarka.

- Już wszystko przygotowałam. Czy mogę jechać z babcią? - zapytała błagalnie Zuzia, zapłakana i zmieniona na twarzy.

- Jeśli ojciec nie ma nic przeciw temu - skapitulowała lekarka.

Nie miałem. W końcu musiałem jeszcze powiadomić Beatę, do której **Zuza** nie miała odwagi zadzwonić. Sanitariusze działali szybko i już po chwili zostałem z Ciapką sam w domu. Usiadłem w kuchni i patrzyłem bezradnie na psa, który **skuczał** przy drzwiach wejściowych i za wszelką cenę chciał się wydostać na zewnątrz. Ten widok tak mnie rozbroił, że łzy same poleciały mi na policzki, a potem zrobiły plamę na krzasiastym obrusie kuchennego stołu.

- Panie Bogusiu, niech pan otworzy - **skuczenie** psa zagłuszyła Walczakowa, waląca swoją łaską w drzwi naszego mieszkania.

- Co się stało **Mireczce**? - zapytała zdenerwowana i zasapana od biegu po

schodach, gdy tylko przekręciłem zamek i schwytałem wyrwijającego się pasa za obrożę.

- Sam do końca nie wiem, kochana pani. Po prostu dostała wysokiej gorączki i wpadła w odrętwienie, a od czasu do czasu mówiła coś bez sensu. Zabrali ją do szpitala, aby zrobić badania. Zuzia pojechała z nią - wyjaśniłem szybko.

- I bardzo dobrze. Pan niech też tam idzie. Ja tu posiedzę, popilnuję i pomodłę się. Może Bóg nam jej nie zabierze - siadła przy stole zdenerwowana, wyciągnęła z kieszeni różaniec, a wzrokiem wypychała mnie za drzwi.

Miała rację. I tak bym tam nie wysiedział. Wyszedłem z domu i gdy wyciągnąłem komórkę, aby zadzwonić do Beaty, ona zadzwoniła do mnie.

- Już po ciebie jadę. Czekaj przed domem. Przed chwilą dzwoniła do mnie **Zuza**. Mama umiera. Chce nas widzieć - powiedziała Beata.

Odrętwiałem. Kto by się spodziewał, że tak może się zakończyć ten dzień.

### XXXVI

Stało się. Kilka minut po godz. 19 najlepsza z teściowych oddała ducha. Lekarze dwa razy wydobywali ją z **zapaści**. Za trzecim razem musieli się poddać.

- Przykro mi. Serce było zbyt słabe, a organizm wyczerpany. Zaraz wypiszę akt zgonu - powiedział zmęczony i wyraźnie zakłopotany lekarz, gdy przegrał walkę ze śmiercią. Potem zostawił nas samych z pielęgniarkami, które sprawnie przenieśli ciało teściowej na wózek, domknęły jej oczy, zacisnęły usta, naturalnie ułożyły ręce i nakryły zwłoki prześcieradłem. Sala operacyjna po kilku minutach była gotowa do przyjęcia następnego pacjenta. Dla ciała teściowej nie było już w niej miejsca.

- Jedziemy do kostnicy? - zapytał sanitariusz, gdy wypchnął wózek z ciałem na korytarz.

- Boże, dlaczego? - szpitalną ciszę przerwał krzyk Beaty, która do tej pory siedziała jak skamieniała i patrzyła przed siebie prawie martwym wzrokiem.

- Proszę cię, Beato. Tak bywa - powiedziałem.

- Dla ciebie wszystko jest naturalne, ale dla mnie nie. Ktoś musi za to odpowiedzieć - odepchnęła moje ramię.

- Czy to oznacza, że chce pani, aby przeprowadzono sekcję zwłok? - zapytał sanitariusz.

- Tak.

- Nie, nie potrzeba - zaprzeczyłem twardo.

- Nie kłóćcie się teraz. Jak możecie - błagalnie wyszeptwała **Zuza**. - Babcia wiedziała, że umiera. Gdy ostatni raz ścisnęła mnie za rękę, prosiła, abyśmy się wszyscy kochali i o niej pamiętali. Ona będzie nad nami czuwać.

Zamilkłem. Zresztą co miałem mówić. W takich chwilach nie ma nic do powiedzenia. Czuje się tylko wielki żal i bezradność.

- Idziemy do kostnicy? - zapytał jeszcze raz sanitariusz.

Skinąłem głową. Beata już nie protestowała. Milczała, a łzy wypełniły jej oczy. **Zuza** ścisnęła moją dłoń. Poczulem, że cała drży, ale nie rozplakała się. Tak jak ja słuchała stukotu szpitalnego wózka, który przez opuszczony korytarz zbliżał się do windy.

- Żałuję tylko, że nie było księdza z ostatnim namaszczeniem - przerwałem milczenie.

- Był. Zanim dojechaliście, zdążył się pomodlić - powiedziała **Zuza**.

- To dobrze - szepnęła Beata.

W kostnicy nie byliśmy sami. Emerytowany nauczyciel rysunków w towarzystwie dwóch pań właśnie kończył ostatni makijaż zmarłej czterdziestolatki.

- Od razu ubieramy? Macie państwo rzeczy, czy mam coś sam dobrać. Makijaż też czy wersja naturalna? - zaczął bez wstępów.

Beata znowu wybuchła płaczem. Musiałem ją wyprowadzić na zewnątrz i zostawić pod opieką **Zuzy**.

- Jest pan bez serca. Jak pan może tak mówić przy córce zmarłej? To jest chamstwo. Przydałoby się trochę kultury, człowieku - powiedziałem po powrocie do kostnicy.

Nie zauważyłem zmieszania na twarzach obecnych.

- Przepraszam, ale pan to źle załatwia. To nie są sprawy dla rodziny. Proszę, o to moja wizytówka. Jeśli pan chce, zajmiemy się wszystkim - podszedł do mnie przedstawiciel największego w mieście zakładu pogrzebowego, który nagle pojawił się na miejscu, choć przecież nie wpadłem jeszcze na to, że trzeba załatwić wszystko w związku z pogrzebem. To rzeczywiście było najlepsze rozwiązanie.

- Musimy tylko wybrać rzeczy do ubrania zmarłej. Lepiej to zrobić, zanim ciało ostygnie. Może państwo pojedą do domu i wybiorą odpowiedni strój - podpowiadał przedstawiciel zakładu pogrzebowego.

Nie protestowałem. Nakłoniłem Beatę i **Zuzę**, aby wsiadły do samochodu i wróciliśmy do domu. Powitali nas wyjący Ciapka i szlochająca na kolanach Walczakowa.

- Tak, miałam złe przeczucia. Boże, dlaczego zabierasz najlepszych ludzi? - wymamrotała na nasz widok. Wstała z kolan, objęła Beatę i obydwie zastygły w bezruchu. Ja też milczałem. Jedynie **Zuza** próbowała schwytać biegającego w koło Ciapka z obłędem w oczach.

Człowiek z zakładu pogrzebowego zjawił się po kilku minutach. Nie było czasu na zastanawianie się nad wyborem rzeczy. Ulubiona bluzka teściowej i jej ciemnogramatowa garsonka na szczęście wisiły w szafie. Buty i bielizna też były oczywiste. Beata zapakowała je do reklamówki w całkowitym milczeniu. Działała jak automat. Nikt nie miał śmiałości przerwać panującej ciszy. Mężczyzna z zakładu pogrzebowego też jej nie przerwał: zabrał reklamówki z odzieżą i zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

- Idę do kościoła. Muszę. Inaczej cały czas będę miała żal do siebie, że nie pomogłam duszy **Mireczki** - wyrzuciła z siebie Walczakowa, bez cienia hysterii w głosie.

- Pójdę z panią. Mama na pewno by tego chciała. Ty Boguś poczekaj na Rafała. Niedługo powinien wrócić od Maćka, kolegi z klasy - zarządziła Beata, a **Zuza** w milczeniu wyszła razem z nią. Przygarnąłem Ciapka. Usiedliśmy wspólnie na kanapie i wsłuchiwalismy się w swoje oddechy. Czekałem na znak. Nie nadszedł.

## XXXVI

Noc była trudna. Najpierw musiałem uspokoić Rafała, który miał żal, że nie zabraliśmy go do szpitala. Potem wyplakała mi się na ramieniu Zuza. W końcu zająłem się Beatą siedzącą bez woli życia na kanapie w salonie. Żaloba wypełniła wszystkie kąty mieszkania, a Ciapek bezskutecznie szukał śladów swojej pani w jej pościeli. Nie miałem siły ani odwagi, aby likwidować to łóżko. Było jak katafalk. Zimny znak ostatniej drogi.

Leżeliśmy z Beatą w łóżku bez słowa. Bałem się do niej przytulić, żeby mnie źle nie zrozumiała. Ona natomiast zimna i zatopiona we własnych myślach wydawała się nieobecna. Nawet nie próbowałem wspominać przy niej o propozycji wicekuratora. W tej sytuacji wydawała się całkowicie absurdalna. Nie pytałem także o zbliżającą się wizytę prezesa.

- Pewnie jest jej już wszystko jedno. Też by mi było - pomyślałem. I zacząłem się modlić. Błagałem Boga o spokój dla duszy zmarłej i błogosławieństwo dla rodziny.

- Nie zabieraj nam szczęścia. Przecież nie jesteśmy najgorsi. Wybacz mi grzechy moje i nie każ za nie całej rodziny - szeptałem głosem wewnętrznym, a ostatnia rozmowa z kolegą Majewskim wypalała piętno wstydu w mojej pamięci.

W końcu jednak zmęczenie zatryumfowało. Dopiero nad ranem zbudził mnie Ciapek oblizujący moją rękę.

- Dobrze, zaraz wyjdziemy - powiedziałem, gdy zobaczyłem jego oczy. Zamerdał z wdzięczności ogonem i spokojnie czekał na mnie przy drzwiach. Na dworze panował spokój. Świt dopiero zaczynał przeganiać z ulic wiosenną mgłę. Ciapek natychmiast pobiegł pod ścianę knajpy, podniósł nogę i zostawił na niej swój ślad. Spojrzał na mnie i zaczął biegać.

- Myślę, że to jest znak - usłyszałem za sobą głos Walczakowej, która przyglądała się nam ze swojego okna.

- Jaki znak? - spojrzałem na nią całkowicie zdezorientowany i zaskoczony.

- Ten pies.

- Po prostu zachciało mu się siku.

- Do tej pory nigdy pan z nim nie wychodził.

- No tak. Zwykle wstawał o wiele później.

- A widzi pan. To Mireczka kazała mu wyjść. Mnie też zbudziła, abym panu powiedziała, żeby nie bał się pan tej knajpy.

- Żartuje pani. Nie. Naprawdę mi się śniła i to powiedziała. Panie Bogusiu, to nie jest wymysł starej baby.

- Wierzę, ale porozmawiamy później - ukloniłem się i poszedłem za psem, który już wracał w kierunku naszej klatki schodowej.

Nie, nie odezwał się do mnie ludzkim głosem. Znowu ułożył się na zimnym łóżku teściowej i natychmiast zasnął. Też się położyłem.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Beata.

- Nic. Spij. Tylko wyprowadziłem psa.

- O tej porze. Nigdy tak wcześniej nie wychodził.

- Tak, ale tym razem chciał.

- Dziwne.

- Może, a może nie.

- Co masz na myśli?
- Sam nie wiem. Pies obsikał mury knajpy. Walczakowa mówi, że to znak od mamy, abyśmy nie rezygnowali z tego pomysłu.
- Jak możesz?
- Co?
- Mama nie żyje, a ty jeszcze na nią się powołujesz, aby upiec własną pieczeń.
- Przesadzasz. Na nikogo się nie powołuję. Tylko ci powtarzam, co powiedziała Walczakowa.
- Ona też jest dobra.
- Beatko, proszę cię.
- Daj mi spokój.

Dałem. Nie miałem ochoty na kłótnie. Leżeliśmy więc obok siebie. Zatopieni we własnych myślach. Dzień się budził coraz bardziej, a ja jeszcze chciałem zasnąć. Jak na złość, sen nie nadchodził. Za to co chwila mózg wydobywał kolejne odsłony scen z otwarcia naszej knajpy. Wszyscy jedli, pili, śmiali się i wznosili toasty, a moja teściowa ze swoim pułkownikiem tańczyli na parkiecie.

- Jeszcze. Tak właśnie trzeba się bawić - biłem im brawo, stojąc pośrodku knajpy, przepasany białym fartuchem.

- To już nie są czasy naszej młodości. Teraz szybciej się męczę - wyszeptał zadyszany pułkownik.

- Ależ kochany, jeszcze im pokażemy, co potrafimy. Tylko trochę odpocznę. Muszę jedynie poprawić makijaż. Poczekaj na mnie. Ta knajpa to był naprawdę fantastyczny pomysł - powiedziała najlepsza z teściowych.

I **zniknęła** za drzwiami odnowionej łazienki.. Pułkownik też nagle gdzieś się rozplątał, a ja wpatrywałem się w łazienkowe drzwi. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że przyglądam się drzwiom we własnej sypialni.

- A jednak do mnie też przyszła - postanowiłem opowiedzieć swój sen Beacie.

Niestety, jej poduszka była zimna. Widocznie wyszła wcześniej.

- Poszła na spotkanie losu - pomyślałem.

### **XXXVIII**

Przedtem jednak wyprawiła dzieci do szkoły i przygotowała mi do ubrania czarny zestaw - ciemnogrnatowe garniturowe spodnie, szarą koszulę i czarny pulower. Nieodwracalnie zaczęła się żałoba. Pewnie popłakałbym się na ten widok, gdyby nie świdrujący ciszę dzwonek komórki.

- Słucham?

- To ja. Dzwonię, bo już dałam nekrolog do gazety i ustaliłam z księdzem termin pogrzebu. Pojutrze o szesnastej. Grób będzie obok grobu ojca. Nawet nie **wiedziałam**, że mama już wszystko opłaciła. A teraz życz mi szczęścia, bo prezes akurat parkuje samochód obok naszego biura.

- Kocham cię, trzymaj się.

- Ty też - powiedziała i wyłączyła się.

Zrezygnowałem z jedzenia. Naprawdę nie miałem ochoty na nic. Ubrałem się i wyszedłem przed kamienicę w chwili, gdy przed drzwiami wejściowymi zaparkował pracownik zakładu pogrzebowego.

- Musi pan podpisać pełnomocnictwo do pobrania pieniędzy na pogrzeb z ZUS. One należą się każdemu ubezpieczonemu. To taka wyprawka na ostatnią drogę



- tłumaczył.

Podpisałem papiery bez dyskusji. Zgodziłem się także, aby wybrał i zamówił od nas wieniec z okolicznościową szarfą. To mu wystarczyło. Zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. W samą porę, bo w moją stronę szła już Krystyna.

- Bardzo współczuję - wyszeptwała. - Nie spodziewałam się.

- My też. Wczoraj jeszcze podtrzymywała mnie na duchu. Dzisiaj jest już zimna. Co to życie jest warte?

- Tyle, ile da nam los. Trzeba iść jednak dalej. Ona z pewnością by tak chciała.

- Na pewno.

- Niech pan więc spojrzysz do kuchni w knajpie. Przywieźli stoły. Właściwie można by już zaczynać działać, bo majster **Kiepuszewski** zabiera dzisiaj swoich ludzi - ożywiła się.

Miała rację. Narzędzia **murarsko**-malarskie stały przed knajpą. Sam mistrz **Kiepuszewski** lustrował jeszcze wnętrze.

- Pani Walczakowej nasza praca się podoba - zagaił niezbyt skromnie.

- Mnie też. Efekt aż mnie zaskoczył - przyznałem.

- Staraliśmy się. Szkoda, że szanowna teściowa już tu nie zatańczy.

- Też żałuję, ale za to może pan.

- A czemu nie, lubię z moją **Cześką** poczuć muzykę.

- To już zapraszam.

- Szczerze mówiąc, to od dawna czuję zaproszony na dobry obiad.

- Jasne, zapomniałem. Pan wybaczy?

- Ależ wybaczy. Teraz wszystko trzeba ci wybaczyć, Boguś - wtrąciła się do rozmowy Walczakowa - gładząc mnie swoją ręką po plecach. Aż mnie dreszcze po plecach przeszły, gdy poczułem, jak jest zimna. Sama Walczakowa wyglądała jak śmierć. Zapłakana, zmęczona i stara. Nie mogłem uwierzyć, że przez kilka godzin mogło jej przybyć z dziesięć lat.

- Nie przyglądaj mi się tak podejrzliwie. Po prostu dotknęło mnie odejście **Mireczki**, ale nie zamierzam się z tego tłumaczyć - wyprostowała się i bez problemów przeszła do rozliczeń z **Kiepuszewskim**.

- To ile pan żąda za to wszystko? - zapytała.

- Może usiądziemy? - zaproponował mistrzunio.

Już chciałem się do nich przysiąść, gdy znowu dała o sobie znać moja komórka. To dobijała się do mnie Beata.

- Bogdan, jeśli możesz, to przyjdź do mnie - usłyszałem, gdy wyszedłem na ulicę.

- Dlaczego tak nagle?

- Muszę się komuś wypłakać.

- Co się stało?

- Zwolnił mnie.

- Nie żartuj?

- Nie żartuję.

- Tak po prostu?

- Prawie. Zmieniają strukturę firmy i redukują moje stanowisko. Nasz oddział będzie wcielony do poznańskiego, a mnie prezes zaproponował organizację nowego w Suwałkach. To podobno dowód uznania. Słyszałeś? Mam się

spakować i jechać na koniec Polski!

- A jeśli nie?

- To się rozstaniemy. Oczywiście wypłacą mi odprawę. Wszystko odbędzie się zgodnie - jak to ujął - kulturą koncernu.

- I co ty na to?

- Jestem w szoku. Chyba nie chcesz, abym pracowała przy litewskiej granicy.

- Sam nie wiem. Jeśli chcesz. W dzisiejszych czasach wiele osób pracuje daleko od domu.

- Boguś, nie dobijaj mnie. Wystarczy, że prezes nie zważał na moją żalobę i czekający mnie pogrzeb. Chociaż ty okaż mi trochę serca, bo te dranie po prostu się mnie pozbyli.

- Może przesadzasz?

- Nie bądź naiwny. Tu trwa ciągła i bezwzględna walka. Komuś nie pasowałam, bo inaczej pozwoliliby mi pracować na niższym stanowisku.

- A co z twoimi ludźmi?

- Jeszcze nie wiem. Ten dupek z Poznania ma sobie dobrać zespół.

- To może wrócisz do domu. Odpoczniesz, a ja za cztery godziny wrócę, to porozmawiamy o przyszłości. Dobrze? Bo ja muszę jeszcze pogadać z Walczakową i mistrzem **Kiepuszewskim**, a potem mam dwie lekcje w szkole.

- Dobrze. Tylko wracaj szybko. Proszę. Naprawdę potrzebuję twojej obecności.

**XXXIX**

Pieniądze. Niestety, będą konieczne. Mistrz **Kiepuszewski** całość wykonanych robót z zakupem materiałów wycenił na 20 tysięcy złotych. **Jaruś** da 8 tysięcy, a ja z Walczakową mamy dołożyć po 6 tysięcy. Niby wszystko w rachunkach gra. Tyle, że ja już nie mam wolnej gotówki.

Myślałem o tym bez przerwy, gdy tylko wyszedłem z knajpy. Nawet na zajęciach ta myśl krążyła mi ciągle po głowie. Pod koniec drugiej lekcji wymyśliłem rozwiązanie: można sprzedać mieszkanie teściowej. Jest warte na pewno przeszło 40 tysięcy złotych.

- Ale jak ja to powiem Beacie? Jej mama jeszcze nie ostygła, pogrzeb dopiero przed nami, a ja już dzielę i sprzedaję dorobek jej życia. To wygląda paskudnie - biłem się z myślami. Nie chciałem wyjść na gnojka bez uczuć, choć przecież trzeba myśleć praktycznie.

Kiedy wróciłem do domu, Beata, cała w czerniach, siedziała przy stole w kuchni i opychała się lodami **polanymi aierkoniakiem**.

- Chcesz? To jest podobno najlepszy sposób na chandrę - zaproponowała.

Pewnie, że chciałem. Jedzenie zawsze poprawiało mi nastrój. Beacie chyba także, bo już nie płakała. Tylko szare wory pod oczami były śladem emocjonalnych wyładowań.

- Popełniłam przestępstwo - oznajmiła, gdy usiadłem naprzeciw niej.

- Ty?

- Tak. Byłam w mamy mieszkaniu, zabrałam jej książeczkę oszczędnościową, której jestem współwłaścicielką i wybrałam z niej pieniądze. 20 tysięcy złotych.

- Dlaczego przestępstwo?

- Bo chyba powinnam zgłosić w banku, że mama nie żyje?

- Dlaczego? Przecież jesteś współwłaścicielką.

- Też tak myślę, ale przepisy chyba są inne.
- Skądś wiedziałaś o tej książeczce?
- Mama mi powiedziała.
- Kiedy?
- Jeszcze w Poznaniu. Zaraz po operacji. Gdy zaczęła myśleć o swoim pogrzebie i nagrobku.
- Dlaczego nic o nich nie mówiłaś?
- Po co? W końcu to były jej pieniądze
- No tak. A co teraz z nimi zrobisz?
- Zainwestujemy w knajpę. Najpierw nasza przyszłość, a potem nagrobek.
- Jesteś pewna?
- Bez dwóch zdań. Coś przecież muszę robić, bo wygnanie do Suwałek mnie nie interesuje. Po prostu wchodzę w ten interes. Mieszkanie mamy wynajmiemy, a ty zostajesz w szkole. Tak będzie najlepiej i najbezpieczniej. Już to przemyślałam.
- Była tak zdecydowana, że dyskusja raczej nie wchodziła w grę.
- Skoro tak, to muszę ci jeszcze coś powiedzieć.
- Co?
- Musimy wnieść swój udział w koszty remontu knajpy.
- Ile?
- Sześć tysięcy.
- Czego?
- Złotych.
- Kamień z serca.
- I jeszcze jedno.
- Co?
- Dostałem od wicekuratora propozycję wyjazdu do Talina, aby tam organizować szkołę polską.
- Żartujesz?
- Nie.
- To chyba jakaś epidemia?
- Nie. To się nazywa zbieg okoliczności.
- Raczej porypany los.
- Niech będzie.
- Zamierzasz skorzystać?
- A jak sądzisz?
- Nie wiem.
- Ale ja wiem. Przecież cię nie opuszczę. Teraz kiedy możemy zrobić coś nowego i naszego.
- Nie będziesz zazdrosny? Bałam się, że się na mnie wkurzysz za tę knajpę. W końcu wchodzę butami w twoje marzenie.
- Witam na pokładzie. Miejsca starczy dla dwojga.
- Dziękuję - powiedziała i zaczęła mnie namiętnie całować. Wyjątkowo smakowicie. Po chwili byliśmy już w łóżku. Tak przypieczętowaliśmy nowy układ małżeński. Choć zmęczeni i spoceni czuliśmy, że wstępują w nas nowe siły.
- Nie boisz się pogrzebu? - zapytałam, gdy się sobą nasyciliśmy.

- Teraz już nie. Bo wiem co robić.

Byłem jej wdzięczny za tę pewność. Nadawała się na przywódcę stada lepiej niż ja. Sam zawsze miałem zbyt dużo wątpliwości i alternatyw, z których zresztą zazwyczaj niewiele wychodziło. Teraz też przez skórę czułem, że Beata ratuje moje marzenie. Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tą całą sytuacją, bo do mieszkania wparował właśnie Rafał. Zanim zdążyliśmy się ubrać, już był w naszej sypialni. Zdenerwowani i przyłapani **in flagranti** przykryliśmy się po szyję kołdrami.

- **Sorry**. Nie sądziłem, że o tej porze może się wam zebrać na amory. Poza tym zapomnieliście, że jutro pogrzeb? Chyba nie wypada, abyście się tak zachowywali na kilka godzin przed ostatecznym pożegnaniem z babcią - stanął przed nami i zaczął pogadankę umoralniającą.

- Rafał, po prostu wyjdź i idź do siebie. Nie życzę sobie takich uwag - Beata **powiedziała** to tak surowym tonem, że nawet nie zaprotestował. Odwrócił się na pięcie i trzasnął drzwiami.

My natomiast **zamilkliśmy**. Bez słowa ubieraliśmy się w pośpiechu jak w czasach studenckich, gdy ukrywaliśmy ślady naszej namiętności, aby moja świętej pamięci teściowa mogła żyć w przekonaniu, że zachowujemy czystość przedmażeńską. Teraz byliśmy gotowi zrobić to samo, ale nie wyszło, bo nasze dzieci, przynajmniej syn, nie ma w sobie już tyle delikatności co starsze pokolenie.

- Chyba się nie gniewasz, że tak w biały dzień rzuciłam się na ciebie? - zapytała się nagle Beata.

- Nie, dlaczego? To chyba dobry znak. Taka pieczęć naszej miłości - uśmiechnąłem się

- Mam nadzieję, że ta pieczęć nie okaże zbyt mocna.

- Nie rozumiem?

- Nie jestem pewna, czy dobrze policzyłam dni od ostatniej miesiączki.

- I dopiero teraz mi to mówisz?

- A czy to coś zmienia?

- Nie, ale wolałbym wiedzieć, kiedy mam zostać ojcem. Jestem za świadomym planowaniem rodziny.

- Naprawdę? Chyba już zapomniałeś, jak zrobiliśmy Rafała. Jakoś nie zauważyłam, abyś wtedy coś planował - śmiała się Beata, przetrzepując poduszki i układając kołdrę.

Wolałem już nie dyskutować. W końcu Rafał rzeczywiście przyszedł na świat dlatego, że znajomi trochę nie spóźnili na partyjkę brydża do naszego **akademikowego** pokoju, a my byliśmy tak spragnieni siebie, że postanowiliśmy wykorzystać te parę minut na obcowanie pierwszego stopnia. Na samo wspomnienie tej sytuacji poprawił mi się humor i pewnie rzuciłbym się znowu na Beatę, gdyby nie powstrzymał mnie widok jej żalobnego stroju.

- Wybacz, najlepsza z teściowych. Ale to chyba dobry znak dla przyszłości naszego małżeństwa - pomyślałem i poszedłem do kuchni, aby zrobić coś do jedzenia naszemu zgłodniałemu synowi. W końcu widok rodziców w negliżu mógł przyspieszyć jego przemianę materii.

**XXXX**

- To zapraszamy na skromną stypę. Proszę nie uciekać. Spotkamy się w oberży "Rzym". Naprzeciw mieszkania państwa **Małeckich**. Pan, panie burmistrzu też jest zaproszony - Walczakowa robiła wszystko, aby uczestnicy pogrzebu nie rozpięchli się po kątach. Nawet księdza proboszcza Felicjana **Różalskiego**, który odprawił nabożeństwo pogrzebowe, trzymała za rękaw i ciągnęła za sobą w stronę **busa**, aby usadzić go obok siebie i dowieźć szczęśliwie do oberży. Miałem wrażenie, że robi to bardziej z powodu knajpy niż stypy po koleżance, ale w końcu jakie to miało znaczenie.

- Szanowna pani, tak nie można. Na mnie dzisiaj czeka tyle spraw, że nie mogę marnować cennego czasu na jedzenie - duchowny usprawiedliwił się i cały czas wypatrywał stosownego momentu, aby dać drapaka. Niestety, nie miał szczęścia, bo tuż obok niego usiadł burmistrz **Bobiński**, a Walczakowa tak umiejętnie ich zagadała, że nawet się nie zorientowali, kiedy samochód ruszył w kierunku centrum miasta. Kolumnę otwierał **Jaruś**, który razem ze swoją **Agnes** jechał dostojnie mercedesem. Ja z Beatą wsiedliśmy do podstarzałego forda Emilii **Włodarskiej**, która również w ostatniej chwili stawiała się na pogrzebie z niewielkim wieńcem od rady pedagogicznej naszej szkoły.

- Współczuję ci z całego serca. Sama przed rokiem przeżyłam śmierć ojca i wiem, jak to boli - mówiła spokojnie i bardzo szczerze, kiedy przyszło do składania kondolencji. Nawet jej wielki biust zachował w tym momencie należną powagę, co odnotowałem bez dziwienia. Zaskoczył mnie natomiast burmistrz, który zaczął wspominać wspólne tańce z teściową.

- To była kobieta do tańca i różańca. Łączyła dobroć serca z łagodnością obyczaju i wyrafinowanym poczuciem humoru - w krótkim wystąpieniu rozwodził się nad zaletami mojej teściowej, choć założył się, że ostatni raz tańczył z nią w latach sześćdziesiątych. Jeśli w ogóle to robił, bo jest od niej o parę lat młodszy. Wolałem jednak nie drażnić tej kwestii, aby nie drażnić władzy, tym bardziej że na widok oberży **Bobiński** wpadł w zachwyty.

- Ten lokal wygląda jeszcze lepiej niż za czasów swojej pierwszej młodości. Zdolni ludzie potrafią stworzyć coś z niczego - rozpywał się w pochwałach. A już naprawdę urzekł go rozpalony kominek, który witał zebranych jasnym płomieniem i ogrzany powietrzem, miło kontrastującym z wilgotną szarówką na zewnątrz.

Kariatyda ze swoją pomocnicą w białych bluzkach, zielonych spódnicach i czerwonych fartuchach już czekały na gości. Wyglądały, jak prawdziwy personel. Byłem z nich dumny.

- Proszę usiąść. Miejsc starczy. Tam, gdzie państwo sobie życzyście - komenderowała Beata, cała w czerniach - włącznie z czarnym kapeluszem i takimi samymi rękawiczkami. Zaraz jednak pobiegła do kuchni i razem ze swoim pomocnicami zaczęła roznosić świeży, jeszcze parujący rosół. Wazy na obrusach w kratę razem z zastawą z Chodzieży prezentowały się bardzo dobrze. Zapach rosółu i ręcznie robionego makaronu wyciszył całe towarzystwo.

- Bardzo dobry rosółek - pochwalił poczęstunek **Jaruś**, przerywając przetykaną siorbaniem ciszę nad stołem. - Poproszę o dokładkę.

- Faktycznie, doskonały - włączył się burmistrz. - Taki domowy i swojski. Pewnie wiele osób będzie chciało go spróbować. Nie omieszkać go pochwalić w

ratuszu.

- Pani Krysiu, dokładka dla pana burmistrza. Za takie komplementy należy mu się - wtrąciła się Walczakowa. Burmistrz nie protestował. Przeciwnie oblizał się ze smakiem..

Chętnych na dokładkę było więcej. Rosołu musiało jednak jeszcze starczyć dla naszego komendanta, który właśnie pojawił się w drzwiach lokalu.

- Przepraszam, ja właściwie tylko do pana **Małeckiego**. Można na słówko? - powiedział.

Dobrze się domyśliłem. Przyjechał w sprawie **haraczownika**. Właśnie policjanci zatrzymali młodego człowieka, który próbował wydostać pieniądze od **właściciela** drogerii.

- Chciałbym zrobić konfrontację. Przyjechałem ustalić, kto właściwie w państwa lokalu miał bezpośredni kontakt z napastnikiem - mówił, zezując jednocześnie w stronę stolików.

- Nie ma sprawy. Zaraz wszystko ustalimy, ale może najpierw pan **komendant** spróbuje **rosołku**? - zapytałem.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu?

- Ależ to **żaden** kłopot - wtrąciła się Beata i poprosiła komendanta do naszego stolika. Pełny talerz parującego rosołu już na niego czekał. Był tak gorący, że po dwóch łykach komendant regularnie się spocił. Wielkie krople potu spływały mu po nosie, spadając do rosołu. Starłem się tego nie widzieć, aby nie krępować gościa.

- A teraz niespodzianka. Za chwilę podamy ulepione osobiście przez szefową kuchni - panią Krysię i jej pomocnicę Justynę - pierogi z mięsem w sosie grzybowym - znowu zabrała głos Beata, zaczerwieniona od kuchennego gorąca. Jak na debiut w nowej roli, wypadła świetnie, choć pół nocy pomagała Krysi w lepieniu pierogów i przez **godzinę** zastanawiała się, jak doprawić farsz Tymczasem Justyna spokojnie, ale trochę niezgrabnie zbierała rosołowe talerze na wózek, który kupiliśmy zaledwie kilka godzin przed stypą. Goście jednak nie zwracali uwagi na nieporadność kelnerki. Bardziej ich fascynował nowy zapach wydobywający się z kuchni.

- Niebo w gębie - odezwał się Stefan **Grzegorzczyk**, który do tej pory siedział w kącie i milcząco przyglądał się burmistrzowi żywo dyskutującemu z proboszczem. Ponura mina zdradzała jego źle skrywaną obsesję: znowu myślał, jak **Bobińskiemu** odebrać władzę. - Pierogi smakują lepiej niż rządy w ratuszu - rzucił zadziornym tekstem, ale jak zwykle został zignorowany. Burmistrz nawet nie przerwał rozmowy, a Walczakowa zagłuszyła Stefana udawanym śmiechem z jakiegoś żartu **Bobińskiego**. Wyćwiczona za komuny dyplomacja doskonale sprawdzała się w nowych czasach. Ja z kolei zabawiłem komendanta, który szybko uporał się z rosołem i bez oglądania się na innych zabrał się za dużą porcję pierogów.

- Naprawdę czuć dobrą, ręczną robotę. Zgadzasz się ze mną **Emilko**? - próbował rozpocząć rozmowę z moją chlebobawczynią, która wyraźnie była nie w sosie.

- Tobie wszystko smakuje, więc się nie wysilaj z pochwałami - zgasła go jednym zdaniem.

- Co cię gryzie? Pewnie ci dokucza samotność? - nie poddawał się.
- Gdybym miała spędzać czas z tobą, to wolę samotność - odparła z grubej rury. Komendant spurpurowiał i zamilkł.
- Może jednak porozmawiamy na stronie? - zaproponował mi, gdy nie przerywałem męczącej ciszy.
- Jeśli chcecie, to się przesiądę? - obrażonym tonem odezwała się Emilia, szukając nerwowo w swojej torebce papierosów i zapalniczki.
- Poczekaj, musimy porozmawiać - poprosiłem, zanim wyszedłem za komendantem.
- Jak pan może z nią pracować? To się robi coraz **wredniejszy** babsztyl - komendant dał upust swoim emocjom.
- Niech pan nie przesadza. Po prostu się nie lubicie. I tyle.
- Może, choć to prawie nie do uwierzenia, żeby jeden pocałunek po pijaku tak ją do mnie nastawił na całe życie.
- Niektóre bywają pamiętliwe. Inne szybko zapominają.
- Wolę te drugie.
- Nawet w czasie śledztwa.
- No, wtedy może nie.
- Dobrze, więc jutro przyjdzie do pana Krystyna z Justyną. To one miały do czynienia z napastnikiem. **Zobaczy** pan, co pamiętają.
- Czekam z rana. Najlepiej po godz. 8.
- Powiem im.
- Dziękuję, a swoją drogą pierogi są prima sort. Przyjdę na nie z żoną. Dobrze by było, gdyby podawano do nich zimne **piwo**.
- Będzie, gwarantuję.
- Zatem żegnam.
- I kołysząc się z nogi na nogę powlókł się w kierunku służbowego poloneza, za którego wynurzyła się para znajomych studentów.
- Panie **Małecki**, pan zaczeka - **krzyknął** na mój widok rudzielec.
- Słucham?
- Zdecydowaliśmy. Chcemy zrobić wesele w pana lokalu - powiedział rudzielec.
- Dobrze. Moja żona bardzo chętnie państwa obsłuży.
- Żona, a nie pan?
- Ja jej pomogę, ale to żona poprowadzi knajpę.
- Jasne. Dla nas to bez różnicy. Liczy się, żeby wszystko grało.
- Będzie. Postaram się, ale szczegóły może omówimy jutro, bo dzisiaj mamy tu stypę po mojej teściowej.
- Współczujemy.
- Dziękuję. Możemy się umówić na siedemnastą w lokalu. Omówimy wszystkie szczegóły. A państwo wpłacie nam 1000 złotych zaliczki.
- Jasne. To do jutra - powiedział rudzielec. Przytulił do siebie swoją **pieguskę** i oddalili się w kierunku **późnego** wiosennego słońca, które na koniec dnia ogrzało miasto.
- Emilia tymczasem nerwowo kręciła się na krześle przy naszym stoliku.
- Poszedł?
- Musiał wracać do roboty.

- I bardzo dobrze. Działa mi na nerwy.

- Zauważyłem.

- Trudno, nie mogę na niego patrzeć.

- Nie jest taki zły. W końcu telefony od **bombiarzy** ustały.

- Mimo to nie chcę z nim gadać. To nie jest typ **mężczyzny**, którego towarzystwo mi odpowiada - powiedziała i zaciągnęła się papierosem.

- A ja też cię denerwuję?

- Mniej. Raczej dlatego, że nie wiem, co naprawdę zamierzasz zrobić. Odchodzisz ze szkoły? A może jedziesz do Tallina?

- Ani jedno, ani drugie. Zostaję i nadal będę uczył, jeśli nie zamierzasz oddać etatu komuś innemu.

- A ten interes?

- Będzie go prowadzić Beata.

- Dlaczego? Przecież to ty go wymyśliłeś?

- Życie płata figle. A poza tym ona ma talent menedżerski i postanowiła spróbować coś na swoim. Zresztą będę jej pomagał w kuchni, bo lubię gotować

- Nie żal ci Tallina?

- Ten pomysł był tak nierealny, a poza tym ja nie mam natury wędrownika. Jest mi dobrze w miejscu, gdzie mieszkam.

- Spodziewałam się tego, więc etat zarezerwowałam dla ciebie. Ale w takiej sytuacji porozmawiam z kuratorem. Może ja bym pojechała do Estonii.

- Chciałabyś?

- To mogłoby być ciekawe doświadczenie. Jeśli się mi uda, to zwolni się etat dyrektora. Interesowałby cię?

- Nigdy o nim nie myślałem. Wiesz, że nie kopałem pod tobą.

- Wiem.

- Koniec tego gadania. Teraz czas na deser. Zaraz podamy gruszkę Walczakowej - przerwała nam Beata, prezentując wyraźnie skonfundowaną współniczkę.

- Beatko, nie przesadzaj. Tylko bez pochwał przed degustacją. Najpierw państwo spróbują, a potem proszę o oceny - broniła się Walczakowa.

- Na pewno będzie smaczny ten deser - zapalił się proboszcz, który już zdążył zapomnieć o obowiązkach w parafii.

- Staralam się, aby przypominał smak z czasów mojej młodości. Ale co ja będę się tłumaczyła. Proszę spróbować i pomyśleć choć przez chwilę o Mirce. Ona na pewno by go polubiła - Walczakowej zadrżał głos, a burmistrz szybko ją przytulił i usadził obok siebie.

- Płacz czasem pomaga. Nie wolno się go wstydzić, ale spróbujmy tego doczesnego dobra - zarządził ks. proboszcz.

- Bardzo dobre. Moim koleżankom ten deser będzie smakował - odezwała się moja córeczka i zaraz zamilkła, gdy tylko dojrzała złowieszcze spojrzenie swojej matki, która wyraźnie nie życzyła sobie tak nachalnej reklamy ze strony rodziny.

Tymczasem **Agnes** coś szeptała do **Jarusia**, który w końcu zdecydował się zabrać głos. - W imieniu mojej żony i własnym muszę powiedzieć, że to bardzo smakowity początek życia oberży. Nie spodziewałem się co prawda, że spotkamy się tu razem po raz pierwszy w tak smutnych okolicznościach, ale



jednocześnie cieszę się, że to nasze wspólne przedsięwzięcie zaczyna funkcjonować. Szkoda tylko, że z tej okazji nie możemy wypić toastu - powiedział.

- Jak możesz? - odezwała się Walczakowa.

- Ależ nie kłóćcie się państwo. Jeśli otrzymam wniosek, to wydam koncesję na sprzedaż alkoholu. Jeszcze wypijemy ten toast. Chyba jednak teraz nie wypada mówić o tak prozaicznych sprawach. Ze swojej strony gratuluję. Początek państwa działalności jest pyszny. A teraz chciałbym się pożegnać, bo już wzywają mnie obowiązki - podjął wątek burmistrz i szybko pobiegł do służbowego samochodu, który na niego już czekał przed lokalem. Tym sposobem dał sygnał do odwrotu. Po kilku minutach zaczęli wychodzić inni. Wkrótce zostaliśmy w rodzinnym gronie.

**XXXXI**

- Czy został jeszcze deser? - zaczął wypytywać się Rafał, kiedy tylko zorientował się, że wreszcie może czuć się jak w domu.

- Ty łakomczuchu. Całego deseru już nie ma. Wszystko zostało zjedzone, ale w kuchni stoi miska z resztą bitej **śmietany** - śmiała się Krystyna.

- Super. Zaraz sobie nabiorę.

- Tylko nie wyjadaj śmietany paluchami z miski - ostrzegła go Beata.

- Dobrze, dobrze.

Sama usiadła obok mnie, wyciągnęła nogi i położyła je na wolnym krześle.

- Jestem skonana. Nogi mnie przeraźliwie boją.

- To przechodzi. Trzeba się przyzwyczaić. Ja w swojej budzie stałam nawet po trzydzieści godzin. Jak wrócisz do domu, wsadź nogi w ciepłą wodę z solą kąpielową. To pomaga - włączyła się z dobrymi radami Walczakowa, która przydreptała do nas z ciepłymi herbatami.

Krystyna, Justyna i nasza **Zuza** natomiast intensywnie sprzątały.

- Lokal musi lśnić, bo jutro pojawi się tutaj sanepid. Była tu już dzisiaj w tej sprawie taka młoda inspektorka, ale gdy jej powiedziałam, że jesteście na pogrzebie stwierdziła, że przyjdzie jutro - relacjonowała Krystyna, zgrabnie strzepując obrusy na stolikach.

- Jeszcze nie zaczęliśmy, a już tu krąży - zdenerwowała się Walczakowa.

- To jest małe piwo. Kontrolni się nie boję. Z nimi się jakoś dogadamy. Trzeba natomiast opracować do końca menu. Brakuje nam pomysłów na zupy - zmieniła temat Beata, masując swoje nogi.

- Proponuję grochową na uczuciach - powiedziałem.

- Pierwszy raz słyszę o takiej zupie - włączyła się **Zuza**. - To jakaś dziwaczna nazwa. Lepiej wymyśl coś normalnego. Na przykład grochowa na schabie.

- A mnie się podoba. Nazwa jest zaskakująca i intrygująca, bo uczuć jest wiele. Każdy klient może mieć swoje skojarzenia- zaczęła mnie bronić Beata. Po chwili dołączyła do niej Walczakowa, a nawet Justyna, według której ta nazwa będzie poetycka.

- Dlatego to nie może być zupa gęsta. Ostrożnie z zasmażką i śmietaną - radziła Walczakowa.

Pewnie nawet najlepsza z teściowych byłaby za tą nazwą, bo też lubiła romantyczno-poetyckie nastroje. Ja już nic nie mówiłem. Tylko delektowałem się

tymi dobrymi uczuciami, które rodziły się wokół mnie. Obserwowałem twarze moich rozgadanych kobiet i Rafała skupionego na wyjadaniu resztek bitej śmietany. Po raz pierwszy od dawna poczułem wewnętrzny spokój. Dotarło do mnie poczucie, że robimy coś dobrego. Nie tylko po to, aby zarobić pieniądze, ale jakoś się wewnętrznie spełnić.

- O to, synku, właśnie chodzi - usłyszałem nagle w głowie głos teściowej.

Tak, byłem pewien, że czuwa nad nami.

- Pani Krystyno. Jutro odwiedzi pani jednak policję. Czekają tam na panią i Justynę - przypomniałem sobie

- Słucham? - Krystyna stanęła przerażona pośrodku sali, a ręce, w których trzymała tacę pełną szklanek, aż jej się zatrzęśły.

- Nie ma powodu do obaw. Po prostu komendant poinformował mnie, że zatrzymali dzisiaj jakiegoś haraczownika i chciałby się dowiedzieć, czy to ten sam, który napadł Justynę. Komendant będzie jutro czekał na panie po godz. 8.

- Jesteś nieludzki. Zupełnie niepotrzebnie wystraszyłeś panią Krystynę i nawet nie masz wyrzutów sumienia - zdenerwowała się Beata.

- Przepraszam. Nie chciałem. Następnym razem się poprawię - podbiegłem do pani Krysi i przejąłem od niej tacę ze szklankami, bo ciągle zbyt mocno drżały. Wolałem, żeby w pierwszym dniu działalności nie doszło do kolejnych strat. Już przecież wydaliśmy kilkaset złotych na stypę, która - miałem taką cichą nadzieję - okaże się także formą promocji.

- To kto jutro od rana będzie w lokalu? - zaniepokoiła się Walczakowa.

- Może ja? - usłyszeliśmy nagle za plecami. Przy drzwiach stała kruczowłosa Agnieszka Kurzajło, córka naszej sponsorki z koła gospodyń wiejskich.

- A czemu nie. Prosimy do nas. Beato, pozwól, że ci przedstawię córkę pani Marysi, która udostępniła nam zastawę i kilka innych nie mniej ważnych elementów wyposażenia. Bez jej wsparcia moglibyśmy tylko pomarzyć o otwarciu knajpy. Teraz to zbuntowane dziewczę zdecydowało się u nas rozpocząć życiową praktykę. Dobrze mówię?

- Może nie w szczegółach, ale zasadniczo tak. Chciałabym jednak spróbować, bo moje ambitne plany okazały się w tym mieście niewykonalne, a ja nie mogę już wytrzymać z mamą w gospodarstwie. Za bardzo sobie działamy na nerwy - wyznała bez zahamowań.

- No to witamy na pokładzie - ucieszyła się Beata i zabrała dziewczyny do kuchni, aby omówić szczegółowy plan na następny dzień.

## XXXXII

- Niech pan uważa. Emilia jest dzisiaj rozdrażniona. Woźna już płacze w piwnicy. I to się pewnie tak nie skończy - ostrzegawczo zaczęła szeptać nasza Zośka, gdy tylko przekroczyłem próg szkolnego sekretariatu. Nic więcej nie zdołała dodać, bo Emilia już z impetem otworzyła drzwi od swojego gabinetu.

- Proszę, kogo ja widzę. Jesteś zdrajcą - zaczęła z grubej rury, ale zaraz spojrzała groźnie na Zośkę, zamilkła i gestem zaprosiła mnie do siebie.

Zośka wywracała oczami, a ja wszedłem go gabinetu Emilii jak na ścięcie. Zupełnie mnie zaskoczyła tym wybuchem. Nie miałem pojęcia, co ją znowu ugryzło.

- Opowiadasz mi głodne kawałki, a w gazecie jak byk piszą, że to ty zakładasz

knajpę. Zdecyduj się człowieku, kiedy mówisz prawdę - mówiła dobitnie i waliła wskazującym palcem w egzemplarz "Wieści Powiatowych", który leżał przed nią, otwarty na stronie z moją bezczelną głową.

- Pewnie łachudra napisał jakieś niestworzone rzeczy - pomyślałem jak najgorzej o malowanym gryziopórku. Ale nic strasznego nie napisał. Podał jedynie, że jestem współwłaścicielem spółki, która otwiera "Rzym".

- Nie denerwuj się. Formalnie rzeczywiście jeszcze jestem w spółce, ale za kilka dni to się zmieni. Na moje miejsce wejdzie Beata. Gdy rozmawiałem z dziennikarzem, jeszcze nie wiedziałem, że tak będzie. Życie jednak płata figle - starałem się jej tłumaczyć sytuację najspokojniej, jak potrafiłem.

- Co się stało? - Emilia sondowała dalej.

- Likwidują jej oddział, a Beacie zaproponowali wyjazd do **Suwałk** na nową placówkę. Ona odbiera to jako karne zesłanie. Dlatego postanowiła pójść na swoje, bo nie chce już patrzeć na bezczelną twarz prezesa, który przedstawia ludzi jak pionki. I tyle - powiedziałem jej w końcu wszystko.

- Faceci to jednak świnię. Mnie kurator też powiedział, że mam się trzymać stołka i nie myśleć o głupotach, bo on kobiety na tak odpowiedzialną stanowisko do Rygi nie wyśle. Po prostu zwykły wieprz - głos jej zdrzął i prawie się popłakała.

- Ja na pewno tam nie pojedę. Będę pomagał Beacie, ale chcę nadal uczyć. Mam nadzieję, że nic przeciw temu nie masz? - zapytałem z lekkim strachem.

- Przecież już ci mówiłam, że mam etat dla ciebie. Nie jestem jak chorągiewka. A teraz już idź. Chcę zostać sama - usiadła przy swoim biurku i odwróciła głowę w kierunku kwitnących kasztanów, które puszyły się za oknem.

- Co się stało? Jest jeszcze gorzej? - zapytała konspiracyjnie Zośka, gdy tylko wyszedłem z gabinetu **Emilki**.

- To tylko chandra. Niedługo jej minie. Niech pani da jej odpocząć od ludzi - poradziłem i poszedłem do siebie, aby się przygotować do lekcji. Przed kantorkiem siedziała jednak Jagoda **Korotki**. Z rozmazanym tuszem pod oczami i zmęczeniem na twarzy typowym dla zdradzonej kobiety.

- Co ci się dziecko stało?

- Rodzina mi się rozpada.

- Tobie? Niemożliwe. Takie przykładowe małżeństwo jak twoich rodziców szybko się nie rozpada - uspokajałem ją, gdy usiedliśmy w mojej jamie.

- Szybko może nie, ale za to nerwowo.

- Daj spokój. Nie musisz mi nic mówić.

- Ale chcę, bo już nie mogę wytrzymać.

- A o co poszło? - starałem się pytać jak najdelikatniej, aby nie ujawniać tkwiącego we mnie pędu do sensacji.

- O list, ale nie taki zwykły. Przed kilku tygodniami mama wysłała tatę do sanatorium, bo już od dawna nie miał wakacji. Chciała mu zrobić przyjemność. I zrobiła.

- Nie rozumiem?

- W piątek listonosz dał jej list do **ojca**. Z odbitą pomadką na kopercie. I wtedy coś ją tknęło. To był list od kochanki.

- Niemożliwe?

- Możliwe. Napisała, że tata ma najpiękniejszą **dupeczkę** na świecie i że za nim tęskni.

- A może to jest jakaś zemsta. Sprawdź, czy ojciec ostatnio kogoś nie zwolnił. Znam ludzi, którzy uwielbiają podkładać świnię - starałem się zachowywać spokój, choć sceny z ostatniej rady pedagogicznej stanęły mi od razu przed oczami.

- Też tak pomyślałam, ale ojciec wyprowadził się z domu. Matka uważa, że w ten sposób się przyznał. Wczoraj zaczęła pisać pozew rozwodowy. Boję się, że już nic się nie da zrobić. Przyszłam do pana po radę. Chcę też zrezygnować z konkursu, bo w tej sytuacji nie jestem w stanie normalnie funkcjonować.

- Uspokój się. Wiem, że to nie jest łatwe, ale nie popadaj w totalną rezygnację. Taki jest świat dorosłych. Sylwia **Plath** też przeżyła takie właśnie dramaty. Może właśnie teraz najlepiej pokażesz uczucia z jej książek.

- Niech pan nie będzie cyniczny - zdenerwowała się i poderwała na krzesło.

- Nie jestem, ale trzeba żyć i nie poddawać się **przeciwnościom**. Jestem pewien, że twoi rodzice się pogodzą. Muszą tylko przeżyć rozczarowanie. To naprawdę boli. Czytałaś przecież **Hłaskę** i sama to przeżywałaś.

- Może ma pan rację, ale mnie jest ciężko. Naprawdę.

- Wierzę ci. Dajmy sobie tydzień. Potem znowu pogadamy. Dobrze? A teraz idź i ćwicz repertuar. Za dwa tygodnie już konkurs. Pamiętaj, to twoja szansa.

- Sama nie wiem, ale dobrze. Na razie się nie wycofuję.

- I popraw sobie makijaż - próbowałem się miło uśmiechnąć.

- Szczerze mówiąc, to nie chce mi się. Jest mi obojętne, jak wyglądam.

- To niech ci nie będzie obojętne. Idź do toalety i się popraw.

Poszła, a ja zostałem z przeświadczeniem, że właściwie to ją zbyłem, ale jakoś nic bardziej rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. Przecież nie polecę do naszej szkolnej **psycholożki** -największej plotkary w szkole, dla której taki **news** byłby skarbem. Poszedłem za to do kiosku, aby sobie kupić papierosy, bo po raz pierwszy od kilkunastu lat poczułem potrzebę zapalenia dla uspokojenia nerwów.

- **Camele**, poproszę - powiedziałem do kioskarki. I zaraz zdębiałem, bo zza rogu wyłoniła się nasza walnięta **Ewka** ze swoim Stefanem pod rękę. Szli jak para gołąbków gruchających nad swoim szczęściem. Nie mogłem uwierzyć. To było jak fatamorgana.

- Dzień dobry - usłyszałem za plecami obrażony głos **Ewki**, choć robiłem wszystko, aby udać, że ich nie dostrzegam.

- Cześć - powiedziała słodko, gdy się odwróciłem. - A jednak nie udało ci się nas rozdzielić. Miłość jest silniejsza.

Spojrzała na rozanielonego Stefana i poszli do szkoły. Nie, nie mogłem uwierzyć. Po prostu te słowa wydawały się nierealne.

- Czy coś się stało, panie **MałECKI**? Tak pan zbladł - zaniepokoiła się kioskarka.

- Nie, **przeżyłem** szok poznawczy.

- To coś groźnego?

- Nie, dziękuję. Minie. Wypalę papierosa i będzie lepiej.

### XXXXIII

Tuż po lekcji z III a odezwał się wibrator komórki. Dzwoniła Beata.

- Czego pragnie moje szczęście?  
- Mam dobrą i jeszcze lepszą wiadomość?  
- Zaczynij od dobrej?  
- Dostałam miesięczkę.  
- Super. A jednak nocne pobudki nas znowu nie czekają. Chyba bym już ich nie zniósł.  
- Ale za to będzie nocne lepienie pierogów.  
- Dlaczego?  
- Bo jest na nie zbyt.  
- Naprawdę?  
- Wysłałam Agnieszkę w teren, aby się zorientowała, czy byliby chętni na obiady abonamentowe. I wyobraź sobie, że są. Spółdzielnia inwalidów chce od nas brać dziennie 60 obiadów. Dwa dania za sześć złotych dziennie. Najlepiej od jutra. Krystyna z Justyną już robią surówki. Ty będziesz ugniatał ciasto na pierogi, a ja obsłużę klientów.  
- Jakich klientów? Przecież nikt jeszcze nie wie, że otworzyliśmy interes.  
- Zapomniałeś o "Wieściach Powiatowych". To była darmowa reklama. Ludzie przyszedli zobaczyć, co się nowego dzieje na naszej ulicy. Zaproś tego dziennikarza. Należy mu się od nas piwo. Jutro już będziemy je mieli. Wszystko załatwiłam - podniecała się Beata.  
- Uspokój się. Przez tę notkę dzisiaj Emilia była mnie gotowa wyrzucić z pracy.  
- Dlaczego?  
- Bo doszła do wniosku, że ją oszukałem.  
- Nie rozumiem?  
- Dajmy spokój. Później ci opowiem, bo na szczęście wszystko się wyjaśniło. W porządku zaraz u was będę.  
Rozłączyłem się i usiadłem na ławce pod kasztanem, aby zebrać myśli. Słońce grzało już prawie jak latem. A ja poczułem się zmęczony. Młoda Polska wirowała mi w głowie na zmianę we wspomnieniu **walniętej Ewki** i zapłakanej Jagody. To wszystko działo się tak szybko, że najchętniej teraz znalazłbym się z Beatą gdzieś na bezludnej wyspie. Siedzielibyśmy sobie na złotym piasku i pływali w błękitnej lagunie. Nadzy, opaleni i beztroscy.  
- Do czego się pan tak uśmiecha, panie profesorze? - w moją piękną wizję wdarł się skrzeczący głos Felusia Arizony, który ze skrzywioną gębą gapił się na mnie natrętnie.  
- Do życia, bo jednak jest piękne.  
- A kto mówi, że nie?  
- Właśnie.  
- Jak da mi pan złotówkę, też będę szczęśliwy. Pan, bogaty restaurator, powinien wspomagać lud w potrzebie - dopominał się swojej daniny.  
- A masz człowieka. Niech ci wyjdzie na zdrowie.  
- Dziękuję, panie profesorze. Niech Bóg Panu wynagrodzi.  
- Oby nie w **kolejnych** dzieciach. Może być w klientach.  
- Pewnie, zawsze wtedy coś mi może skapnie - kłaniał się jeszcze przez moment, zanim zniknął w bramie targowiska.  
A ja ruszyłem w kierunku knajpy. W końcu trzeba ugniatać pierogi. Przecież

ludzie na nie czekają